PAŃSTWO DLA FRAJERÓW
Co prezes wie o kraju, ale nam nie powie

KOŚCIELNE #METOO
Siostry zakonne przerywają milczenie

HITY Z HOLLYWOOD
Coraz bardziej lubimy to samo

PO CO SĄ DZWONY
Jacek Podsiadło szuka źródeł dźwięku

Kraków 24 lutego 2019 nr 8 (3633) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

JAKUB BŁASZCZYKOWSKI

Reprezentant dobrej Polski

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

NAGRODA LITERACKA PREZYDENTA MIASTA BIAŁEGOSTOKU IM. WIESŁAWA KAZANECKIEGO

Nagroda Literacka – za najlepszą książkę roku – przyznawana jest twórcom, którzy są związani ze środowiskiem literackim Białegostoku i regionu lub też się tu urodzili czy zamieszkują albo których twórczość wykazuje związki z miastem i regionem, oraz twórcom, których książki wydano w Białymstoku.

Nagroda przyznawana jest autorom najlepszych książek, spośród wszystkich gatunków literackich. Z udziału wyłączone są antologie, opracowania i publikacje naukowe.

Nagroda przyznawana jest za książki wydane pomiędzy 1 stycznia a 31 grudnia roku kalendarzowego poprzedzającego rok przyznania nagrody, także w formie elektronicznej (e-booka).

Nagroda jest przyznawana od 1991 roku.

Laureata bądź laureatów Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego poznamy 22 marca 2019 r.

Książki nominowane do nagrody za 2018 rok, spośród 28 zgłoszonych tytułów

[bez tytułu]
Piotr Janicki
Wydawnictwo j,
Wrocław 2018

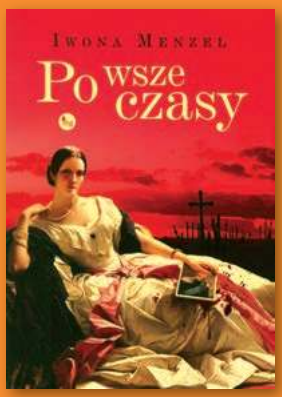

„Po wsze czasy"
Iwona Menzel
Wydawnictwo MG,
Warszawa 2018

„Jeremiasz"
Piotr Nesterowicz
Wydawnictwo
W.A.B./GW Foksal,
Warszawa 2018

Krzysztof Czyżewski
- za całokształt twórczości z uwzględnieniem książki „Żegaryszki"
Fundacja Pogranicze, Sejny 2018

KS. ADAM

Boniecki: *Wielki remont*

Tak zwany „zwykły” członek Kościoła, a także „kapłan prosty”, jak ja, stają bezradni wobec informacji o doktrynalnych sporach na szczytach hierarchicznego Kościoła. Czy to możliwe, żeby „Deklaracja wiary” autorstwa kard. Gerharda Müllera, byłego prefekta najważniejszej w materii wiary dykasterii, była wymierzona w papieża? (patrz artykuł „Starcie kardynałów” w poprzednim numerze „TP”).

Przypomnijmy: dogmat o nieomylności papieskiego nauczania *ex cathedra* w sprawach wiary i moralności został ogłoszony na Soborze Watykańskim I, który obradował w latach 1869-70 i został zawieszony, kiedy wojska włoskie zdobyły Rzym. Ponieważ zawieszenie obrad uniemożliwiło zajęcie się doktryną o kolegialności, temat podjął Sobór Watykański II w „Konstytucji dogmatycznej o Kościele”. Soborowy dokument zaleca m.in. „religijną uległość ducha (...) biskupom nauczającym w komunii z biskupem Rzymu” oraz, podkreślając rangę nauczania papieskiego, nakazuje „zbożną uległość woli i rozumu w sposób szczególny okazywać autentycznemu urzędowi nauczycielskiemu Biskupa Rzymskiego nawet wtedy, gdy nie przemawia on *ex cathedra*”. „Trzeba mianowicie – piszą ojcowie Soboru – ze czcią uznawać jego najwyższy urząd nauczycielski i do orzeczeń przez niego wypowiedzianych stosować się szczerze, zgodnie z jego myślą i wolą, która ujawnia się szczególnie przez charakter dokumentów bądź przez częste podawanie tej samej nauki, bądź przez sam sposób jej wyrażania” (KK 25).

Dzisiejsze kontrowersje trudno uznać za przejaw „zbożnej uległości”, choć nie dotyczą one papieskich „orzeczeń”. Franciszek nie orzeka, lecz raczej zachęca do refleksji na tematy uznawane za niepodlegające dyskusji. Ta jego zachęta budzi niepokój u strażników Tradycji, a wyrazem tego niepokoju jest „Deklaracja wiary” kardynała Müllera.

Gdy doktrynalne spory toczą się na najwyższych szczeblach hierarchii, na synodzie biskupów, między kardynałami, a nawet między kardynałami a papieżem, przeciętny katolik, także prosty kapłan, odnosi wrażenie, że elementy jego domu – doktryny wiary – próbuje się wymontować i wymienić na inne, a tymczasem pozostają dziury (tak np. się dzieje w sprawie komunii św. dla osób rozwiedzionych, żyjących w nowych związkach). Poczucie niepewności zwiększają media, które nie są w stanie wyczerpująco przedstawić przebiegu teologicznych sporów.

Obecna sytuacja nieodparcie przywodzi mi na myśl czas Soboru Watykańskiego II, tej gigantycznej pracy zmierzającej do tego, aby „Kościół był Kościołem”, a nawet – jak napisał o. Congar – aby „Bóg był Bogiem”. Dziś trudno nam pojąć, jak rewolucyjne były choćby takie dokumenty Soboru, jak Deklaracja o wolności religijnej, Dekret o ekumenizmie czy Deklaracja o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich. O. Congar, który w pracach nad nimi uczestniczył jako ekspert, w codziennych zapiskach (wydanych w 2002 r.) ukazał mało znane „zaplecze” Soboru: co się działo na komisjach przygotowujących projekty dokumentów czy na licznych spotkaniach biskupów z ekspertami. Kościół ewoluuje. Wystarczy prześledzić choćby historię dogmatów (opisaną np. w czterotomowym dziele pod redakcją o. Bernarda Sesboüé), by sobie uświadomić, jak w ciągu stuleci, w ścieraniu się poglądów w łonie chrześcijaństwa, wraz z pojawianiem się nowych pytań i wyzwań, dojrzewała jego doktryna. Dzisiaj, zachowując wszelkie proporcje, można powiedzieć, że kolejny proces ewolucji rozpoczął papież Franciszek. Wie, że wszystkiego nie ogarnie, ale stawia na czas i ufając Opatrzności stara się inicjować procesy odnowy. ©℗

TP

Podkast Powszechny: *Czy Bóg chce wielości religii?*

MATHIEU WILLCOCKS / MOAS

Podczas papieskiej pielgrzymki do Zjednoczonych Emiratów Arabskich szejk Ahmed al-Tayeb, wielki imam uniwersytetu Al-Azhar, podpisał wspólnie z papieżem Franciszkiem deklarację „O ludzkim braterstwie”. Jest to dokument o niebagatelnym znaczeniu nie tylko ze względu na swoich sygnatariuszy, ale także z powodu treści, które zawiera. Znajduje się tam bowiem wyraźne uznanie pozytywnej wartości pluralizmu religijnego: „Pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry, płci, ras i języków są chciane przez Boga w Jego mądrości, przez którą stworzył On rodzaj ludzki”. Z punktu widzenia katolickiego magisterium jest to stwierdzenie przełomowe.

Sprawę komentują: **ZUZANNA RADZIK** i **PIOTR SIKORA** w rozmowie z **MICHAŁEM KUŹMIŃSKIM**

weź, słuchaj! na powszech.net/podkast lub w iTunes, Spotify i Google Podcasts

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Państwo dla frajerów
RAFAŁ MATYJA
Jarosławowi Kaczyńskiemu partia nie wystarcza. Ale sam dla swobody działania nie wiąże się z żadną instytucją.

28 Mąż zaufania
MICHAŁ OKOŃSKI
„Pan gra całym sercem, można by wręcz powiedzieć, że pan gra, jakby bronił pan prawdy…” – pisał o pewnym piłkarzu Ota Pavel. Szkoda, że nie znał Jakuba Błaszczykowskiego, bo on nie tylko tak gra, ale i żyje.

50 Perła w pekińskiej koronie
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Konflikt amerykańsko-chiński wokół koncernu Huawei wybuchł w nieprzypadkowym momencie. Najbliższe miesiące będą kluczowe dla technologii 5G, która zrewolucjonizuje świat.

54 Rok, który zmienił Iran i świat
INGA ROGG
Z TEHERANU
40 lat po rewolucji, w wyniku której obalono monarchię, Irańczycy wciąż czekają na obiecaną wówczas wolność.

76 Człowiek rozciąga się
JACEK PODSIADŁO
Kiedy dzwonniczka Hildegarda Matłosz zamyka skrzypiące drzwi dzwonnicy, dzwon huśta się jeszcze i chlusta ostatnimi dźwiękami.

62 Nie sposób tego zagwizdać
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Nim w niedzielę rozdane zostaną Oscary, zbadamy, na czym Hollywood dzisiaj najlepiej zarabia.

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS // PAWEŁ ANDRACHIEWICZ / GETTY IMAGES // AFP / EAST NEWS // MATERIAŁY PRASOWE // RENATA DĄBROWSKA DLA „TP” // REUTERS / FORUM

6 Conrad nie zwija żagli MONIKA OCHĘDOWSKA

6-11 Wiadomości Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

81 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

22 Państwo dla frajerów RAFAŁ MATYJA

26 POPiS w pląsach RAFAŁ WOŚ: *Czy Wiosna Biedronia jest okazją, by zmusić gnuśniejący układ polityczny do pląsu?*

28 Mąż zaufania MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ WIARA

34 Niecierpliwość wyznawców Jezusa JÓZEF MAJEWSKI: *Choć ekumenizm nie przezwyciężył jeszcze trawiącego go ostatnio kryzysu, żyjemy w czasach wielkich uzgodnień. Jaki w nich tkwi potencjał?*

38 Emaus to utopia KS. JACEK PRUSAK SJ *o prywatyzacji wiary*

39 Najpierw prawda PIOTR SIKORA: *Otwarta droga do kanonizacji Johna H. Newmana, jednej z najciekawszych postaci nowożytnego chrześcijaństwa*

■ ■ ŚWIAT

42 Czerwone i żółte SZYMON ŁUCYK: *Kto będzie górą we francuskim sporze: Żółte Kamizelki czy Czerwone Szaliki?*

45 Wzgardzeni, opuszczeni, zbuntowani FRANÇOIS DUBET

■ TEMAT TYGODNIKA ■

GREGORIO BORGIA / AP / EAST NEWS

12 Kościelne #MeToo ZUZANNA RADZIK

Za kilka dni papież będzie rozmawiał z przewodniczącymi episkopatów o pedofilii w Kościele. Ale problem wykorzystywania seksualnego jest szerszy: dotyczy także zakonnic.

16 Nadchodzi wielki audyt ROZMOWA Z ABP. CHARLESEM SCICLUNĄ:

Kapłan, który nadużywa danej mu władzy i wykorzystuje seksualnie nieletnich, nie jest pasterzem, ale wilkiem w owczej skórze.

■ FELIETONY ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER **41** SZYMON HOŁOWNIA **53** WOJCIECH BONOWICZ **74** JAN KLATA **75** PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: JAKUB BŁASZCZYKOWSKI
Fotografia: ZUZA KRAJEWSKA / WARSAW CREATIVES
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

46 Oligarchia trzyma się mocno TADEUSZ A. OLSZAŃSKI: *Jak wygląda Ukraina pięć lat po rewolucji godności?*

49 Historia jednego rejsu MARCIN ŻYŁA: *Ludziom na morzu zostały tylko telefony*

50 Perła w pekińskiej koronie AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

■ ■ HISTORIA

54 Rok, który zmienił Iran i świat INGA ROGG

■ ■ NAUKA

58 Dla kogo zielony prąd MARCIN BÓJKO: *Panele fotowoltaiczne na dachach pomogłyby ulżyć klimatowi*

■ ■ KULTURA

62 Nie sposób tego zagwizdać MARCIN NAPIÓRKOWSKI

67 Wygnanie Dionizosa DARIUSZ KOSIŃSKI *o Teatrze Pieśń Kozła*

70 Nie porzucajcie dzieci ROZMOWA Z SERHIJEM ŻADANEM, PISARZEM: *Podział na „my-wy" bywa użyteczny, ale też skrajnie upraszczający*

72 Bajka o niewyględnych ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Granica"*

73 Warto zobaczyć w TV

74 Damian kłamca LEKTOR *o książce Szymona Słomczyńskiego „MIM"*

■ ■ ZMYSŁY

76 Człowiek rozciąga się JACEK PODSIADŁO

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży

Poczta Polska pozywa do sądu aktywistę związkowego Jakuba Żaczka. Powód? – **RAFAŁ WOŚ** *wyjaśnia, że chodzi o przekonywanie listonoszy, by twardo bronili przysługujących im praw pracowniczych.*
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Elegia dla łazika

Opportunity nie znalazł małych zielonych ludzików. Ale udowodnił, że na powierzchni Czerwonej Planety woda była na tyle długo, że mogło się w niej rozwinąć życie – **MARCIN BÓJKO** *żegna łazik, który po piętnastu latach wiernej służby na Marsie przeszedł do historii.*
powszech.net/lazik

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

CONRAD NIE ZWIJA ŻAGLI

Resort ministra Glińskiego wyrzucił Festiwal Conrada z listy przedsięwzięć promujących czytelnictwo wartych wsparcia publicznymi pieniędzmi.

MONIKA OCHĘDOWSKA

Francuzi mają słabość do „Tajnego agenta", a Kolumbijczycy cenią sobie „Nostromo". Joseph Conrad – na nowo tłumaczony i interpretowany – jest w ciągłej podróży. Z równym zapałem adaptowany na zyskujące popularność gatunki, jak powieści graficzne, i wymazywany – jak w projekcie „Ciemności" konceptualnej artystki Yeddy Morrison. Jego twórczość jest responsywna niczym aplikacje GPS, zwinnie dopasowujące się do szybek naszych smartfonów. „Responsywny" to „czuły", a zarazem taki, który „szybko reaguje na zmianę". W wydanej kilka miesięcy temu książce amerykańskiej badaczki Mai Jasanoff Conrad jest świadkiem narodzin naszego globalnego świata i jego najlepszym współczesnym komentatorem. Jest więc też najważniejszym globalnym reprezentantem polskiej literatury. Jego powieści uwrażliwiają też czytelnika na to, że wobec każdej opowieści należy być krytycznym. W dobie fake newsów responsywność jest najlepszą strategią oporu.

Najlepszą i skuteczną, bo Festiwal, któremu Conrad patronuje – wymyślony dekadę temu w „Tygodniku Powszechnym", współorganizowany przez Miasto Kraków, Krakowskie Biuro Festiwalowe i Fundację Tygodnika Powszechnego – uznano dwa lata temu za jedno

Spotkanie z Hertą Müller podczas Międzynarodowego Festiwalu Literatury im. Josepha Conrada. Kraków, 2010 r.

WOJCIECH WANDZEL / KBF

z najważniejszych wydarzeń literackich świata. Wyróżnienie przyznała Akademia Pisarzy, działająca przy jednym z czołowych wydawnictw anglosaskich – Penguin Random House. Festiwal Conrada dwukrotnie znalazł się też wśród nominowanych do International Excellence Award – nagrody Londyńskich Targów Książki dla najlepszych festiwali literackich na świecie (w 2017 r. był w finałowej czwórce, a w 2018 r. – w trójce). Zapewne bez związku z tym Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wyrzuciło go w ubiegłym tygodniu z listy wartych wsparcia przedsięwzięć promujących czytelnictwo.

Wiele się mówi o odwiedzających miasto podczas festiwalowego tygodnia światowej sławy pisarzach i pisarkach, laureatach Nagrody Nobla i Bookera, którzy przyciągają co roku ponad dwudziestotysięczną już grupę czytelników. Ale siłą i misją Conrada oraz częścią jego strategii, tak nisko przez resort ocenionej, są przedsięwzięcia lokalne i niszowe, które umożliwiają spotkanie z literaturą grupom wykluczanym z życia literackiego.

Pisarze, krytycy, reporterzy i dziennikarze od lat prowadzą cieszące się wielką popularnością „Lekcje czytania" – już nie tylko w czasie festiwalu, ale przez cały rok szkolny. „Lekcje" ogarnęły Polskę – były m.in. w Chojnicach, Ełku, Kielcach, Sieradzu czy Żywcu. Conrad rozmawia o literaturze nie tylko z uczniami szkół średnich – ma bogate pasmo spotkań dla dzieci, ofertę dla seniorów, czyta z osadzonymi w aresztach i zakładach karnych. W dyskusję o literaturze angażuje też osoby wykluczone z życia literackiego ze względów zdrowotnych, m.in. środowisko osób głuchych – ma ono swój sektor i tłumaczy języka migowego na wybranych spotkaniach.

Ponieważ organizowane przez naszą Fundację „Lekcje czytania" już wcześniej straciły wsparcie MKiDN, od zeszłego roku odbywają się głównie dzięki wpłatom Czytelników i Darczyńców Fundacji. Podobnie stało się z wydawanym przez nas „Magazynem Literackim. Książki w Tygodniku". Odebranie środków na Festiwal Conrada traktujemy jako kolejne, poważne nieporozumienie. Liczymy, że złożone w tym tygodniu odwołanie od tej decyzji pomoże utrzymać polskiej kulturze właściwy kurs. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

ŚREDNIK. Minister kultury Piotr Gliński – jak znamy życie, ryzykując kolejną międzynarodową awanturę – nie przedłużył dyrektorowi Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN Dariuszowi Stoli kontraktu i rozpisał konkurs na obsadzenie jego stanowiska. Niezrażony dyr. Stola, wspierany przez patronujące muzeum miasto Warszawa i stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny, staje do konkursu.

PYTAJNIK. Dowiedzieliśmy się, dlaczego znakomicie prosperująca niegdyś stadnina koni arabskich ma kłopoty: w odpowiedzi na interpelację posła Krzysztofa Brejzy wiceminister rolnictwa Szymon Giżyński poinformował, że „sytuacja w SK Janów Podlaski związana jest z ogólną sytuacją w rolnictwie w 2018 r. i jest głównie efektem niespotykanej od lat suszy".

JAN GRACZYŃSKI

KROPKA. Radio Kraków informuje, że z napisu „Adamowi Mickiewiczowi Naród." umieszczonego na pomniku stojącym na krakowskim Rynku zostanie usunięta kropka i że opinię w tej sprawie wydała Rada Języka Polskiego. Sam pomnik nie wydaje się zagrożony.

MARCIN BÓJKO opowie Grzegorzowi Chlaście o zielonym prądzie (s. 58) w środę 20 lutego o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie
– www.rdc.pl

Łapówką w Kaczyńskiego

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Prezes PiS nie może już dłużej lekceważyć zarzutów dotyczących deweloperskiej inwestycji spółki Srebrna. Pojawił się bowiem zarzut najcięższego kalibru – łapówka. „Gazeta Wyborcza" ujawniła w oskarżycielskim tonie zeznania, które w prokuraturze złożył Austriak Gerald Birgfellner. To mąż kuzynki Kaczyńskiego, który miał w Warszawie budować dla kontrolowanej przez ludzi PiS spółki wieżowiec. Austriak twierdzi, że Kaczyński zażądał od niego i otrzymał w lutym 2018 r. 50 tys zł. w gotówce. Te pieniądze, przekazane w kopercie, miały być przeznaczone dla tajemniczego księdza Rafała Sawicza, jednego z członków rady fundacji Lecha Kaczyńskiego. To miała być cena za podpis duchownego – wszyscy członkowie rady musieli się zgodzić na budowę wieżowca przy Srebrnej.

Mam jednak zasadnicze wątpliwości. Pal licho, że wówczas Sawicz w praktyce nie był duchownym, bo urwał się kościelnym zwierzchnikom i zatrudnił jako urzędnik w gdańskim magistracie. Ważniejsze są inne kwestie. Po co Kaczyński chciałby od Austriaka łapówkę dla niby-księdza za podpisanie zgody na inwestycję, skoro to miała być inwestycja Kaczyńskiego, a nie Austriaka? W dodatku niby-ksiądz był tylko figurantem i Kaczyński mógł go bez większych kłopotów usunąć z fundacji. Jeszcze jedno: zastanawiające jest to, że wątek grubych tysięcy dla Sawicza nie pojawia się w nagranych później rozmowach Austriaka z Kaczyńskim. A poza wszystkim, czemu Austriak nie poinformował prokuratury rok temu, że wymuszono na nim łapówkę?

Do tej pory używając dość topornej propagandy, PiS wyśmiewało aferę wieżowcową, przekonując, że Kaczyński w sprawie Srebrnej jest krystalicznie czysty. Sformułowane wprost zarzuty dotyczące korupcji wymuszą zmianę tej linii. Prawie na pewno będzie z tego proces, co zresztą jest zamierzeniem reżysera tej operacji, dysponenta dokumentów, nagrań i zeznań – mecenasa Romana Giertycha.

Swoją drogą – to pytanie najbardziej fundamentalne – kim jest Birgfellner i o co gra? Dziwnym trafem austriacki przedsiębiorca, skoligacony z liderem PiS, zgłosił się z rodzinno-biznesowymi nagraniami do mecenasów jednoznacznie związanych z PO, czyli właśnie Giertycha oraz Jacka Dubois. Na pewno Austriakowi nie chodzi – jak twierdzi – o wyciśnięcie ze Srebrnej zaległych pieniędzy. Zrzucając rękami adwokatów Platformy bombę atomową na PiS, musiał sobie zdawać sprawę, że nigdy nie ujrzy żądanych 1,3 mln euro. W jego zeznaniach najmniej chodzi o księgowość i dlatego jeszcze nie raz boleśnie swemu powinowatemu przyłożyć. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem".

Droga Pani Minister

„SZANOWNI RODZICE I OPIEKUNOWIE, zdajemy sobie sprawę z kluczowej roli i znaczenia nauczycieli w procesie edukacji Państwa dzieci, dlatego staramy się podnosić rangę i prestiż tego zawodu". Tak rozpoczyna się ubiegłotygodniowy list minister Anny Zalewskiej. Mowa w nim o wzroście wynagrodzeń nauczycieli i o podnoszeniu jakości nauczania. „Wierzymy, że egzaminy przebiegną w przyjaznej i spokojnej atmosferze" – pisze też szefowa MEN, co brzmi jak aluzja do groźby nauczycielskiego strajku, który mógłby wiosenne egzaminy sparaliżować.

List można by uznać za przyjętą praktykę komunikacyjną. Tyle że odezwa szefowej MEN to nic innego jak płatna reklama w formie listu, opublikowana na całych stronicach tygodników opinii („Do Rzeczy", „Sieci", „Wprost") czy dzienników („Rzeczpospolita", „Dziennik Gazeta Prawna"). Rodzice są więc nie tylko adresatami, lecz także płatnikami. „Z uwagi na optymalizację kosztów i szczególny charakter listu prosiliśmy redakcje o potraktowanie go inaczej niż jak na warunkach rynkowych (...) W niektórych tytułach upust wynosił nawet do 85 proc." – informuje nas biuro prasowe MEN, nazywając list „misyjnym".

Koszt łączny ogłoszeń to 64 tysiące złotych. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Antyliderzy

DOSTĘP DO ANTYKONCEPCJI W POLSCE jest najgorszy w całej Europie – to wniosek z badania 46 europejskich państw, które wykonano na zlecenie Europejskiego Forum Parlamentarnego ds. Populacji i Rozwoju. Sprawdzano, jak wygląda dostęp do nowoczesnych środków antykoncepcyjnych i porad specjalistów, jak informacje o metodach zapobiegania niechcianej ciąży podawane są w internecie (w tym na stronach finansowanych ze środków publicznych). Ważny był poziom refundacji antykoncepcji, szczególnie dla nastolatek, kobiet bezrobotnych i najuboższych – czego w Polsce praktycznie brak, a w wielu europejskich krajach jest normą – oraz dostęp do pigułki „dzień po" bez recepty.

Liczby mówią (prawie) wszystko: europejska średnia dostępu do antykoncepcji to 69 proc., powyżej niej są m.in. Francja i Belgia z dostępnością 90,1 proc. W Polsce to jedynie 31,5 proc. ©℗ EWELINA BURDA

RAFAŁ OLEKSIEWICZ / REPORTER

Polska, Izrael i przeklęte problemy

PREMIER MORAWIECKI odwołał wyjazd naszej delegacji na spotkanie Grupy Wyszehradzkiej w Izraelu po tym, jak przy okazji szczytu bliskowschodniego w Warszawie (na zdjęciu) premier Netanjahu miał powiedzieć dziennikarzom, że w czasie II wojny światowej Polacy kolaborowali z nazistami, a p.o. szefa izraelskiej dyplomacji przypomniał sławetną wypowiedź Icchaka Szamira, że Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki. Można by powiedzieć: na taką właśnie okoliczność przygotowaliśmy ostatnie wydanie specjalne „TP" – „Polskę Żydowską". O antysemityzmie i miejscu Polaków w historii Zagłady – niedającym się sprowadzić ani do niesprawiedliwego oskarżenia całego narodu, ani do łatwego unieważniania tysięcy indywidualnych doświadczeń szukających ratunku Żydów (także rodzin obecnych izraelskich polityków) zderzających się z okrucieństwem, nienawiścią czy choćby obojętnością konkretnych Polaków – piszemy tam sporo i bez politycznego kontekstu.

Niezależnie od tego kontekstu, niezależnie od oceny wyrachowania, z jakim Netanjahu rozegrał polskich gospodarzy, czy niewątpliwej obrazy ukrytej w słowach p.o. ministra, trudno nie zauważyć, że temat tragedii sprzed 75 lat dostarcza wyborczego paliwa w obu krajach. Obecny kryzys oraz związany z nim festiwal oburzeń i uniesień to funkcja nieprzepracowanych wciąż krzywd, wypartego poczucia winy i coraz bardziej swobodnego podejścia do historii. Te problemy pozostaną, niezależnie od tego, kto wygra wybory nad Wisłą i nad Morzem Martwym. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Konferencja jak inwestycja

WOJCIECH PIĘCIAK

Jeśli komuś trzeba jeszcze dowodu, jak oddalili się od siebie liderzy USA i Niemiec (po brexicie jedynego kraju Unii o globalnej wadze ciężkiej), ten zechce porównać przemówienia, które w miniony weekend, na konferencji w Monachium nt. bezpieczeństwa, wygłosili Mike Pence i Angela Merkel. Interpretacja pani kanclerz, że różnice dotyczą taktyki, a cele pozostają te same, to dyżurny optymizm. Pence mówi wprost: USA nie będą gwarantować bezpieczeństwa krajom, które z własnej woli uzależniają się od Rosji – jak Niemcy za sprawą Nord Stream 2.

W Monachium zobaczyliśmy dwie wizje świata. Nie jest to, jak upiera się wielu niemieckich polityków (i dziennikarzy), spór między USA i Europą: w kluczowych sprawach (Rosja, migracja, obronność, przyszłość Unii itd.) Wspólnota nie ma wspólnego stanowiska. Nawet jeśli nie ziszczą się nadzieje Salviniego i Le Pen, że wkrótce będą rządzić Unią, majowe wybory do europarlamentu mogą nadać unijnym sporom nowy i groźny wymiar. Erozja Unii i wspólnoty atlantyckiej – to fakt.

W Monachium zobaczyliśmy też, że gdy idzie o sprawy ostateczne – o bezpieczeństwo – Berlin nie ma innym krajom nic do zaoferowania. Pogląd Merkel, że nie należy zrywać dialogu z Rosją, byłby przekonujący, gdyby towarzyszył mu argument, który przemawia do Putina. Tymczasem Bundeswehra jest dziś w podobnej kondycji jak armia ukraińska przed 2014 r. (samoloty nie latają, okręty podwodne mają zakaz zanurzania się), a Merkel nie robi nic, by to zmienić.

Co nam więc pozostaje? Realnie: inwestowanie w sojusz z USA. Jeśli inaczej nie można, także dwustronny. Angela Merkel może budzić sympatię, Donald Trump – niekoniecznie. Ale Ameryka to dziś Trump. Warszawska inwestycja – tj. konferencja, na której wielu nie zostawiło suchej nitki – dotyczyła Bliskiego Wschodu. Równie dobrze mogłaby dotyczyć Arktyki czy Polinezji. Jeśli choć trochę przybliży umowny „Fort Trump", warto było jeść tę żabę. ©℗

CHRISTIAN CHARISIUS / REUTERS / FORUM

Rozstrzygnął się pojedynek gigantów

GDYBY TYLKO SIĘ SPRAWDZALI, jasnowidzów najchętniej zatrudniałyby koncerny lotnicze. Nigdzie indziej zły pomysł nie wiąże się z tak dużym ryzykiem – i nie chodzi tylko o bezpieczeństwo.

W latach 60. XX w., podczas złotej ery odrzutowców, wierzono, że przyszłością są samoloty ponaddźwiękowe. Gdy trzy dekady później rozwój Azji przyczynił się do boomu w lotnictwie, uznano, że trzeba postawić na wielkie samoloty, zdolne przewozić nawet 800 osób między największymi lotniskami.

A jednak dwukrotnie się pomylono. Ponaddźwiękowy concorde był zbyt drogi w eksploatacji. W minionym tygodniu zaś koncern Airbus ogłosił, że za trzy lata zaprzestanie produkcji modelu A380, największego samolotu pasażerskiego świata. Wśród towarzystw lotniczych maszyna okazała się mniej popularna, niż zakładano: jest rentowna na najdłuższych rejsach, ale już nawet na popularnej trasie Londyn–Nowy Jork (kilkadziesiąt połączeń dziennie) linie wolą używać nieco mniejszych samolotów – za to częściej. Nie wszystkie duże lotniska mogą obsługiwać A380, a dziś pasażerowie coraz niechętniej się przesiadają. Samolot zabiera też stosunkowo niewiele cargo, które na długich dystansach przynosi liniom spory zysk i wpływa na zyskowność połączeń.

Projekt, bez skutku, próbowano reanimować. W zamian za nowe zamówienia Francja chciała nawet dopuścić Chiny do współpracy w produkcji. Z A380 zaczęły chętniej korzystać linie czarterowe (zapowiadając np. dowożenie pielgrzymów do Mekki). Pojedynek gigantów na niebie wygrał więc sprawdzony boeing 747, od którego pierwszego lotu minęło właśnie pół wieku. Ale przyszłość należy do nowych, ekonomiczniejszych modeli amerykańskiego B787 i europejskiego A350. Tak przynajmniej zakładamy dzisiaj.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Filipiny zmienią nazwę?

KONTROWERSYJNY PREZYDENT Filipin Rodrigo Duterte nie pozwala o sobie zapomnieć. Znany dotąd z krwawej wojny antynarkotykowej i wulgarnego języka, teraz rozważa zmianę nazwy kraju na „Maharlika". W etymologii malajskiej słowo to oznacza wojowników służących monarsze; dziś jest ono raczej synonimem nobliwości, szacunku i pokoju.

Filipiny, których nazwa pochodzi od imienia króla hiszpańskiego Filipa, wciąż zmagają się z postkolonialną traumą. Przez 300 lat były kolonią Hiszpanii, a potem przez 50 lat USA. Filipińczycy mówią: „Żyliśmy trzy wieki w klasztorze i pół wieku w Disneylandzie. Utrudniło to rozwój kraju, również po odzyskaniu niepodległości w 1946 r. Postkolonialna elita, wyobcowana od reszty społeczeństwa, chroni do dziś uprzywilejowaną pozycję. Zwykłemu Filipińczykowi, żyjącemu w biedzie i przeświadczeniu, że jest wykorzystywany, trudno poczuć się obywatelem we własnym kraju".

Duterte doszedł do władzy na fali buntu przeciw elitom Manili. Jego retoryka, nacjonalistyczna i często antykościelna, wpisuje się w narrację tworzenia nowej spójnej narodowej tożsamości, sięgającej czasów przedkolonialnych. Zmiana nazwy kraju może mieć tu jednak co najwyżej wymiar symboliczny. Tak długo, jak Filipiny nie uporają się z biedą i korupcją oraz nie zapewnią obywatelom poczucia bezpieczeństwa, słowo „Maharlika" będzie jedynie kiepską dekoracją, atrapą faktycznej nobliwości, szacunku i pokoju.

© PIOTR BERNARDYN z Tokio

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WAKAT UZUPEŁNIONY. Kard. Kevin Farrell został mianowany kamerlingiem Świętego Kościoła Rzymskiego. Od lipca 2018 r. na urzędzie tym był wakat. Kamerling zarządza dobrami i prawami doczesnymi Stolicy Apostolskiej, a po śmierci papieża nadzoruje przygotowania do pogrzebu i do konklawe oraz jest tym, który ogłasza imię nowego papieża. Kard. Farrell podzielił się z mediami swoją reakcją na propozycję Franciszka: „Odpowiedziałem mu: »Tak, zaakceptuję twój wybór, ale pod warunkiem, że to ty przemówisz na moim pogrzebie«".

KARA ZNIESIONA. Franciszek cofnął zakaz sprawowania funkcji kapłańskich, nałożony w 1983 r. przez Jana Pawła II na zwolennika teologii wyzwolenia, nikaraguańskiego księdza i poetę Ernesta Cardenala za pełnienie politycznej funkcji w sandinowskim rządzie (w latach 1979-87 był ministrem kultury). O zniesieniu suspensy poinformował przebywającego w szpitalu 94-letniego duchownego nuncjusz apostolski. „To było przejmujące uklęknąć przed Ernestem Cardenalem, niedawno zrehabilitowanym do posługi kapłańskiej, aby dał mi swoje błogosławieństwo" – napisał na Twitterze biskup pomocniczy Managui Silvio Báez (na zdjęciu), który odwiedził chorego kapłana.

SILVIO JOSÉ BÁEZ / TWITTER

AKCJA DOCENIONA. Najpierw telefonicznie, a potem listownie kard. Konrad Krajewski w imieniu papieża podziękował organizatorom akcji „Koc na zimną noc", która była przeprowadzona w parafii w Bolechowicach koło Krakowa. Zebrane podarunki zostały przekazane podopiecznym noclegowni braci albertynów w Krakowie.

Stowarzyszenie Wiosna: pomoc ważniejsza

ANNA GOC

Ostatnie tygodnie w Stowarzyszeniu Wiosna to kolejny przykład (po zbiórce na Europejskie Centrum Solidarności), że coraz większe wsparcie Polaków, także w kryzysie, otrzymują organizacje, które współtworzą społeczeństwo obywatelskie.

Widać to było pod koniec 2018 r., już po materiale Onetu, w którym padły oskarżenia o mobbing w Wiośnie, wśród nich także o mobbing szczególny, bo oparty na zaufaniu, jakim można darzyć szefa-duchownego (oskarżony przez współpracowników ks. Jacek Stryczek zrezygnował z bycia prezesem zarządu, zastąpiła go Joanna Sadzik).

Wtedy ludzie Wiosny obawiali się, czy tuż przed finałem sztandarowej akcji Stowarzyszenia – Szlachetnej Paczki – zostaną z nimi sponsorzy, a także – czy po kolejnych doniesieniach medialnych zaufają im darczyńcy.

Sponsorzy zostali, darczyńcy zaufali. Pomoc o wartości 47 mln zł trafiła do blisko 17 tys. rodzin, zaangażowało się 13 tys. wolontariuszy i 560 tys. darczyńców.

Tym groźniejszy dla Wiosny jest kolejny przewrót, tym razem związany z roszadami na stanowisku prezesa. Streszczając: walne zgromadzenie najpierw odwołało Joannę Sadzik z tej funkcji i na jej miejsce powołało ks. Grzegorza Babiarza, a po tygodniu – tym razem w składzie poszerzonym o ludzi zaangażowanych w codzienną pracę w Wiośnie – przywróciło na stanowisko Sadzik (ks. Babiarz decyzję uznaje za nieważną).

Paradoksalnie to właśnie teraz okaże się, czy niszczona wewnętrznie organizacja niosąca pomoc przetrwa. Pokażą to najbliższe tygodnie, m.in. dochód z przekazywania 1 proc. z podatków. ©℗

Kara dla byłego kardynała

KONGREGACJA NAUKI WIARY zdecydowała 13 lutego o wydaleniu byłego kardynała Theodore'a McCarricka ze stanu duchownego. Franciszek zaznaczył, że od tego wyroku nie ma odwołania. Byłego metropolitę Waszyngtonu uznano w procesie kościelnym za winnego solicytacji (nakłaniania do grzechu podczas sprawowania sakramentu pokuty) oraz „grzechów przeciwko szóstemu przykazaniu z małoletnimi i dorosłymi, z czynnikiem obciążającym wykorzystywania władzy".

W lipcu zeszłego roku McCarrick, wobec mnożących się oskarżeń o molestowanie seksualne przede wszystkim kleryków, ale także ofiar młodocianych, zrezygnował z godności kardynalskiej, Franciszek zabronił mu też publicznego sprawowania posługi. Okazało się, że hierarchia kościelna przez długie lata ignorowała doniesienia co do poczynań McCarricka (m.in. o tym, że molestował seminarzystów, których zapraszał do swojego domu na plaży). Sprawa kardynała oraz raport Wielkiej Rady Przysięgłych z Pensylwanii nt. przestępstw seksualnych tamtejszych duchownych wywołały debatę na temat korporacyjnej solidarności duchownych i metod rozbicia patologicznego systemu.

Marie Collins, b. członkini watykańskiej komisji ds. ochrony małoletnich, powiedziała, że decyzja o wydaleniu McCarricka z kapłaństwa jest krokiem właściwym, niemniej bardzo spóźnionym. ©℗ MAM

Modlitewna gramatyka

„W TEKŚCIE »OJCZE NASZ« jest pewien brak – powiedział Franciszek. – To słowo w naszych czasach bardzo cenione: »ja«. Jezus uczy nas, byśmy się modlili, mając na ustach przede wszystkim »ty«, ponieważ modlitwa chrześcijańska jest dialogiem". Kolejny kluczowy zaimek to „my". „Nawet najbardziej podstawowe ludzkie prośby, jak ta, by mieć pożywienie, są sformułowane w liczbie mnogiej. W modlitwie chrześcijańskiej nikt nie prosi o chleb dla siebie, ale dla wszystkich ubogich na świecie" – wskazał papież.

„W dialogu z Bogiem nie ma miejsca na indywidualizm – mówił. – Nie ma afiszowania się ze swoimi problemami, jakbyśmy byli jedynymi cierpiącymi na świecie. Jesteśmy wspólnotą, braćmi i siostrami, »nami«. Jeśli ktoś nie zauważył, że wokół niego jest wielu ludzi cierpiących, to znaczy, że jego serce jest z kamienia. W modlitwie chrześcijanin niesie wszystkie trudności osób żyjących obok". ©℗ MAM

KULTURA W SKRÓCIE

BEZ DOTACJI. Nie tylko Międzynarodowy Festiwal Literatury im. Conrada, ale i Międzynarodowy Festiwal Literacki Sopot, Festiwal im. Zygmunta Haupta oraz festiwal reportażu Miedzianka Fest zostały bez dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W budżecie na promocję czytelnictwa nie brakło środków dla fundacji Lux Veritatis o. Rydzyka.

BEZ JONESA. Tymczasem dobiegł końca Festiwal Filmowy w Berlinie. Złoty Niedźwiedź powędrował do urodzonego w Izraelu Nadava Lapida, autora „Synonimów". To pierwszy izraelski film, który zdobył najważniejszą nagrodę na Berlinale. W konkursie głównym znalazł się także „Obywatel Jones" Agnieszki Holland – z Berlina wyjeżdża jednak bez wyróżnień.

INTERPOL / EAST NEWS

BEZ PARDONU. We Francji aresztowano seryjnego złodzieja dzieł sztuki porównywanego do słynnego, choć fikcyjnego, dżentelmena-włamywacza Arsène'a Lupina. Stéphane Breitwieser ma na swoim koncie ponad 250 kradzieży, w tym m.in. dzieła Cranacha czy Bruegla (na zdjęciu), które najzwyczajniej wynosił z muzeów, by do woli nacieszyć się nimi we własnym domu.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARCIN ŻYŁA opowie o swoim tekście (s. 49) Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 20 lutego o godz. 16.00.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

ZENON ZYBURTOWICZ / EAST NEWS

„MIESZCZKI I MIESZCZANIE królewskiego grodu Lublin, zatrzymajcie się i posłuchajcie" – tymi słowami Władysław Stefan Grzyb, ostatni w Polsce krzykacz miejski, przez 25 lat zapowiadał uroczystości miejskie i religijne. Miał głos o sile ponad 80 decybeli, był członkiem Gildii Krzykaczy Miejskich Kontynentu Europejskiego, uczestniczył w wielu mistrzostwach (należy wykrzyczeć tekst o swoim kraju, minimum 75 słów w ciągu minuty). Zmarł 10 lutego w wieku 86 lat. MAM ©℗

Siła skupienia

O TYM, ŻE ZWIERZĘTA POTRAFIĄ używać narzędzi i rozwiązywać różne problemy, wiemy przynajmniej od początku XX w. i z pionierskich eksperymentów Wolfganga Köhlera z szympansami układającymi wieże z pudełek, by sięgnąć po wysoko zawieszonego banana. Dziś wiemy nawet, że w niektórych zadaniach – np. z orzeszkiem umieszczonym w wąskiej rurce, którego można wydobyć jedynie po zalaniu rurki wodą – pewne zwierzęta radzą sobie lepiej niż kilkuletnie dzieci. Kwestią sporną pozostaje to, w jaki sposób zwierzęce umysły przetwarzają takie sytuacje i reprezentują stojący przed nimi problem. Czy analizują różne scenariusze w głowie, czy raczej uczą się reakcji ruchowych na określone bodźce?

W artykule opublikowanym w „Current Biology" Romana Gruber i współpracownicy częściowo odpowiadają na to pytanie. W ich badaniu wrony brodate (*Corvus moneduloides*) wchodziły do złożonego z trzech osobnych pomieszczeń aparatu. W pierwszym czekał na nie m.in. patyk, którego mogły użyć w innym pomieszczeniu do wydobycia niewielkiego kamienia. Tego zaś, w kolejnym pomieszczeniu, mogły użyć do zdobycia pożywienia. W otoczeniu czyhały dystraktory, w tym narzędzia, którymi nie dało się uzyskać pokarmu. Mimo wysokiej trudności zadania ptaki radziły sobie dobrze – potrafiły stworzyć w umysłach scenariusz sekwencji trzech kolejnych działań i wyfrunąć z aparatu z kawałkiem mięsa. ©℗ ŁK

JEAN PAUL FERRERO / EAST NEWS

Unia chroni twórców (i memy)

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Wiele lobbingowego wysiłku włożono, żeby pojęcie „jednolity rynek cyfrowy" kojarzyło się z tym, że zła Unia ocenzuruje sieć, opodatkuje linki, zabroni YouTube'a, memów i gifów – a nie np. z tanim roamingiem czy zakazem tzw. geoblokad, czyli umożliwieniem kupowania przez sieć w innych krajach UE. Teraz, po dwóch i pół roku negocjacji, Parlament, Komisja i Rada (czytaj: państwa członkowskie) UE porozumiały się co do bodaj najbardziej kontrowersyjnej regulacji na tym polu: kształtu tzw. dyrektywy o prawach autorskich na jednolitym rynku cyfrowym.

Szło tu o wyrównanie szans twórców treści, np. artystów czy dziennikarzy, względem wielkich platform (YouTube, Facebook, Google News), które na ich pracy jadą na gapę: same nie tworzą treści, ale je rozpowszechniają, przechwytując zaangażowanie użytkowników i zyski z reklam. A jest o co walczyć: jednolity rynek cyfrowy jest zdolny wnieść do unijnej gospodarki 450 mld euro i 4,8 mln miejsc pracy.

Negocjacje trwały, bo mnożono obawy, że regulacje mogą zablokować funkcjonowanie sieci, np. linkowanie czy twórczość internautów, choćby memy tworzone zawsze na bazie czyjegoś dzieła (zdjęcie, kadr itp.), lub wręcz zagrozić wolności słowa: dyskutowano np. nakaz tzw. filtrów, czyli skanowania treści wgrywanych na platformę, by zapobiegać ich publikacji na wstępie – co w spornych przypadkach groziłoby maszynową cenzurą.

Wygrał zdrowy rozsądek: platformy mają teraz odpowiadać za naruszenia praw autorskich i będą musiały podpisywać umowy z dysponentami praw, wydawcy prasy będą mogli negocjować honorarium za agregowane na nich treści, ale regulacje chronią też platformy przed paraliżem, nie nakazują filtrów i stosują ulgi wobec startupów. Nic nie grozi linkom ani memom i gifom (pojmowanym jako „cytat, krytyka, recenzja, karykatura, parodia czy pastisz").

Unia okazuje się jedyną siłą świata zdolną uregulować działania sieciowych gigantów. Ochrona interesów twórców i dziennikarzy to środki na działalność kulturalną, artystyczną i na jakościową prasę, bez której nie ma demokracji, służy więc koniec końców obywatelom Unii. Niezależnie, do czego owi giganci próbowali ich przekonywać. ©℗

TEMAT TYGODNIKA

KOŚCIELNE #METOO

Za kilka dni papież będzie rozmawiał z przewodniczącymi episkopatów o pedofilii w Kościele. Ale problem wykorzystywania seksualnego jest szerszy: dotyczy także zakonnic.

ZUZANNA RADZIK

MARVIN RECINOS / AFP / EAST NEWS

To prawda, to jest problem. Maltretowanie kobiet jest problemem" – powiedział Franciszek, zapytany przez dziennikarzy podczas drogi powrotnej z Abu Zabi o przemoc seksualną, jakiej doświadczają siostry zakonne. Przyznał też, że takich czynów dokonywali również księża i biskupi, oraz że zdarzały się przypadki wręcz seksualnego niewolnictwa. „Ośmieliłbym się powiedzieć, że ludzkość jeszcze nie dojrzała; kobieta jest uważana za osobę drugiej kategorii" – mówił.

„Problem wykorzystywania seksualnego sióstr zakonnych przez duchownych istnieje również w Polsce, od dawna – powiedziała z kolei w wywiadzie dla KAI s. Jolanta Olech, sekretarz generalna Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych. – To sprawy bardzo bolesne. Wiążą się z ogólnym stosunkiem do kobiet w społeczeństwie, którego osoby duchowne są przecież integralną częścią".

Kilka tygodni wcześniej głos zabrała Międzynarodowa Unia Przełożonych Wyższych Zakonów Żeńskich, o molestowaniu zakonnic napisał też kobiecy dodatek watykańskiego dziennika „L'Osservatore Romano", za którym temat podjęły media z całego świata. Dopiero teraz, chciałoby się powiedzieć, choć o problemie – istniejącym nieco w cieniu skandali pedofilskich, na których temat za kilka dni dyskutować będzie w Watykanie papież z przewodniczącymi wszystkich episkopatów świata – same siostry zakonne i działaczki feministyczne alarmowały od dawna.

Gdy tuż po akcji #MeToo chrześcijanki z wielu Kościołów próbowały rozpowszechnić hasztag #ChurchToo, niewielu zwróciło na to uwagę. Czy molestowanie kobiet w Kościele jest bardziej przezroczyste, mniej szokujące?

Zasłona milczenia

Dotyk. To jemu teoretycznie poświęcono najnowszy numer wspomnianego kobiecego dodatku do „L'Osservatore Romano". Tak ważny w komunikacji i rozwoju człowieka, tak częsty w opowieściach ewangelicznych, przez skandale seksualne ostatnich lat stał się podejrzany. Problem jest jednak szerszy, a naczelna dodatku Lucetta Scaraffia zgadza się z Franciszkiem, że jego istotą nie jest upadek pod wpływem seksualnej pokusy, ale nadużycie władzy, wypływające z perwersyjnego rozumienia roli kapłana i zła klerykalizacji. Scaraffia podkreśla, że o ile w przypadku dzieci rzecz jest jasna i jednoznacznie potępiana, w kwestii przemocy wobec kobiet dyskurs jest bardziej zawiły i dotyka właśnie zjawiska władzy.

Opisując kobietę jako niebezpieczną kusicielkę Kościół przez wieki przyczyniał się do zacierania kwalifikacji tych czynów: mówił raczej o przekroczeniach obustronnych, popełnianych w wolności przez przedstawicieli obu płci. Dopiero gdy w jego dyskurs wprowadzimy kategorię władzy i wskażemy na klerykalizm, molestowanie stanie się tym, czym jest: aroganckim naruszeniem intymności. Zwłaszcza że to właśnie władza otula sprawców zasłoną milczenia – argumentuje naczelna watykańskiej gazety dla kobiet.

Tajne raporty

W kwestii wykorzystywania seksualnego zakonnic alarmowały Watykan swoimi tajnymi raportami siostry Maura O'Donohue i Marie McDonald jeszcze w latach 90. Pierwsza z nich, koordynatorka katolickiej organizacji pokojowej Catholic Agency For Overseas Development, odkryła podczas służbowych podróży do krajów rozwijających się, że powodowani lękiem przed zarażeniem się wirusem HIV od miejscowych kobiet, pracujący tam księża zaczęli seksualnie wykorzystywać zakonnice jako te „bezpieczne". Swój raport z 23 państw O'Donohue przedstawiła w 1994 r. W jej ślad poszła McDonald, przełożona Sióstr Misjonarek NMP Królowej Afryki, przedkładając w 1998 r. kilkustronicowy artykuł na temat wykorzystywania seksualnego zakonnic w Afryce tzw. radzie szesnastu – ciału skupiającemu przedstawicieli przełożonych męskich i żeńskich zgromadzeń oraz Kongregacji ds. Życia Konsekrowanego. W 2000 r. podobny dokument sporządziła dla benedyktyńskich opatów s. Esther Fangman.

I co? Nic. Najpierw była cisza, a potem – kiedy w 2001 r. informacje o tych raportach wyciekły do prasy – Watykan zaprzeczał skali problemu i podkreślał heroizm misjonarzy.

Dopiero we wrześniu 2001 r. rada szesnastu wydała rekomendacje dotyczące przeciwdziałania molestowaniu zakonnic. Po spotkaniu z s. O'Donohue prefekt Kongregacji, kard. Eduardo Martínez Somalo, nakazał powiadomić diecezje, w których miało dochodzić do molestowania. Cóż jednak po tym, skoro molestującymi bywali także biskupi?

↦

„Słabość do kobiet”

↦ „Gdyby rzymska kuria właściwie zareagowała na przypadki ujawniane w latach 90., może nie zostałabym zgwałcona w 2008 r.” – mówiła w końcu listopada 2018 r. Doris Wagner podczas sesji zorganizowanej w Rzymie przez organizację Voices of Faith. Wspominała siebie, 19-latkę wstępującą do zakonu: młodą, idealistyczną, gotową na poświęcenie Bogu. Wychowano ją (złamano, jak dziś mówi) do posłuszeństwa przełożonym. Po pięciu latach pobytu w zakonie do jej pokoju przyszedł męski przełożony domu i ją zgwałcił. Przekonana, że zwierzchnicy oskarżą ją, a nie oprawcę, następnego ranka po prostu poszła pracować w kuchni, nikomu nic nie mówiąc. Potem przydzielono jej spowiednika. Przydzielono? Sam o ten przydział poprosił, a potem trzymał ją godzinami na klęczkach, opowiadając, jak mu się podoba. Gdy ją pocałował, wybiegła i poprosiła przełożoną o innego spowiednika, a zmuszona wyznała powód. Usłyszała, że ów ksiądz ma „pewną słabość do kobiet”.

Obdarzony „słabością do kobiet” kapłan kolejne 10 lat pracował na wysokim stanowisku w Kongregacji Nauki Wiary (tak, tej samej instytucji, która opieszale odpowiada na listy ofiar molestowania). Ustąpił dopiero 28 stycznia 2019 r. Pięć lat wcześniej, gdy Wagner powiadomiła o jego zachowaniu Kongregację, otrzymała odpowiedź, że uznał swoje winy, poprosił o wybaczenie i został rozgrzeszony.

Lekceważenie przełożonych

Doris Wagner opuściła zakon w 2011 r. Gdy wcześniej zdecydowała się opowiedzieć przełożonej o gwałcie, usłyszała pytanie: „czy używaliście antykoncepcji?”. O konsekwencjach wobec sprawcy nie było oczywiście mowy.

Wtedy myślała, że jest jedyną zakonnicą, którą to spotkało. Dziś, pytana, co powiedziałaby innym ofiarom, odpowiada: „Po pierwsze, powiedz komukolwiek o tym, co cię spotkało, i pamiętaj, że jesteś kochana – że nie tego chciał dla ciebie Bóg. Po drugie, zanim powiesz o tym głośno, znajdź sojusznika, który będzie przy tobie. A gdy już ujawnisz, co się stało, i ludzie zaczną ci mówić o konieczności cierpienia z Ukrzyżowanym, nie wierz im. To nieprawda. Chrystus umarł za nas, by nas uczynić wolnymi, nie by nakłaniać nas do cierpienia”.

> Nikt nie rozumie, czym jest molestowanie: **to nadużycie władzy.**

W jej historii jak w soczewce widać wiele problemów: nie tylko samo nadużycie władzy, ale używanie intymnych sytuacji (spowiedzi czy kierownictwa duchowego) do wykorzystywania seksualnego. Lekceważących problem przełożonych. Podejrzenia, że był to romans, a nie nadużycie. W końcu: brak wsparcia ofiary, uwolnienia jej od przekonania, że ponosi winę za to, co się stało, i że jest w tym sama.

Patologie zależności

To oczywiście dobrze, że Międzynarodowa Unia Wyższych Przełożonych Zakonów Żeńskich wydała (w grudniu 2018 r.) zachętę do sióstr, by przypadki molestowania zgłaszały przełożonym. Tyle że same zachęty niewiele zmienią: najpierw relacje w zakonach muszą być takie, by siostry miały siłę i zaufanie, że przełożona stanie w podobnej sytuacji po ich stronie.

Trudno się też dziwić, że w rozmowie z KAI s. Olech mówi, że zarówno jej własne, jak i nawet kolejne pokolenie zakonnic nie wzięłoby masowo udziału w akcjach typu #MeToo: „To były tak bolesne doświadczenia i bez wielkiej nadziei na to, żeby ofiara uzyskała pomoc poza własnym może zgromadzeniem. Dzisiaj czasy są inne. Być może nowe pokolenie zakonnic inaczej do tych spraw podejdzie”.

Być może, bo życie wciąż dostarcza kolejnych przykładów, że ofiary nie mogą na wiele liczyć. Miesiącami ciągnie się sprawa indyjskiej zakonnicy gwałconej przez biskupa w stanie Kerala. Ofiara otrzymała wprawdzie wsparcie współsióstr, ale Kościół instytucjonalny zareagował dopiero w wyniku ich ulicznego protestu: wcześniej biskup pozostawał jej przełożonym, a nawet oskarżał ją samą o rozwiązłość.

O patologiach zależności mówi również Virginia Saldanha, wieloletnia sekretarz Forum Indyjskich Teolożek, która w ostatnich latach stała się rzeczniczką zwracających się do niej z prośbą o pomoc ofiar molestowania. Wspomina młodą świecką, molestowaną podczas rekolekcji. Poszła z tą sprawą do wszystkich trzech biskupów diecezji, w której się to wydarzyło: kardynała i dwóch pomocniczych. Żaden nie zrobił nic. Pamięta również dwie zgwałcone przez księdza siostry, które biskup spytał, kto jeszcze wie o sprawie, po czym wysłał oskarżonego na roczny urlop do Kanady. Jej przykłady są gorzkie i pełne trudnych do uwierzenia szczegółów, a jednak prawdziwe. – Widzimy, jak prawo wspiera władzę wyświęcanych. Czas, by przemówił lud Boży – mówi Virginia Saldanha.

Kliniczny przypadek

Lucetta Scaraffia pisze na łamach „L’Osservatore Romano”, że siostry coraz lepiej wiedzą, iż mają prawo do szacunku oraz że pozycja kobiety, nawet w Kościele, musi się zmienić. Sposobem na zmianę – dodaje – nie jest umieszczenie paru kobiet w watykańskich komisjach. Chodzi o to, by przestać zamykać oczy na samo molestowanie.

Tak, same kobiety w komisjach nie pomogą. Więcej: okazuje się, że nie mogą pomóc same sobie. Świadczy o tym historia Rocio Figueroi Alvear, która pracowała przez lata w sekcji kobiet watykańskiej Rady ds. Świeckich. To właśnie w Rzymie wróciły jej młodzieńcze wspomnienia: Rocio zdała sobie sprawę, że była molestowana, i przeszła terapię.

Wychowana w katolickiej rodzinie w Peru jako nastolatka włączyła się w nowy ruch religijny Sodalicji Życia Chrześcijańskiego, zdobywający popularność głównie wśród chłopców. Gdy miała 15 lat, wikariusz tego ruchu, konsekrowany mężczyzna, został jej kierownikiem duchowym, a później proponował jej i innym młodym ludziom „praktykę jogi”, która miała wzmocnić ich charaktery i chronić przed pokusami seksualnymi. Rocio nie wiedziała, co to seks, i nie rozumiała, co tak naprawdę robi jej kierownik duchowy. Wracała do domu płacząc, z poczuciem winy i zdezorientowana. W końcu poprosiła, by przestał, a on obiecał, że się zmieni.

Z czasem Rocio wyparła tę historię. Została w Sodalicji, więcej: jako 18-latka założyła z koleżankami żeńską gałąź ruchu i została jej przełożoną. A krótko po tym, jak uświadomiła sobie, że była molestowana, założyciel ruchu poprosił, by pracowała przy procesie beatyfikacyjnym mężczyzny, który ją skrzywdził. Znalazła się w sytuacji dramatycznego konfliktu:

miała z jednej strony swoje wspomnienia, a z drugiej świadectwa tysięcy członków wspólnoty przekonanych, że jej założyciel był świętym. Zdecydowała się podjąć pracę, ale w 2006 r. okazało się, że ofiar było więcej.

Dwa wyjścia

– Nie był świętym, lecz drapieżnikiem – mówi dziś Rocio Figueroa Alvear. Kiedy opowiedziała o wszystkim założycielowi, był wściekły: uważał, że knuje przeciwko Sodalicji, że kłamie i z pewnością uwiodła swojego krzywdziciela. Usłyszała też coś jeszcze: w uniesieniu założyciel wykrzyczał, że jego też po śmierci oskarżą o molestowanie, i podał nazwiska ofiar. Była w szoku, zachorowała, miesiącami pogrążona w depresji nie wstawała z łóżka, izolowana przez pozostałych członków ruchu, w końcu zachorowała na raka. Z władzami Sodalicji skonfrontowała się dopiero, gdy pokonała chorobę, nie spełniły jednak jej podstawowego postulatu: przeprowadzenia śledztwa. Owszem, zatrzymali bez wyjaśnienia proces beatyfikacyjny oraz zmusili założyciela do ustąpienia z funkcji.

Zgromadzenie zmusiło ją też, by zrezygnowała z pracy w Watykanie. Odchodząc, wytłumaczyła kardynałowi, który był jej zwierzchnikiem, czemu rezygnuje oraz kim był założyciel Sodalicji. Miała usłyszeć: „Masz dwa wyjścia: albo odejdziesz ze wspólnoty, albo zamilkniesz”.

Później Figueroa Alvear pomagała innym ofiarom wysyłać listy do watykańskich urzędów: Sekretariatu Stanu i Kongregacji Nauki Wiary. Bez skutku. Ze wspólnoty odeszła w 2011 r. Dziś mówi: „Ciężko jest być zarówno ofiarą, jak kobietą. Maczyzm istnieje również w kryzysie molestowania seksualnego, bo gdy mężczyzna wykorzysta młodą dziewczynę, to mówi się, że go uwiodła i że byli kochankami. Nikt nie rozumie, czym jest molestowanie: to nadużycie władzy”.

Na skandal w Sodalicji Kościół zareagował dopiero, gdy w 2015 r. ukazała się książka oparta na wywiadach z ofiarami jej liderów: nagle ruch przeprowadził wewnętrzne śledztwo, które zidentyfikowało 77 ofiar. Wypłacono im 4 mln dolarów odszkodowania. Założyciela przeniesiono do rzymskiego domu wspólnoty, gdzie miał żyć w modlitwie i pokucie. Dopiero rok temu, pod presją skandali w Chile, papież Franciszek obiecał rozważyć nałożenie na niego realnych sankcji.

Struktury grzechu

– Istnieją konkretne czynniki, które sprawiają, że takie sytuacje są łatwiejsze do ukrycia w środowisku religijnym – tłumaczy Zuzanna Flisowska z rzymskiego biura Voices of Faith. – Przede wszystkim mamy do czynienia z problemem wykorzystywania autorytetu sakralnego do manipulowania ludźmi i dyskredytowania ich słów. Widzimy też jasno, jak źle prowadzona formacja religijna i kulturowa kobiet nierzadko czyni je w znacznym stopniu bezbronnymi wobec przemocy seksualnej i utrudnia zgłaszanie krzywd.

Organizacja, którą reprezentuje Flisowska, przypomniała kilka dni przed spotkaniem szefów episkopatów na temat pedofilii, że problem molestowania ma w Kościele również twarz kobiet. – Jeden z problemów, które uwidacznia obecny kryzys, to ich upośledzona pozycja w Kościele – wyjaśnia Flisowska, której organizacja zabiega, by kobiety były włączone w procesy decyzyjne. – Uważam, że trzeba zbadać i nazwać po imieniu te struktury grzechu, a potem zrobić wszystko, by je zlikwidować. Kościół ma obowiązek wziąć stronę ofiar i w imię solidarności z nimi zwalczać złożone przyczyny kryzysu.

Jakie to przyczyny? Zależność, podległość, nieprzejrzystość decyzji, utrudniony dostęp do urzędów i sprawiedliwości w ramach wspólnoty Kościoła, nierówność praw i ochrony wszystkich ochrzczonych, a nie tylko ordynowanych. A w tym również obraz i pozycja kobiety.

Czy przewodniczący episkopatów zdążą porozmawiać także o tym na długo wyczekiwanym, ale krótkim, jak na wagę globalnego kryzysu, spotkaniu? Jeśli nic z tym mający władzę w Kościele nie zrobią, nie zdziwmy się, że za 20 lat jakaś była zakonnica stanie przed nami mówiąc: mogło mnie to nie spotkać, gdybyście naprawdę chcieli temu zapobiec.

©℗ ZUZANNA RADZIK

Korzystałam z materiałów konferencji „Overcoming Silence – Women's Voices in the Catholic Abuse Crisis” dostępnych na stronie organizatorek Voices of Faith: www.voicesoffaith.org

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nadchodzi wielki audyt

ABP CHARLES SCICLUNA:

Spodziewam się, że na spotkaniu papieża z przewodniczącymi episkopatów dojdzie do powołania jednostek specjalnych – takich watykańskich *task force* – które będą sprawdzać stosowanie przyjętych zasad dotyczących pedofilii.

EDWARD AUGUSTYN: Za kilka dni rozpoczyna się spotkanie papieża z przewodniczącymi wszystkich episkopatów poświęcone problemowi pedofilii w Kościele. Czy możliwe jest opracowanie jednakowych na całym świecie standardów postępowania w tej sprawie?

ABP CHARLES SCICLUNA: Istnieją takie standardy. To te, które wywodzą się z prawa Bożego. Ono jest nienegocjowalne. Wykorzystywanie seksualne nieletnich jest gwałceniem Bożego prawa. Normy tego prawa, prawa naturalnego, ukazują rangę tematu, o którym rozmawiamy.

Natomiast jeśli chodzi o sposób postępowania w takich przypadkach, to również mamy uniwersalne reguły, które da się stosować wszędzie. To przede wszystkim obowiązek zbadania sprawy i skierowania jej do Kongregacji Nauki Wiary.

Oczywiście szczegółowe rozwiązania mogą być różne w konkretnych krajach, gdzie spotykamy się z odmiennymi kulturami i mentalnościami. W niektórych np. wstyd odgrywa tak ważną rolę, że – niestety – uniemożliwia zgłoszenie przestępstwa, nawet jeśli jest taki prawny obowiązek.

O jakich krajach Ksiądz Arcybiskup mówi?

Na przykład o azjatyckich. Pamiętam, jak kard. Luis Antonio Tagle z Filipin opowiadał, że najpoważniejszą przeszkodą w zgłaszaniu przestępstwa pedofilii w jego kraju jest wstyd, który jednak należy traktować jako formę obrony godności i prywatności jednostki czy dobrego imienia rodziny. To zatem kwestia kultury i potrzeba czasu, by sytuacja się zmieniła. I choć musimy troszczyć się o prywatność ludzi oraz ich prawo do dobrego imienia, to musimy też troszczyć się o sprawiedliwość. Dlatego takim społeczeństwom trzeba pomagać zrozumieć, jak ważne jest zgłaszanie nadużyć seksualnych i wszelkich nadużyć władzy kościelnej. Są one zdradą Bożego prawa, zniekształceniem obrazu Dobrego Pasterza, który oddaje życie za swoje owce. Kapłan, który nadużywa danej mu władzy i wykorzystuje seksualnie nieletnich, nie jest pasterzem, ale wilkiem w owczej skórze.

Czy podczas spotkania zostaną podjęte konkretne decyzje, czy też będzie kolejną okazją do „ubogacenia" świadomości biskupów?

Moim zdaniem, a myślę, że i Ojca Świętego, który często to podkreśla, trzeba przede wszystkim dać biskupom okazję wzajemnego posłuchania się, wymiany doświadczeń, wyrażenia własnego zdania, opowiedzenia o swoich obawach, spojrzenia na problem w sposób kolegialny – nawet jeśli nie będą to wszyscy biskupi, a tylko ich przedstawiciele, czyli przewodniczący episkopatów. Konkretne decyzje zostaną podjęte później. Są to przecież często decyzje, które może podjąć jedynie władza najwyższa, czyli papież.

Jakie na przykład?

Choćby zmiana prawa kanonicznego. Ale nawet jeśli mówimy o działaniach na szczeblu lokalnym, to spotkanie też nie jest najlepszym miejscem do podejmowania decyzji. Oczywiście zrozumiałe jest oczekiwanie, i mocna nadzieja, że przewodniczący episkopatów wrócą do domów i poprawią przyjęte wytyczne na temat postępowania w przypadkach pedofilii. Albo że zaczną je stosować.

Wszystkie episkopaty opracowały takie wytyczne?

Prawie wszystkie. Wymóg opracowania wytycznych został ogłoszony w 2011 r. i przez osiem lat Stolica Apostolska kilkakrotnie o tym przypominała. W ośmiu krajach, przede wszystkim afrykańskich, które borykają się z poważnymi problemami, na przykład trwa w nich wojna, jeszcze tego nie zrobiono. Ale trudno zarzucić tym episkopatom brak dobrej woli. Przeszkody są raczej obiektywne i zrozumiałe.

Często bywa, że wytyczne sobie, a życie sobie.

Owszem, bo wytyczne, jak zresztą każde prawo, nie zbawią świata. Potrzebna jest dobra wola i chęć po stronie liderów, a wręcz wszystkich ludzi na poziomie lokalnym, by wprowadzić je w życie, stosować się do prawa. Prawo jest ledwie początkiem procesu.

Nie należałoby realizacji wytycznych pilnować?

To także. Według mnie jest pilną potrzebą, i wierzę, że na najbliższym spotkaniu do tego dojdzie, by powstały jednostki specjalne, takie watykańskie *task force*, które będą pomagać episkopatom w różnych częściach świata zorientować się, w jakim są miejscu, jeśli chodzi o stosowanie przyjętych zasad.

Co to będą za jednostki?

O tym będziemy dyskutować. Decyzję, kto będzie za to odpowiedzialny, podejmie papież. Albo komu zadanie zostanie przekazane, bo można przecież poprosić zewnętrzną agencję, niezwiązaną z kurią rzymską. Chodzi o coś, co zwykle nazywa się audytem. Musimy stworzyć system, który będzie dobrze działał, a nie dobrze wyglądał na papierze.

Czy do tego audytu mogą zostać zaangażowani świeccy eksperci?

Bez wątpienia. Jeśli chodzi o pomoc lokalnym społecznościom w chronieniu dzieci i młodzieży, o właściwą prewencję, potrzebujemy pomocy ekspertów. Nie jest powiedziane, że muszą to być osoby duchowne, choć nie jest też powiedziane, że być nimi nie mogą. Liczą się kwalifikacje. Najwłaściwsze będzie przekazanie audytu w ręce fachowców.

Każda kontrola, każdy audyt wymaga oczywiście współpracy obu stron, ale też dystansu. Nie mogę kontrolować sam siebie. Potrzebna jest osoba z zewnątrz. To musi być jasne.

I oni będą kontrolować prace episkopatów?

CHARLES SCICLUNA
(ur. 1959) jest prawnikiem kanonistą, arcybiskupem Malty. Od 1995 r. pracował w Kurii Rzymskiej, najpierw w Najwyższym Trybunale Sygnatury Apostolskiej, potem w Kongregacji Nauki Wiary (od końca 2018 r. jest jej sekretarzem pomocniczym). Prowadził sprawy związane z najpoważniejszymi przestępstwami duchownych, szczególnie dotyczące molestowania małoletnich. Koordynował m.in. śledztwo ws. Marciala Maciela Degollado, założyciela Legionistów Chrystusa. Na początku 2019 r. Franciszek mianował go specjalnym wysłannikiem do Chile z zadaniem zbadania mechanizmów tuszowania przypadków pedofilii przez biskupów.

ESTEBAN FELIX / AFP / EAST NEWS

Abp Charles Scicluna, Santiago, Chile, czerwiec 2018 r.

Powiedziałbym raczej „wspomagać". Kontrola to zbyt mocne słowo. Gdy audyt wykaże, że coś idzie w niewłaściwym kierunku, decyzję podejmie władza wyższa. Ten, kto przeprowadza kontrolę, ma sprawę zbadać i zreferować, ale nie będzie mieć kościelnej jurysdykcji.

Czy jest Ksiądz Arcybiskup zwolennikiem powoływania niezależnych komisji do badania przypadków pedofilii w Kościele? Jaki model byłby najlepszy – komisja państwowa, jak w Pensylwanii i Irlandii, czy niezależna, ale powołana przez Kościół, jak w Niemczech?

Zaraz, zaraz. Nie mieszajmy pojęć ani jurysdykcji.

To, o co pan pyta, to całkiem inna kwestia. Czym innym jest dochodzenie w sprawie konkretnego przestępstwa, czym innym prewencja, a jeszcze czym innym ocena, jak podchodzono do sprawy w lokalnym Kościele. Jeśli chodzi o przestępstwo pedofilii, w każdym przypadku powinno zostać wszczęte dochodzenie. Zarówno państwowe, bo mówimy o czynie kryminalnym, jak i kanoniczne, jeżeli dopuściła się go osoba duchowna. To są dwie jurysdykcje, niezależne od siebie.

Komisje, o których pan mówi, były powołane do wyjaśnienia, jak w latach ubiegłych sprawy były traktowane przez władze kościelne. To zupełnie co innego, choć nie twierdzę, że mniej ważne. Takie dochodzenie jest Kościołowi pomocne, bo pokazuje, na ile jest odpowiedzialny jako wspólnota i czy ma odpowiedzialnych przywódców.

Natomiast do zbadania konkretnego przypadku pedofilii nie trzeba żadnej komisji, ani państwowej, ani kościelnej. Ma się tym zająć z jednej strony policja, z drugiej biskup.

Czy biskup powinien mieć obowiązek poinformowania władzy świeckiej o każdym przypadku pedofilii wśród jego księży?

W liście okólnym Kongregacji Nauki Wiary z 2011 r. jest jasno napisane, a Stolica Apostolska wiele razy to powtarzała, że Kościoły lokalne – czyli w tym wypadku biskupi – muszą stosować się do przepisów prawa państwowego.

To zasada ogólna. Biskup powinien uszanować decyzję podjętą w tej sprawie przez władzę świecką i do niej się dostosować.

A czy oskarżony o pedofilię ksiądz powinien zostać natychmiast odsunięty od pełnienia obowiązków?

Oskarżony czy winny? Bo to jest różnica. Pan pyta o księdza oskarżonego. To jeszcze nie oznacza winy. Dopiero gdy wina zostanie stwierdzona, należy nałożyć sprawiedliwą karę.

Co to znaczy sprawiedliwą?

Kara sprawiedliwa jest adekwatna do popełnionego przestępstwa. Tu mówimy o przestępstwach najpoważniejszych, dlatego i kara może być najsilniejsza, jaką przewiduje prawo kanoniczne, włącznie z usunięciem ze stanu kapłańskiego. Pamiętajmy też o „zasadzie ostrożności", sformułowanej przez św. Jana Pawła II na spotkaniu z kardynałami z USA 23 kwietnia 2002 r. Papież powiedział: „Nie ma miejsca w kapłaństwie i w zakonach dla tego, kto skrzywdzi młodego człowieka". To bardzo jasna wskazówka, która powinna być stosowana. Jeśli ksiądz jest winny – jest zagrożeniem dla całej wspólnoty. I nie może pełnić swej posługi. ↦

Ile bezpodstawnych oskarżeń trafia do Kongregacji Nauki Wiary?

Niewiele. Procentowo to liczba bliska zeru. A to z powodu filtru, jakim jest biskup lokalny, który ma zatrzymać bezpodstawne oskarżenia. Obowiązkiem biskupa jest zgłosić do KNW każdy wiarygodny przypadek. Zdarzają się przecież oskarżenia fałszywe, motywowane choćby chęcią otrzymania odszkodowania. Oczywiście od razu mówię, że odszkodowania trzeba płacić, ale wtedy, gdy są zasadne i mają oparcie w faktach.

Tak więc przypadki, gdy sprawa trafia już do KNW i kończy się uniewinnieniem, są naprawdę bardzo rzadkie.

Czy tylko biskup może zgłosić sprawę do Kongregacji?

Nie. Zdarzają się skargi przesyłane przez osoby prywatne, ale wtedy KNW i tak odsyła je do biskupa lokalnego, aby przeprowadził wstępne dochodzenie. Zawsze, gdy Stolica Apostolska otrzymuje skargę bezpośrednią, przekazuje ją biskupowi miejsca. Dlatego namawiamy, by najpierw kierować się do niego. Tak jest roztropniej.

Prawo mówi, że biskup – gdy otrzyma skargę – musi rozpocząć wstępne dochodzenie. I jeśli oskarżenie jest oparte na faktach, musi je przekazać do Kongregacji Nauki Wiary. Ta rejestruje przypadek, nadaje numer sprawie, sporządza protokół. Decyduje też, jaki rodzaj dochodzenia należy wdrożyć: czy będzie proces karny, czy karno-administracyjny, czy przestępstwo się nie przedawniło. KNW może też zdecydować, że będzie prowadzić sprawę sama, albo poprosić biskupa o przeprowadzenie procesu na miejscu, albo zwrócić się do innej diecezji czy metropolii. Dzieje się tak z różnych powodów: czasem biskup mówi, że nie ma odpowiednich prawników, czasem oskarżony jest osobą znaną i ważną, więc lepiej, aby o jego winie zdecydował sąd w innej diecezji. Zwykle jednak proces odbywa się w diecezji oskarżonego kapłana, a Kongregacja musi zostać poinformowana o jego rezultacie. Jeżeli biskup chce nałożyć karę najwyższą, *espiatoria perpetua*, czyli wykluczenie z kapłaństwa, musi poprosić KNW o mandat.

Jak długo to wszystko trwa?

Zależy od okoliczności. Kodeks prawa kanonicznego mówi, że proces nie powinien trwać dłużej niż rok. Oczywiście najpierw czeka się na odpowiedź z KNW, czy proces ma się odbyć. Na szczeblu diecezji nie powinien trwać dłużej niż kilka tygodni, ale często to nierealne, bo trzeba przesłuchać świadków, którzy nie zawsze są dostępni. Każdemu należy dać możliwość złożenia zeznań, również strona oskarżona może powołać świadków obrony. Stąd trudno określić konkretne ramy czasowe, w których da się zamknąć każdą sprawę.

> Kapłan, który nadużywa danej mu władzy i wykorzystuje seksualnie nieletnich, nie jest pasterzem, **ale wilkiem w owczej skórze**.

Ile spraw jest w tej chwili rozpatrywanych w KNW?

Nie jestem w stanie podać aktualnych statystyk, bo od siedmiu lat nie jestem już rzecznikiem sprawiedliwości, który się takimi sprawami zajmował.

Był nim Ksiądz Arcybiskup w latach 2002-12 i wtedy mówił o 3 tys. prowadzonych spraw przeciwko księżom, z czego 10 proc. dotyczyło pedofilii w sensie ścisłym, a więc aktywności seksualnej wobec dzieci przed okresem dojrzewania, a pozostałe to przypadki efebofilii, czyli kontaktów seksualnych z osobami w okresie dojrzewania, tej samej lub przeciwnej płci. Czy dziś jest spraw więcej czy mniej?

Proszę pamiętać, że tamta liczba wiązała się z lawiną oskarżeń, jaka w latach 2003-04 napłynęła ze Stanów Zjednoczonych. Mimo że, powtarzam, nie potrafię podać dokładnych statystyk, to jestem przekonany, że obecnie liczba spraw jest mniejsza.

Co robić, gdy pojawią się oskarżenia w stosunku do osoby zmarłej? Zwłaszcza znanej, zasłużonej dla Kościoła i społeczeństwa?

W takim przypadku nie może być mowy o procesie karnym, który można wytoczyć tylko osobie żyjącej. Nie przewiduje tego ani prawo kanoniczne, ani państwowe. Chodzi raczej o skonfrontowanie się z prawdą, zwykle bolesną. Ludzie mają prawo do poznania prawdy, nawet jeśli jest to powodowane gniewem czy frustracją. To pozwala im poradzić sobie z traumą albo po prostu, psychologicznie rzecz ujmując, oczyścić pamięć. Potrzebny jest jednak proces historyczny, nie sądowy. Podobnie – choć *à rebours* – jak w procesie kanonizacyjnym, którego też nie przeprowadza się wobec osób żyjących, można powołać komisję historyczną.

Sprawcy popełniają ciężkie przestępstwo, a potem głoszą moralne nauki, sprawują sakramenty... Jak to wytłumaczyć?

To ogromna tajemnica – ludzkiej słabości, ale i psychiki, która tworzy mniej lub bardziej prymitywne mechanizmy obrony i dostosowania się do sytuacji traumatycznej czy konfliktowej. Bo grzech, zwłaszcza tak wielki, stwarza w sumieniu kapłana przerażający konflikt pomiędzy ideałem, jakiego kiedyś szukał w kapłaństwie, a życiem.

Czy nie jest tak, że księża – w końcu specjaliści od rozgrzeszania – sami zbyt łatwo się rozgrzeszają?

Nie można samemu się rozgrzeszyć. Jak? Przed lustrem? To nie golenie.

Miałem na myśli łatwe usprawiedliwianie swego postępowania.

Owszem, niektórzy mają zdolność łatwego usprawiedliwiania się. To boli mnie najbardziej. Szukają każdej łagodzącej okoliczności, próbują się tłumaczyć: zostałem uwiedziony, to nie moja wina, jestem słabym człowiekiem... Trzeba pamiętać, że – czy to ze względu na przyczyny, czy słabość sprawcy, czy skutki grzechu, jakie spadły na innych – każdy taki przypadek to oddzielna tragedia.

A co powiedziałby Ksiądz rodzicom dzieci, którzy boją się dziś zapisać syna do grupy ministrantów albo córkę do parafialnej scholi? Na co powinni zwracać uwagę?

Przede wszystkim prosiłbym ich, by byli osobiście zaangażowani w to, co dzieje się w ich parafii. Obecność rodziców albo ich przedstawicieli, do których mają zaufanie, jest gwarancją również dla księży pracujących w parafii. W żadnej organizacji kościelnej zrzeszającej dzieci, czy to będą ministranci, czy chór, czy jakakolwiek inna inicjatywa, nie powinno się zostawiać do-

rosłego sam na sam z dzieckiem. To kwestia roztropności. Trzeba też wymagać od parafii, by wprowadziła mechanizmy ochrony dzieci. Na przykład by spotkania nie odbywały się w pomieszczeniach prywatnych, by miały charakter transparentny.

Rodzice i opiekunowie muszą też być świadomi pewnych niepokojących symptomów. Na przykład gdy dziecko przestaje jeść, nie chce iść na spotkanie ministrantów czy próbę chóru, jest przygnębione... Trzeba z dziećmi rozmawiać. One muszą wiedzieć, że mają możliwość opowiedzenia o tym, co czują, co je spotkało.

Są też przecież tragiczne przypadki, gdy dziecko nie chce iść do kościoła, bo było molestowane, a rodzice je zmuszają, ponieważ mają do księdza zaufanie. Zaufanie można mieć, ale zawsze trzeba też być ostrożnym i uważnym.

Co powinno się w Kościele zmienić? Jeśli nie od razu, podczas spotkania biskupów, to w najbliższej przyszłości?

Wszyscy zadajemy sobie to pytanie. Na pewno jak najszybciej powinno się zmienić podejście do przepisu, który nakazuje zgłoszenie sprawy. Wymóg sprawiedliwości jest imperatywem, który każdy musi zrozumieć. Inna rzecz, którą według mnie należy mocno przemyśleć i rozwinąć, to kwestia odpowiedzialności episkopatu, liderów Kościoła, w kontekście synodalnym. Jak pisał Franciszek w „Liście do Ludu Bożego" w sierpniu 2018 r.: ochrona dzieci nie jest sprawą kilku osób, odpowiedzialnych czy sprawujących funkcje duszpasterskie. To sprawa całego Ludu Bożego. A do tego potrzebna jest zmiana kulturowa w Kościele.

> W przypadku oskarżenia o pedofilię osoby zmarłej **ludzie mają prawo do poznania prawdy**. Potrzebny jest wówczas jednak proces historyczny, a nie sądowy.

Może powinniśmy zacząć inaczej myśleć o Kościele? Ciągle słyszymy, że Kościół jest święty, tylko ludzie grzeszni. A może to nie pojedynczy ludzie są zepsuci, ale instytucja sama w sobie – jej struktury i systemy: edukacji, formacji kapłańskiej, kościelnego awansu?

Nie, nie mogę powiedzieć, że system jest zepsuty, tylko że potrzebuje ciągłej, nieustannej reformy. Słowa „wierzę w święty Kościół" są aktem wiary. Przedmiot wiary nie zawsze jest dla nas wyraźny. Wierzymy w świętość Kościoła, ale wiemy też, że ta rzeczywistość zależy i od nas. Jesteśmy grzesznikami, ale jednocześnie szukamy świętości życia.

Struktury są neutralne, można ich użyć w dobrym lub złym celu. Podobnie jak prawo. Ale nie one są sercem Ewangelii, tylko spotkanie z Jezusem. Stosujmy kryterium św. Ignacego z Loyoli: *tantum quantum* (o tyle, o ile). Struktura jest dobra o tyle, o ile pomaga nam być wiernymi Jezusowi. Jeżeli nie, trzeba ją zmienić.

Czy kształcenie w seminariach przystaje do obecnych czasów i problemów? Czy wychowawcy kleryków nie żyją w przekonaniu, że kształtują elitę – liturgiczną, duchową, moralną, kulturalną, w dodatku męską i bezżenną. Że produkują „superchrześcijan"?

Jan Paweł II, wielki i święty papież, w adhortacji „Pastores dabo vobis" mocno podkreślał, że formacja kapłanów musi opierać się na czterech filarach. Pierwszym jest formacja ludzka. To według mnie najbardziej aktualny i pilny aspekt przygotowania przyszłych księży. Jak mówił św. Jan Paweł II, każdy człowiek powołany jest do miłości. Celibat, który młody człowiek wybiera, decydując się na kapłaństwo, też musi być wyrazem miłości. Taka powinna być motywacja. To pragnienie powinno być wsparte przez mocną formację ogólnoludzką, także psychologiczną. Jeśli nie zrobiliśmy tego, o czym mówił Jan Paweł II w 1990 r., to znaczy, że niczego nie zaczęliśmy.

Franciszek też mówi jasno o pokusie klerykalizmu. O traktowaniu kapłaństwa jako platformy władzy i znaczenia. Pan Jezus nie przyszedł, żeby mu służono, ale żeby służyć. Wystarczy popatrzeć, jak myje stopy uczniom. I brać przykład. Nie ma innego sposobu.

©℗ Rozmawiał w Watykanie:
EDWARD AUGUSTYN

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Głos Boga – kol bat

Traktat Talmudyczny zwany Sentencjami Ojców zaczyna zdanie: „Mojżesz otrzymał Torę na górze Synaj i przekazał ją Jozuemu, Jozue starszyźnie, ci Prorokom, a Prorocy przekazali ją mężom Wielkiego Zgromadzenia". Wszystko, co otrzymał Mojżesz, Torę pisaną wraz z instrukcjami (Tora ustna), ma swoją genealogię. Nic w historii istotnego nie zginęło, a to, co trwa, zachowało przez pokolenia wiarygodność i pewność. Tradycja nie została nigdy zerwana, a pamięć ludu Izraela uszczuplona. To jest jeden z podstawowych argumentów, który ma uprawomocnić duchowe dziedzictwo Mojżesza.

Można jeszcze dodać: wedle midraszy Tora pisana została włożona do Arki i z nią wędrowała przez pustynię, aż trafiła do Pierwszej Świątyni. Tora ustna przechodziła od ojca do syna. Od nauczycieli do uczniów. Tak jak dzisiaj w jesziwach Mea Szarim, jerozolimskiej dzielnicy zamieszkałej przez ultraortodoksyjnych Żydów. Dzięki Sentencjom Ojców wiemy, że kanon wiedzy jest gotowy i znany. Nakazem jest strzec Torę i budować wokół niej ochronny mur. Wiemy, że należy być wiernym naukom, ale nie wiemy, czy i jakie dopuszcza się w nim innowacje, dopowiedzenia, uzupełnienia konieczne razem ze zmianami w społecznym i kulturowym otoczeniu.

Kolejny midrasz, dość często komentowany, rzuca dodatkowe światło na uprawomocnienie Tory ustnej. Rzecz dotyczy kol bat, czyli Głosu Boga, i wiąże się z bardzo mocnym, do dzisiaj szanowanym przekonaniem, że od czasów Proroków głos Boga nie dociera do wiernych. Zapewniają nas o tym twórcy Talmudu i jego średniowieczni komentatorzy. Jeśli ktoś się powołuje na nagłe objawienia, twierdzi, że otrzymał od Najwyższego jakieś wskazania, to nie należy mu wierzyć. W najgorszym wypadku trzeba go zamknąć w zakładzie psychiatrycznym. O prawie i jego wykładniach nie decydują wyższe siły, cudowne zjawiska, głosy z niebios, ale rozum, czyli mądrość. Największy dar, jaki otrzymaliśmy od Boga.

Rzecz dotyczy w tym midraszu kwestii, wydawałoby się, drugorzędnej, a mianowicie tego, czy zbudowany piec jest koszerny. Rabin Eliezer przedstawił wszystkie dowody na to, że konstrukcja pieca jest zgodna z prawem, ale nie zgodzili się z nim pozostali rabini. Wtedy Eliezer odwołał się do cudu: „Jeśli moje zdanie jest prawdziwe, niech dowiedzie tego drzewo świętojańskie". Wtedy drzewo przeskoczyło sto łokci, na co odparli rabini: niczego nie sposób dowieść za pomocą drzewa. Wtedy rabin Eliezer powiedział: „Niech tego dowiedzie strumień", i wody odwróciły swój kierunek, i zaczęły płynąć pod górę. Wtedy oni rzekli: „Nie sposób niczego tak udowodnić". Eliezer imał się różnych cudów, ale i tak nikt ze zgromadzonych ich nie akceptował. Wtedy usłyszeli Boski głos, który oznajmił: „Co macie przeciw rabinowi Eliezerowi? Prawo jest takie, jak on je oznajmia". Na co rabin Jehoszua wstał i powiedział: „Tora nie jest w niebie. Jest na ziemi. I my, wierni Bogu i Jego nakazom, będziemy postępować wedle zasady większości". ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Dopaść wroga

Ciężkie życie miał Dawid pod władzą króla Saula. Przez jakiś czas musiał się przed nim ukrywać, aż nadarzyła się okazja do pozbycia się śmiertelnie niebezpiecznego wroga. Dawid wraz z kilkoma żołnierzami zakradł się nocą do obozu Saula. Widząc pogrążonego w głębokim śnie króla, „Abiszaj szepnął do Dawida: »Tej nocy Bóg wydaje twojego nieprzyjaciela w twoje ręce. Pozwól mi teraz przybić go do ziemi jego włócznią! Wystarczy jedno pchnięcie i nie trzeba będzie drugiego«". Dawid jednak nie usłuchał Abiszaja, zabrali tylko włócznię króla i kiedy byli już bezpieczni, krzykiem zbudzili śpiących, a Dawid zadał Saulowi pytanie: „Czemu to, mój panie, ścigasz swojego sługę? Co uczyniłem? Jakiego przestępstwa się dopuściłem?". Po wiekach dojdzie do podobnej rozmowy.

Potomek Dawida, podobnie jak on skrzywdzony, udzielając rady swoim uczniom i zwolennikom, powie: „Lecz wam, którzy słuchacie, mówię: Miłujcie waszych nieprzyjaciół. Dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą. Błogosławcie tych, którzy was przeklinają, i módlcie się za tych, którzy was oczerniają. Temu, kto cię uderzy w policzek, nadstaw i drugi, a temu, kto ci zabiera płaszcz, nie odmawiaj i tuniki". Nie upłynie wiele czasu, a Jezus Chrystus, autor tych słów, będzie musiał osobiście zaświadczyć o ich prawdziwości. Kiedy postawiony przed sądem zostanie spoliczkowany, do znęcającego się nad Nim powie: „Jeśli źle coś powiedziałem, to udowodnij, co było złe, a jeśli dobrze, to dlaczego Mnie bijesz?".

Kiedy już się tak zdarzy, że i nam Bóg odda w nasze ręce naszych wrogów, wtedy staniemy przed niezwykle trudnym egzaminem, który wykaże, kim naprawdę jesteśmy. Czy żyjemy w duchu Dawida i Jezusa, czy też Abiszaja i sługi arcykapłana? Jak zachowamy się jako skrzywdzeni i jak potraktujemy pokonanych? Odpowiedź pokaże prawdę choćby o naszym podejściu do godności osoby ludzkiej. Według Dawida i Jezusa przykazanie miłości nieprzyjaciół polega na trosce o nich, o ich sumienie, o ich człowieczeństwo. Obydwaj, nie zważając na własne bezpieczeństwo, zamiast się bronić, usiłują obudzić sumienie prześladowców, pobudzić do namysłu nad postępowaniem, nad odpowiedzialnością za swoje słowa, myśli, uczynki i zaniedbania, co przecież jest początkiem przemiany sposobu myślenia, a więc nawrócenia.

Bóg oddaje w nasze ręce wrogów – zarówno wtedy, gdy znęcają się nad nami, jak i wtedy, gdy są wobec nas bezsilni – ale nie na zatracenie. Zawsze mają prawo oczekiwać chrześcijańskiego traktowania. A to wymaga od nas odejścia od chęci odpłacania pięknym za nadobne. Nawrócenia umysłu i serca, gdyż jak mówi Ignacy z Loyoli: „O ileż żarliwiej należy wysilać się, żeby ujarzmić ducha niż ciało i żeby poruszenia duszy łamać, a nie kości. Trudniej jest powściągnąć ducha, niż dręczyć ciało". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Poruszone serce Jezusa

Takie staje się stworzenie, jak to, co przezeń kochane.

KATARZYNA ZE SIENY

Wraz z dobrem pożąda się nieśmiertelności, ponieważ dobro pragnie się posiadać na zawsze.

DIOTYMA Z MANTYNEI

Wybrał PIOTR SIKORA

Liturgia przyniosła nam ostatnio opis dwóch rozmnożeń chleba: najpierw na zachodnim, a później na wschodnim brzegu Jeziora Galilejskiego. Uderzył mnie w nich jeden szczegół – oddający motywy Jezusa.

„Zlitował się nad nimi [tzn. nad zgromadzonymi]" – mówi Marek w pierwszym przypadku; a w drugim wkłada w usta Pana słowa: „Żal mi tego tłumu". W obu zdaniach pojawia się to samo greckie słowo: *splagchnizomai* – być poruszonym do samych wnętrzności. Jezus jest najgłębiej poruszony: nie może spokojnie, zachowując chłodny dystans przejść obok tego, co widzi. Przeciwnie: to, co widzi, przewraca w Nim trzewia, nie pozwala pozostać bezczynnym – Jezus musi działać.

Jaki widok dosięga Jezusa w Jego wnętrzu? W pierwszym przypadku odpowiedź formułuje Marek: „byli bowiem jak owce nie mające pasterza"; w drugim znów wkłada ją w usta samego Pana: „bo już trzy dni trwają przy Mnie, a nie mają co jeść".

Pierwsza sytuacja jest dramatyczna: owce bez pasterza są wystawione na wiele niebezpieczeństw – nie znają drogi ani na pastwisko, ani do zagrody; nie mają obrońcy przed wilkiem, ale (i to jest najważniejszy w tym obrazie refren biblijny) są rozproszone. Zapomniały głosu pasterza, lecz przez to utraciły również relacje między sobą – są głęboko podzielone, błądzą po wszystkich pagórkach – a to w Piśmie Świętym jest obraz bałwochwalstwa. Czasami są rozproszone, gdyż zostały rozgonione przez złych pasterzy, którzy troszczyli się jedynie o siebie samych.

Nic dziwnego, że Jezus jest głęboko poruszony na widok Ludu Bożego, który znalazł się w takim stanie. To poruszenie i wewnętrzne wzburzenie (owocujące czynem) nazywa się miłosierdzie: „zlitował się nad nimi".

W drugim przypadku wszakże to, co widzi, nie jest godne pożałowania – tym razem Jezusa nie porusza duchowa bieda, dramatyczna wewnętrzna kondycja towarzyszących Mu ludzi. Jest znowu wstrząśnięty do głębi serca, ale możliwie najbardziej pozytywnym doświadczeniem: widzi ludzi, którzy trzy dni trwają przy Nim. Przylgnęli do Niego, przyszli nie na moment – są z Nim „jak latorośl w winnym krzewie" – skupieni na Nim i na Jego słowie tak dalece, że wszystko inne przestało się liczyć: „co będziemy jeść, co będziemy pić, w co będziemy się przyodziewać". Ponoć o to wszystko poganie zabiegają, a oto Jezus jest właśnie po „pogańskiej" stronie jeziora, a to właśnie tutejsi ludzie z taką fascynacją odkryli przy Nim wartość Królestwa Bożego. Ta obecność nie tylko ich buduje. Jest ważna również dla Jezusa. Czy nie to miał na myśli św. Hieronim, kiedy tłumaczył Jezusowe zdanie („już trzy dni trwają przy Mnie"): „*iam triduo sustinent Me*" – co można by oddać po polsku: „już trzy dni Mnie podtrzymują"?

Ich trwanie dodaje Mu sił. Pokazuje Mu, że warto. Jezus jest poruszony doświadczonym dobrem, doznaną miłością i zaangażowaniem. Taka miłość też zmusza Go do działania. Musi dotrzymać danego słowa i spełnić obietnicę: „szukajcie wpierw Królestwa, a wszystko inne będzie wam przydane". ©

CZYTANIA LITURGICZNE (24 II – 3 III)

7. Niedziela Zwykła: 1 Sm 26, 2. 7-9. 12-13. 22-23; Ps 103; 1 Kor 15, 45-49; Łk 6, 27-38;
Poniedziałek: Syr 1, 1-10; Ps 93; Mk 9, 14-29;
Wtorek: Syr 2, 1-11; Ps 37; Mk 9, 30-37;
Środa: Syr 4, 11-19; Ps 119; Mk 9, 38-40;
Czwartek: Syr 5, 1-8; Ps 1; Mk 9, 41-43. 45. 47-50;
Piątek: Syr 6, 5-17; Ps 119; Mk 10, 1-12;
Sobota: Syr 17, 1-15; Ps 103; Mk 10, 13-16;
8. Niedziela Zwykła: Syr 27, 4-7; Ps 92; 1 Kor 15, 54b-58; Łk 6, 39-45.

PAŃSTWO DLA FRAJERÓW

Jarosławowi Kaczyńskiemu partia nie wystarcza. Wśród narzędzi oddziaływania są także media, wpływowe środowiska kościelne czy akademickie. Ale sam dla swobody działania nie wiąże się z żadną instytucją.

RAFAŁ MATYJA

System władzy stworzony przez Kaczyńskiego jest czymś wyjątkowym w III Rzeczypospolitej. Prezes PiS ma pozycję silniejszą niż ktokolwiek wcześniej. Kontroluje nie tylko zachowania większości parlamentarnej i rządu, dysponuje też narzędziami spoza wąsko rozumianej polityki. Projektowana inwestycja w centrum Warszawy miała ten system zwieńczyć. Miała zapewnić Kaczyńskiemu narzędzia oddziaływania w warunkach ewentualnej politycznej dekoniunktury.

Rok wyborczy to okres, w którym wiele wydarzeń sprowadza się do jednego pytania: jak wpłyną na zachowania głosujących? Tak też stało się z ujawnionymi przez „Gazetę Wyborczą" nagraniami rozmów Jarosława Kaczyńskiego i jego współpracowników.

Dyskutujący nie raczyli wziąć pod uwagę, że nawet największa „medialna bomba" III Rzeczypospolitej, jaką było nagranie rozmowy Adama Michnika z Lwem Rywinem, nie przyniosła natychmiastowego czy nawet szybkiego załamania notowań SLD. Uruchomiła proces dekompozycji tej partii, wzmacniany przez prace komisji śledczej i kolejne afery z udziałem polityków lewicy.

Gdyby po publikacji „Ustawy za łapówkę" nie doszło do żadnych działań w przestrzeni publicznej, proces utraty poparcia przez lewicę byłby z pewnością jeszcze wolniejszy.

Znaczenie publikacji „Wyborczej" nie polega dzisiaj na jej bezpośrednim wpływie na postawę wyborców PiS (bo przecież zmiana notowań tej partii nie zachodzi wskutek wzrostu oburzenia jej przeciwników!). W wymiarze politycznym poważnie komplikuje sytuację Jarosława Kaczyńskiego, który musi liczyć się z tym, że po zmianie władzy sprawa może być przedmiotem badania przez organy ścigania. Po drugie – w wymiarze, który jest politycznie ciekawszy – dostarcza trudnej do podważenia wiedzy o mechanizmach rządzenia po roku 2015.

Wyjątkowość

System rządów Prawa i Sprawiedliwości jest inny niż w latach poprzednich, gdy lider partii stał na czele rządu koalicyjnego i nie dysponował innymi niż formalne zasobami, umożliwiającymi przetrwanie lub dyscyplinowanie własnej partii. Donald Tusk mógł skutecznie osłabiać pozycję Grzegorza Schetyny, ale nie miał kontroli nad żadnym medium, które mogłoby uruchomić negatywną kampanię przeciwko niemu. Co więcej, w sensie formalnym brał na siebie pełną odpowiedzialność za politykę rządu i wspierającej go sejmowej większości.

Model wprowadzony przez PiS po 2015 r. nie powiela też – wbrew prostym analogiom – rządu koalicji Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności kierowanego „z tylnego siedzenia" przez Mariana Krzaklewskiego (1997–2000). Wówczas Krzaklewski nie został premierem, ponieważ musiał utrzymać kontrolę nad główną siłą AWS – związkiem zawodowym Solidarność, którego był przewodniczącym. Ponadto Krzaklewski sformalizował swoją pozycję także jako szef silnie spluralizowanego klubu parlamentarnego AWS, gdzie toczyły się codzienne boje o spójne głosowanie tej formacji w takiej czy innej sprawie. To zadanie było – paradoksalnie – z punktu widzenia efektywności politycznej istotniejsze niż kierowanie pracami rządu.

W przypadku prezesa PiS nie mieliśmy do czynienia ani z tego typu przeszkodą, jaką było kierowanie związkiem zawodowym, ani z koniecznością pilnowania spójności klubu. Przesłanką podstawową było zachowanie większej swobody ↦

Konferencja prasowa klubu PiS w sprawie zasad prowadzenia polityki rozwoju, na kilka dni przed opublikowaniem przez „Gazetę Wyborczą" nagrań Jarosława Kaczyńskiego. Warszawa, 26 stycznia 2019 r.

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS

Prawo i Sprawiedliwość

↦ manewru i niewikłanie się w bieżące obowiązki szefa rządu, które paraliżowałyby zdolność kontrolowania partii i obozu rządzącego. Kaczyński schował się za Beatą Szydło, a gdy to okazało się zbyt dysfunkcjonalne – za Mateuszem Morawieckim. Jednocześnie zrobił wszystko – zwłaszcza w momencie powoływania pierwszego gabinetu PiS – by pozycję premier Szydło osłabić i pokazać, że decyzje personalne podejmowane są na Nowogrodzkiej. Tę część modelu rządzenia widać było gołym okiem. Można na jej poparcie przytoczyć liczne oficjalne wypowiedzi polityków PiS, zachowania samego prezesa partii w momentach kryzysowych, a także wiarygodne informacje prasowe.

Nowogrodzka

Znacznie trudniej przeniknąć mechanizm funkcjonowania centrum na Nowogrodzkiej. Niezwykle cenne byłoby poznanie listy rozmówców Jarosława Kaczyńskiego. Analiza publicznie dostępnych kalendarzy premierów Marcinkiewicza i Kaczyńskiego z lat 2005-07 pozwala zauważyć pouczającą różnicę: Marcinkiewicz poświęcał znacznie mniej uwagi nadzorowi nad resortami sprawiedliwości i spraw wewnętrznych. Zapewne w czasie jego rządów szefowie tych resortów byli raczej sterowani wprost z Nowogrodzkiej, gdzie rezyduje Kaczyński, niż z Alei Ujazdowskich.

Jak jest teraz? Może kiedyś się tego dowiemy. Z pewnością są resorty i instytucje, które nie absorbują uwagi Kaczyńskiego. Są też takie, które uważa za najważniejsze. Czy oprócz ministrów rozmawia z kimś jeszcze, czy osobiście kontaktuje się z kierownictwem telewizji publicznej i szefami innych spółek Skarbu Państwa, czy spotyka się z prezesem NBP, czy rozmawia z szefami służb specjalnych? Wiedza na ten temat pozwoliłaby nam na rekonstrukcję systemu władzy skonstruowanego przez Kaczyńskiego.

Ujawnione nagrania pokazały nam, że w samym rdzeniu zainteresowań prezesa są działania podejmowane przez spółkę Srebrna. Jest im w stanie poświęcić dużo czasu i uwagi, prowadzi kluczowe rozmowy i podejmuje kluczowe decyzje. Wskazuje też na czysto polityczne przesłanki tych decyzji. Relacje między formalnymi władzami spółki a Kaczyńskim są dziś istotne przede wszystkim dla prawników. Z perspektywy, o której mówimy, ważne jest co innego: ujawniony mechanizm nie przewiduje delegowania zadań i nie włącza kolegialnych struktur partii w mechanizm decyzyjny. Nowogrodzka pozostaje pod indywidualną kontrolą prezesa.

> W samym rdzeniu zainteresowań prezesa są **działania spółki Srebrna.** Prowadzi tam kluczowe rozmowy i podejmuje kluczowe decyzje. Ich przesłanki są jednak czysto polityczne.

To pozwala postrzegać Kaczyńskiego nie jako lidera partii, ale względnie samodzielny ośrodek polityczny, w którego grze partia jest kluczowym i ulubionym, ale nie jedynym narzędziem. Co więcej, narzędziem, które może zawieść. Tak jak zawiodło kiedyś Porozumienie Centrum, gdy skuszone przez kierownictwo AWS „konfiturami" zdecydowało się na powołanie wspólnej partii z Partią Chrześcijańskich Demokratów. Wspólnej z PChD, ale bez udziału Jarosława Kaczyńskiego. Ten ostatni doprowadził do reaktywowania kadłubowego PC z Adamem Lipińskim na czele.

Dziś partia jest posłusznym narzędziem w ręku sprawującego nad nią kontrolę ośrodka centralnego. To jednak nie wystarczy. Kaczyński kontroluje różne układy, które sprawiają, że wśród jego narzędzi oddziaływania są nie tylko partia, ale także media, wpływowe środowiska kościelne czy akademickie. Warto jednak pamiętać, że obecnie prezes jest ich dobroczyńcą, mając wpływ na wydawanie publicznych środków, ważne nominacje czy formy uhonorowania. Nie wiadomo, jak zareagują dzisiejsi beneficjenci, gdy w innej sytuacji lider PiS zwróci się do nich o pomoc. A Kaczyński wie doskonale, że każda taka prośba uzależnia. Dlatego szczególnie ceni te narzędzia, którymi może dysponować swobodnie, nikogo nie prosząc o zgodę. To tłumaczy uwagę, jaką przywiązywał do sprawy nieudanej inwestycji w biurowce.

Ale ma to także pewne skutki systemowe. Modelu rządzenia państwem polskim nie możemy dziś analizować odwołując się do klasycznej formuły rządów partii jako struktury zarządzanej kolegialnie, kierującej się własnym instytucjonalnym interesem, kreowanym poprzez demokratyczne procedury decydowania. Specyficzną dla PiS relację między centralą partii a jej strukturami można by traktować jako wyjątek specyficzny dla pierwszej fazy budowania instytucji, gdyby nie to, że lider próbuje stworzyć sobie narzędzia zapewniające mu niezależność od struktur partii. To coś więcej niż popularna w Polsce „partia autorska".

Perspektywa

Tym, co decyduje o oryginalności PiS, jest nie tyko silniejsza niż zwykle statutowa pozycja prezesa. I nie tylko daleko posunięty respekt dla jego opinii i decyzji. O specyfice tego modelu rządzenia państwem i partią decyduje instrumentalizacja wszelkich instytucji, wynikająca z nieufności do wewnętrznej logiki ich działania. To stała cecha polityki Jarosława Kaczyńskiego, ale znacząco udoskonalona po doświadczeniach lat 90. Teraz chce zachować pełną zdolność politycznego manewru, ucieka jak może od każdego trwałego uwikłania. A instytucje z natury rzeczy takie uwikłanie generują.

Istotny jest też fakt, że „obóz biało-czerwony" obejmuje nie tylko rządzące ugrupowanie i jego klub parlamentarny. Filarami obozu są dziś także związane z nim media i przedsięwzięcia gospodarcze, a kluczowi partnerzy to związek Solidarność i instytucje kontrolowane przez o. Tadeusza Rydzyka. Nie tylko radio i telewizja czy dziennik, nie tylko uczelnia czy fundacja, ale także grupy duchowieństwa i laikatu katolickiego pozostające pod jego wpływem. Dlatego też symbolami rządów PiS może być nie tylko agenda socjalna (500 plus), ale także promowany przez związek zakaz handlu w niedzielę oraz zbiorowe śpiewy rządu i kierownictwa obozu rządzącego na urodzinach Radia Maryja.

Jednak nawet bliski politycznej omnipotencji obóz PiS nie może wszystkiego. Ujawnione przez „Wyborczą" nagrania pokazują także, jak Kaczyński postrzega mechanizm skutecznego blokowania jego działań. Dzieje się to za pośrednictwem niezależnych od PiS instytucji państwa, przede wszystkim samorządów, jak i opinii publicznej. Prezes PiS wskazuje na oba te ograniczenia w pierwszej z ujawnio-

nych rozmów, mówiąc o warunkach pomyślnego przeprowadzenia i medialnego usprawiedliwienia budowy. Można zatem przyjąć, że następna kadencja rządów tej formacji oznaczałaby próbę przełamania obu barier.

Przypomnijmy, że tuż przed wetem prezydenta w sprawie sądów mieliśmy do czynienia z wetem zmieniającym mechanizm nadzoru samorządów przez Regionalne Izby Obrachunkowe. Zapewne sprawa – w nieco może zmienionej wersji – wróci w drugiej kadencji rządów PiS. Zwłaszcza że partia ta spektakularnie przegrała wybory do samorządów miejskich (nie tylko największych miast).

Druga kadencja rządów Prawa i Sprawiedliwości to także bardzo prawdopodobne próby przejęcia mediów. W sposób taki, o jakim mówiono przy okazji apetytów na Radio Zet, lub w taki, jaki stosował na Węgrzech Viktor Orbán. Z tą różnicą, że Kaczyński pozostaje bardziej nieufny wobec potencjalnych oligarchów. Stara się budować własne zabezpieczenia, oparte na najbardziej zaufanych, ale niewtrącających się do partyjnej polityki osobach – takich jak Kazimierz Kujda czy Barbara Skrzypek. A jednocześnie pilnuje, by nie wyrosła partyjna oligarchia, która będzie zdolna się od niego uniezależnić. Tym bardziej że ludzie partii, która zdobywa reelekcję, czują się znacznie pewniej w korzystaniu z renty władzy. Perspektywa drugiej kadencji to zatem dla Kaczyńskiego także konieczność wzmocnienia tego typu kontroli.

A ryzyko oddania przez PiS władzy będzie większe niż dla jakiejkolwiek innej ekipy. Nie tylko dlatego, że metody zastosowane w 2015 r. można z łatwością powtórzyć, „odbijając państwo" z rąk PiS. Immunizowane na zewnętrzną kontrolę mechanizmy rządzenia i każdy nieformalny pożytek z posiadania władzy zostałyby – w razie wygranej w wyborach – bezwzględnie wykorzystane przez obecną opozycję.

Polityczne wahadło

PiS usprawiedliwiał się zawsze w jeden sposób – wskazując na poczucie krzywdy sięgające jeszcze lat 90. Walka o respektowanie standardów, jaką toczyli jego politycy i zaprzyjaźnieni publicyści, zamieniła się po roku 2015 w specyficzną perswazję pod hasłem „my tylko wyrównujemy rachunki". W niektórych sferach – np. w propagandowym wykorzystaniu telewizji publicznej – PiS poszedł znacznie dalej niż poprzednicy. Mimo to dysponując ogromnymi publicznymi środkami i prowadząc zupełnie dowolną politykę kadrową prawica ma wciąż poczucie bycia w defensywie. Dobro Polski redukuje do przywracania zachwianej blisko 30 lat temu równowagi.

> Oryginalność PiS wynika nie tylko z silniejszej niż zwykle statutowej pozycji prezesa. **O specyfice tego modelu rządzenia decyduje nieufność** wobec wszelkich instytucji i wewnętrznej logiki ich działania.

Taka logika usprawiedliwiania własnej zachłanności skutecznie blokuje mówienie o jakiejkolwiek naprawie życia publicznego. Jeden z realistycznych – a nawet odrobinę cynicznych – scenariuszy wzmocnienia państwa, jaki rozważano w ostatnich latach, polegał na tym, że do władzy dojdzie premier spragniony władzy, i na chęci potwierdzenia swojej potęgi poprzez sprawcze działania, przywrócenie autorytetu strukturom państwa, redukcję napięć politycznych.

Rządy PiS nie tylko nie podjęły tych zadań, ale znacząco osłabiły instytucjonalny mechanizm państwa: tak na poziomie zmian w sądownictwie, jak i ograniczonego w realnych politycznych kompetencjach centrum rządu. W warunkach jednopartyjnej większości sejmowej czynnikiem blokującym okazała się nie opozycja, ale nadzwyczajna pozycja szefa partii, ignorującego formalne ograniczenia swojej władzy i lubiącego interweniować „poza trybem".

Samo zniesienie tej zasady będzie dla państwa korzystne. Wszystko wskazuje na to, że ktokolwiek przejmie władzę po PiS, nie będzie chciał odwoływać się do podobnego mechanizmu. Ale logika „rozliczenia PiS", która jest nieuchronna przy kolejnym wychyleniu politycznego wahadła, nie będzie sprzyjała działaniom zmierzającym do odbudowy zaufania do instytucji państwa i ich sprawności.

Kiedy zastanawiamy się, czy można ten sposób rządzenia odwrócić, należałoby zacząć raczej od nowego mechanizmu dystrybucji zaufania. Odmiennego nie tylko od tego, który po 2015 r. wprowadził Jarosław Kaczyński, ale różniącego się też od obyczajów partii władzy, jaką była PO. Zanim ktokolwiek będzie mógł sięgnąć po zmiany na poziomie ustrojowym i konstytucyjnym, można sobie wyobrazić krok pierwszy: wyjście poza skrajną nieufność do otoczenia, na jakiej zostały oparte rządy PiS. Na szkodliwość chorobliwego braku zaufania zwracali liderowi PiS uwagę nie tylko jego opozycyjni krytycy czy neutralni obserwatorzy, ale także osoby zaangażowane po stronie obozu „dobrej zmiany". Profesor Andrzej Nowak, diagnozując przyczyny porażki PiS w wyborach prezydentów i burmistrzów miast, wskazywał właśnie na tę nieufność jako źródło zamykania się partii i niezdolności docierania do innych środowisk.

Dlatego w kontekście nadchodzących wyborów warto przypominać o tym, co pod rządami PiS najmocniej niszczyło sferę publiczną, a co ma swe źródło w metodzie politycznej Kaczyńskiego. To traktowanie zaufania jako frajerstwa, a kapitału społecznego jako szkodliwego konstruktu ideologicznego, któremu przeciwstawić można mechanizm kontroli państwa przez struktury zdyscyplinowanej partii. Zmiana politycznego stylu działania to nie jest kwestia elegancji czy lepszego PR. To przede wszystkim trudna polityka przywracania instytucjom ich autonomii, rekonstrukcji procedur parlamentarnych, budowania republikańskiego minimum polegającego na przejrzystości instytucji publicznych i stworzenia mediów publicznych, które nie będą tubą jednej ze stron.

Każda z tych rzeczy jest ryzykowna ze względu na logikę toczącej się od lat politycznej wojny. Nieufność podpowiada kurczowe trzymanie się twardego partykularyzmu. Dokąd on prowadzi – pokazuje znakomicie system rządzenia zbudowany przez Kaczyńskiego. Najgorszym skutkiem rządów PiS byłoby to, gdyby ów system uznano za skuteczny i godny naśladowania.

© RAFAŁ MATYJA

Autor jest politologiem, wykładowcą WSIiZ w Rzeszowie. Ostatnio ukazała się jego szeroko dyskutowana książka „Wyjście awaryjne" o życiu publicznym w Polsce. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego".

POPiS w pląsach

RAFAŁ WOŚ

Oto rywal zdolny wyrwać PiS z błogiego samozadowolenia tych, którzy najlepiej rozumieją prawdziwą Polskę. A dla opozycji oferta nadrobienia lat, kiedy nie próbowała zrozumieć, dlaczego przegrała.

Zaczęło się czytanie Roberta Biedronia wedle zestawu stereotypów. Skoro homoseksualista, to oczywiście skupiony na sprawach obyczajowych. Kiedyś u Palikota, więc rzecz jasna antyklerykał i neoliberał. Dobrze wypada w telewizji, to naturalnie plastikowy celebryta. A ponieważ chce podwyższać płace nauczycieli, to na pewno populista za nic mający reguły zdrowej gospodarki. Takimi uproszczeniami można się żywić w nieskończoność. Albo odrzucić je i dostrzec, że to szansa na wytrącenie polskiej polityki z pata. Zawieśmy na moment spory światopoglądowe i zastanówmy się, czy Wiosna nie jest okazją, by zmusić wreszcie gnuśniejący układ POPiS do pląsu.

Opozycja idzie łatwą drogą

Było przedwiośnie roku 2016. PiS wciąż świętował wyborcze zwycięstwo. Motywem przewodnim tamtej kampanii była – jak pamiętamy – „dobra zmiana". Jej potrzeba nie wzięła się znikąd. To było pokłosie trwającej przez cały okres późnych rządów Platformy krytyki modelu polskiej transformacji. Nastawionego bardziej na ekonomiczną skuteczność niż na społeczną spójność.

Kilka lat poprzedzających wybory roku 2015 to fascynujący czas. Z czarno-białej opowieści o najlepszym z możliwych modelu przemian przeszliśmy do pełnego jaskrawych barw sporu o sprzeczności takiego modelu kapitalizmu. Wielu do dziś nie chce zaakceptować, że to PiS odnalazł się w tym nowym szybciej od konkurentów. Postawił problem płacy minimalnej i prekariuszy wypchniętych na fikcyjne samozatrudnienie. Najbardziej przekonująco mówił o drobnych przedsiębiorcach skazanych na porażkę w starciu z korporacjami. To jego narracji słuchali mieszkańcy Polski powiatowej, którym skasowano pekaes do Radomia, Piły albo Konina.

Wróćmy więc do przedwiośnia roku 2016. Po stronie liberalnej opozycji rysują się wówczas dwie drogi. Pierwsza jest trudniejsza: zakłada wymyślenie czegoś zupełnie nowego i podtrzymania deklaracji „tak, byliśmy głupi". Ale była również druga droga. Polegała na uruchomieniu starych sprawdzonych skryptów, tych z czasów pierwszych rządów PiS-u (2005-07): straszenia kataklizmem gospodarki, nastaniem autorytaryzmu i wyjściem Polski z Unii Europejskiej. Ale także starszych, czyli wspomnień skutecznego obywatelskiego oporu z czasów późnego PRL.

Wybrano tę drugą drogę. PiS oczywiście dawał ku temu dobre powody. Opozycja zaczęła jednoczyć się wokół kwestii praworządności i obrony polskiego członkostwa w Unii Europejskiej.

Druga szansa liberałów

Coraz bardziej konfrontacyjnej retoryce towarzyszyła jednak niemal kompletna dezercja opozycji z tematów społeczno-gospodarczych. Zupełnie jakby uznała, że skarga na transformację stanowiła tylko majak PiS-owskiej propagandy. A ci, co w niego uwierzyli, to niedojrzały do demokracji lud, gotów sprzedać konstytucyjne gwarancje wolności za 500 złotych na drugie dziecko.

To dlatego opozycja mówiąca w latach 2016-18 o sprawach społecznych, problemach świata pracy czy instytucjach państwa dobrobytu posługiwała się anachronicznymi kliszami z lat 90. (np. projekt ustawy o ograniczeniu roli związków zawodowych zgłoszony przez Nowoczesną w 2016 r.). Albo działała *ad hoc*. Protestują lekarze rezydenci? Popieramy, bo może zaszkodzić PiS-owi. PiS rozładował chwilowo napięcie w służbie zdrowia? Porzucamy temat czekając na kolejną okazję. Na przykład protest niepełnosprawnych.

Dlatego dla opozycji okopanej pod flagą „najpierw odsuńmy PiS od władzy, a potem się zobaczy" partia Wiosna to w 2019 r. deprymujący wyrzut sumienia. Pokazuje bowiem ten błysk, jaki obóz anty-PiS-u mógłby dziś prezentować, gdyby w 2016 r. wybrał trudniejszą, pozbawioną rujnującej nostalgii drogę. Zaczynającą się jednak od przyznania, że wtedy – w wyborach 2015 r. – to PiS miał rację w kwestii skaz, jakie transformacja pozostawiła na społecznej spójności. Dziś byłoby to świetne miejsce, z którego opozycja mogłaby zacząć marsz w kierunku odzyskania w Polsce władzy.

Ile PiS-u w Wiośnie?

Siła Biedronia nie polega tylko na tym, że może promieniować na opozycję. Jego prawdziwym atutem, choć nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę, jest potencjalny wpływ na PiS. Bo Wiosnę łączy z partią Kaczyńskiego więcej, niż chcieliby to przyznać sympatycy obu ugrupowań.

Nie jest przypadkiem, że Robert Biedroń był pierwszym politykiem spoza obozu władzy, który otwarcie głosił słuszność i skuteczność programu 500 plus: „Nie kibicuję PiS-owi, ale jako burmistrz Słupska nie mogę nie widzieć, że w moim mieście dzięki rządowym świadczeniom więcej dzieci wyjechało na kolonie i mniej rodzin korzysta z pomocy społecznej". Tak mówił w roku 2016, gdy opozycja skupiała się na argumentach, że to ekonomiczne szaleństwo,

JANEK SKARŻYŃSKI / AFP / EAST NEWS

Robert Biedroń na konwencji Wiosny, Warszawa, 3 lutego 2019 r.

które przyniesie fiskalny kataklizm, na miarę kryzysu greckiego sprzed paru lat. Dziś z tymi samymi oskarżeniami o brak ekonomicznej odpowiedzialności może się zmierzyć Dariusz Standerski. Z tą tylko różnicą, że głównemu doradcy ekonomicznemu Biedronia stawia się zarzut, że postulaty emerytury obywatelskiej zamienią Polskę nie w Grecję, lecz w... Wenezuelę.

Jeśli na spokojnie i bez uprzedzeń wsłuchać się w to, co mówią dziś Biedroń i jego ludzie, to mamy opowieść podobną do tego, co głosił PiS przed 2015 r. Też jest tutaj mowa o potrzebie naprawienia szeregu społecznych niesprawiedliwości, które ujawniły się po trzech dekadach transformacji. Na przykład sztandarowa propozycja emerytur obywatelskich w wysokości 1600 zł to przecież nic innego jak próba uprzątnięcia bałaganu, jaki nastał w wyniku wielkiej prywatyzacji emerytur z 1999 r.

Przypomnijmy, że przed reformami rządu Buzka i Balcerowicza mieliśmy w Polsce system emerytalny oparty na tzw. zasadzie zdefiniowanego świadczenia, czyli o solidarności międzypokoleniowej: jest pewien standard godnego życia w jesieni życia, a ci, co pracują, płacą podatki na tych, co już pracować nie mogą. I oczekują tego samego od kolejnych pokoleń. Rok 1999 zmienił to na „zdefiniowaną składkę", czyli zasadę, że każdy sam sobie odkłada na indywidualnym koncie co nieco na godną starość.

Z pozoru system miał skłaniać do zapobiegliwości. I faktycznie, jeśli masz dobrą pracę i regularne dochody, to możesz sobie na zapobiegliwość pozwolić. Co innego, jeśli zmagasz się z uśmieciowionym rynkiem pracy od zlecenia do zlecenia albo jesteś kobietą i często wypadasz z okresów składkowych. Nie odłożysz dość, żeby przeżyć. Taki mamy system. Biedroń to pierwszy w Polsce polityk, który na ten temat zwraca w ogóle uwagę. Przed wyborami 2015 r. w PiS-ie też było trochę takich głosów. Ale ucichły, gdy gospodarkę wzięli pogodzeni z modelem „zdefiniowanej składki" ludzie premiera Morawieckiego.

Praca? Idąc tropem niezwykle socjalnego rządu Beaty Szydło (2015-17), Biedroń stawia mocno sprawę płacy minimalnej. Chce ją docelowo powiązać ze średnim wynagrodzeniem (powinna sięgać 60 proc.), czym PiS wręcz przebija. Podobnie jest z postulatem płatnych urlopów dla zatrudnionych na śmieciówkach. Deglomeracja (przeniesienie niektórych urzędów centralnych poza Warszawę) czy rozwój sieci transportu lokalnego oraz społeczne mieszkalnictwo to tematy, które PiS początkowo zajmowały, ale zostały zarzucone. Częściowo z powodu nieudolności rządzących, a trochę z powodu braku presji ze strony skupionej na innych tematach opozycji.

Unia Europejska? Warto zauważyć, że propozycje Wiosny są jednak inne od mowy-trawy o wspólnym unijnym domu. Odnajdziemy tu znaną na lewicy krytykę neoliberalnego modelu eurointegracji za jej brak solidarności i utratę kontaktu ze zwykłymi ludźmi. To krytyka inna niż ta prawicowa, operująca raczej kategorią zagrożonej narodowej tożsamości. I bardziej strawna dla zmęczonych permanentnym dyplomatycznym starciem „Polska kontra reszta świata", które uprawia obecna władza.

Gdzie ten radykalizm?

Wbrew temu, co mówią niektórzy komentatorzy, żadna z ekonomicznych propozycji Wiosny nie jest szczególnie radykalna. Owszem, emerytury obywatelskie czy podwyżka płacy minimalnej mogły szokować na przełomie stuleci. Gdy lewica wprowadzała podatek liniowy, a związki zawodowe uważane były za szkodliwy spadek po PRL-u. Ale nie dziś, gdy nad Europą krąży widmo dochodu podstawowego. W USA z kolei popularność zdobywa nowa polityka monetarna głosząca, że jeśli państwo staje przed dylematem: dług czy wydatki publiczne, to bez wahania powinno dać priorytet wydatkom. W Europie zaś coraz głośniej mowa o opodatkowaniu zysków firm związanych z postępami robotyzacji pracy. Chiny z kolei przestają się kojarzyć z zasobem taniej pracy, lecz raczej są dowodem na to, że państwo może i powinno być dużo bardziej aktywne w gospodarce, niż jest to dziś na Zachodzie (my nie musimy jednak tego robić rezygnując – jak Chiny – z demokracji). Tych wszystkich rzeczy u Biedronia nie ma. Trudno więc mówić tu o jakimkolwiek radykalizmie czy lewicowym populizmie.

Biedroń na wiele pytań będzie musiał jeszcze odpowiedzieć. Wielu zapewne odepchnie albo rozczaruje. Na razie jego największy atut polega na tym, że jest. I wprowadza do gry nową dynamikę, zdolną ruszyć starych, nudnych graczy z wygodnych pozycji. Tego – zdaniem wielu – polskiej polityce w ostatnim czasie bardzo brakowało. Na przekór plemienności, przewidywalności i automatyzmowi, które powoli zabijały naszą wiarę w sens demokracji jako sposobu na udane życie politycznej wspólnoty. ©℗

Mąż zaufania

MICHAŁ OKOŃSKI

„Pan gra całym sercem, można by wręcz powiedzieć, że pan gra, jakby bronił pan prawdy…" – pisał o pewnym piłkarzu Ota Pavel. Szkoda, że nie znał Błaszczykowskiego, bo on nie tylko tak gra, ale i żyje.

Dzień zapowiadany jako historyczny, jak to często bywa, historyczny się nie okazał. Na stadionie Górnika Zabrze panował przejmujący ziąb, wychodzących na rozgrzewkę piłkarzy Wisły Kraków witały gwizdy, później zaś drużyna gospodarzy grała szybciej i bardziej pomysłowo, a gdy zdobyła drugą bramkę, było jasne, że rywale już się w tym meczu nie podniosą. Ten, na którego przybysze z Krakowa liczyli najbardziej, oczywiście nie zawiódł, bo nie zawodził chyba nigdy. Zagrał pełne 90 minut, co po raz ostatni w meczu ligowym przydarzyło mu się półtora roku temu, ale w pojedynkę odmienić losów spotkania nie był w stanie. Cudu w Zabrzu nie doczekaliśmy, cuda zresztą w futbolu zdarzają się rzadko.

Mimo porażki w pierwszym meczu, powrót Jakuba Błaszczykowskiego na polskie boiska nie przestał przecież być wyjątkowy – i pokazały to już wyniki oglądalności telewizyjnej transmisji, najlepsze od z górą dwóch sezonów naszej ekstraklasy. Niby trudno się dziwić: nigdy wcześniej zawodnik o takim statusie sportowym nie kończył kariery w ojczyźnie. Nigdy wcześniej nie biegał tu człowiek, w którego piłkarskim życiorysie znalazły się dwa mistrzostwa i Puchar Niemiec, zdobyte z grającą wówczas fenomenalny futbol Borussią Dortmund, występ z tą drużyną w fi-

nale Ligi Mistrzów oraz (co dla Błaszczykowskiego pewnie ważniejsze, a co zarazem jest rekordem Polski) 103 mecze w reprezentacji kraju.

Tych, którzy chcieli go w Zabrzu oglądać, nie przyciągał jednak tylko blask wielkiej (a zarazem dogasającej, co tu kryć) kariery. Nowy kapitan Wisły to nie tylko człowiek, który przez wiele lat strzelał ważne bramki albo wypracowywał je kolegom. To człowiek, w którego życiu od sukcesów ważniejsze były porażki, a raczej sposób, w jaki się z nich podnosił. Którego kontuzje, fizyczny ból i psychiczne cierpienia (choćby po pamiętnym rzucie karnym, niewykorzystanym podczas ćwierćfinału mistrzostw Europy w 2016 r. z Portugalią, czego skutkiem było odpadnięcie Polski z turnieju) zawsze przypominały kibicom, że po boisku nie biegają jedynie supermeni w stylu Cristiano Ronaldo czy Roberta Lewandowskiego, ale ludzie z krwi i kości. Ludzie, którzy oprócz oszałamiających kontraktów reklamowych i superszybkich samochodów mają jeszcze swoją życiową historię i którzy drogę do sukcesu musieli okupić licznymi ofiarami.

Sam Jakub Błaszczykowski z dziennikarzami rozmawia rzadko i niechętnie, jeszcze bardziej niechętnie używa pierwszej osoby, ale co najmniej kilka razy słyszałem, jak oburzał się hejtem, który spadł na Justynę Kowalczyk po jej przejmującym świadectwie na temat załamania nerwowego i walki z depresją. Powinniśmy ją przecież wspierać – tłumaczył. Pamiętać, ile dała nam radości, a nie krytykować przy pierwszym słabszym momencie. Często nie zdajemy sobie sprawy, jaki jest powód czyjejś gorszej formy – dodawał – a sądzimy kogoś takiego z całą bezwzględnością.

Czy mówił też o sobie?

Ciągle walczę

O tym, jaka jest historia Jakuba Błaszczykowskiego, nie dowiedzieliśmy się od razu. Najpierw, niemal równe 14 lat temu, patrzyliśmy, jak sprowadzony z czwartej ligi niewysoki i szczupły nastolatek debiutuje w wielkiej wówczas, przynajmniej na polskie warunki, Wiśle – tej dobijającej się do europejskich pucharów – i radzi sobie nie gorzej niż gwiazdy, już w debiucie strzelając pierwszego gola i asystując przy bramce kolegi. Dwa lata później usłyszeliśmy o jego transferze do Borussii, gdzie – dzięki współpracy z trenerem Jürgenem Kloppem – wyrósł na międzynarodową gwiazdę.

Wiedzieliśmy, oczywiście, o trapiącym go pechu: już w 2006 r. przymierzano go do wyjazdu na mundial, ale plany te pokrzyżowała kontuzja, podobna sytuacja przydarzyła się dwa lata później przed mistrzostwami Europy, a w 2014 r. doznał najpoważniejszego urazu – wyłączającego go z gry na pół roku, ale też skutkującego odebraniem podczas tej, bardzo długiej jak na piłkarski fach, nieobecności, tak ważnej dla Błaszczykowskiego godności kapitana polskiej reprezentacji. Wiedzieliśmy o uporze, z jakim walczył o powrót do zdrowia także w miesiącach poprzedzających ubiegłoroczny mundial, gdy ból pleców był tak silny, że czasami nie był w stanie wstać z łóżka. I mimo to trenował indywidualnie, żeby zdążyć na pewnie ostatnią wielką imprezę piłkarską w życiu. Zdarzyło się, że w ważnym meczu pucharowym Wisły grał ze złamaną kością śródstopia. „Twardziel", „wojownik", „gladiator" to słowa, którymi tytułowano niejeden jego portret, a obraz ten sam wzmacniał licznymi deklaracjami typu: „Ciągle walczę. Wynika to z mojego charakteru".

Długo nie wiedzieliśmy za to, że urodzony we wsi pod Częstochową, jako siedmiolatek na treningi w swoim pierwszym klubie dojeżdżał 25 kilometrów pekaesem. Że zanim trafił do Wisły, jeszcze jako 15-latek próbował swoich sił w Zabrzu: że w szkółce piłkarskiej Górnika spędził kilka miesięcy, ale zrezygnował z perspektyw szybkiej kariery i postanowił wrócić na czwartoligowe boiska po tym, jak w internacie zetknął się z kradzieżami, narkotykami czy wysyłaniem przez starszych kolegów po alkohol („Przychodzili w nocy, darli się, to nie miało nic wspólnego z normalnym życiem – wspominał po latach w rozmowie z autorką swojej biografii, Małgorzatą Domagalik. – Ktoś powie: słaby charakter, ale g... prawda. Dziś może z tych, co się wtedy darli, tylko dwóch czy trzech gra w piłkę. Pozostali kariery nie zrobili, przepadli").

Chciałbym zasnąć

Przede wszystkim jednak nie wiedzieliśmy o tym, czego 11-letni Kuba był świadkiem 13 sierpnia 1996 r.

„Bawię się klockami, jest uchylone okno, i nagle słyszę rozmowę – opowiadał dziennikarce, która z czasem, po wielu spotkaniach zyskała jego zaufanie na tyle, by zdecydował się powierzyć jej tę historię. – Wiem, kto rozmawia, zamarłem, i słyszę, jak się kłócą: a masz, ty k...! I krzyk: Aaa! Wybiegłem, jak stałem. I widzę, jak mama leży w rowie, i jak ojciec odchodzi. Wróciłem do domu i krzyczę: »Mama leży w rowie«. Wróciłem do niej i zacząłem ją dotykać, taki specyficzny zapach się unosił. Myślałem, że to mleko się wylało. Wziąłem ją za rękę, a moje dwa czy trzy palce wpadły do rany".

Nie wiedzieliśmy, nie byliśmy i nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, z jaką ceną wiąże się bycie świadkiem takiej sceny. Nie mieliśmy świadomości, że obciążony ↦

PAWEŁ ANDRACHIEWICZ / PRESSFOCUS / MB MEDIA / GETTY IMAGES

Gol w meczu z Armenią podczas eliminacji ostatniego mundialu – a zarazem wspomnienie nieżyjącej matki. Erewań, październik 2017 r.

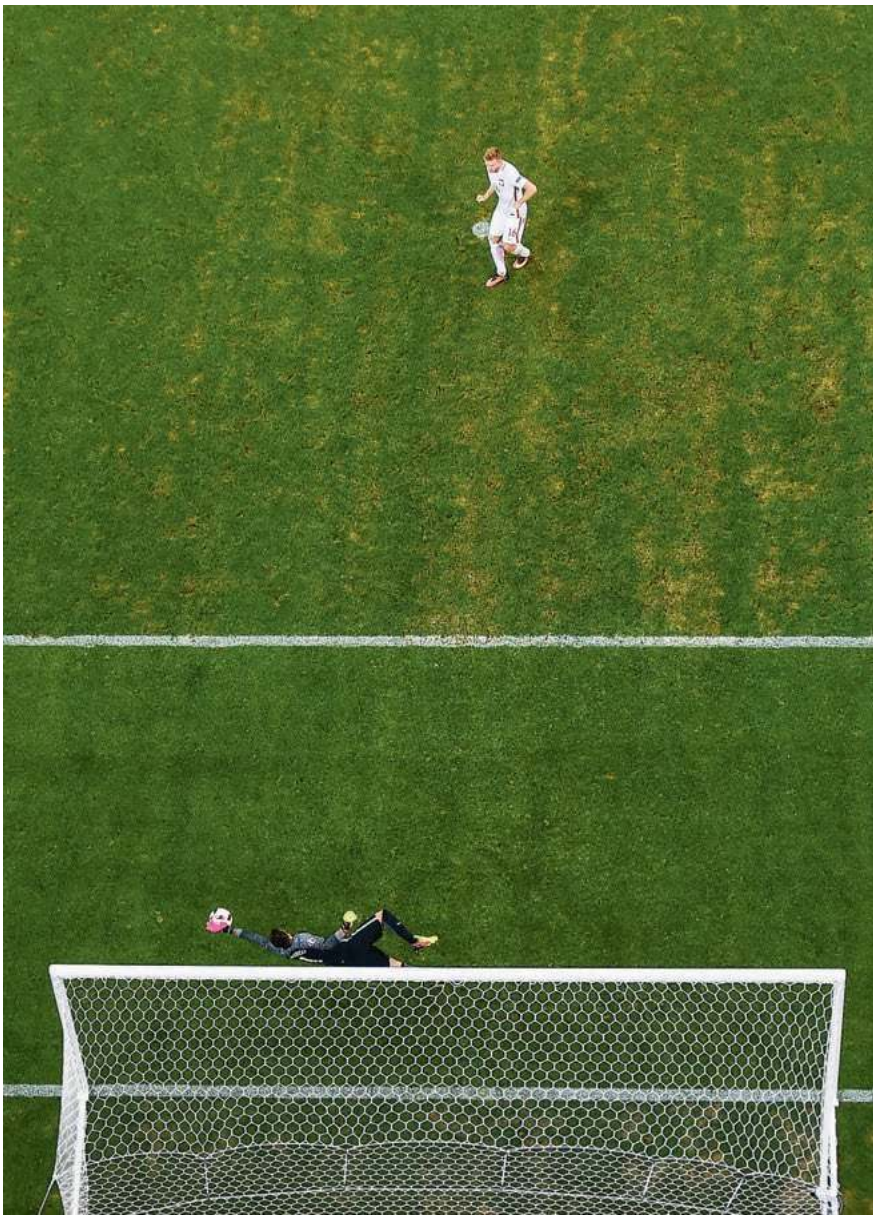

LAURENCE GRIFFITHS / GETTY IMAGES

Bramkarz Portugalii broni strzał Jakuba Błaszczykowskiego podczas serii rzutów karnych kończącej ćwierćfinał Euro 2016 – w karierze reprezentanta Polski od sukcesów ważniejszy jest sposób, w jaki podnosi się po takich porażkach. Marsylia, 30 czerwca 2016 r.

↳ nią chłopiec na dwa lata przestał rosnąć. Że po śmierci matki zamknął się w sobie, rzucił treningi, zaczął wdawać się w bójki. Że zmagał się z poczuciem winy i bycia napiętnowanym („Ludzie oceniali nas z bratem na zasadzie: jak ojciec morderca, to i synowie są tacy sami"), ale także z własną nienawiścią. Że biorąc do ręki kuchenny nóż potrafił mówić, że to na niego, jak już wyjdzie z więzienia.

„Są dwa etapy mojego dzieciństwa, a potem życia. Przed i po tragedii, która wywróciła je całkowicie" – powiedział Małgorzacie Domagalik. Dodał, że zgodził się na książkę biograficzną w przekonaniu, że jego historia może komuś pomóc: może pokazać, że jest światełko w tunelu. Ojcu w końcu przebaczył, nawet jeśli ten podczas rozmowy po latach relatywizował swoją winę. Ale swojej biografce wyznał również, że tylko kiedy leżał z mamą w łóżku i dotykał jej stopą, czuł się naprawdę bezpiecznie. Że na zawsze został mu w głowie zapach jej perfum i to, jak robiła murzynka i jak szumiał odkurzacz.

„Jak dziś Agata [żona piłkarza – MO] piecze murzynka i czasami jeszcze włączy odkurzacz, to... od razu kładę się na kanapie i chciałbym zasnąć" – zwierzył się zaufanej dziennikarce.

Wiem, że młodemu może być trudno

Ci, którzy go znają, mówią o uporze, z jakim sam musi rozwiązywać własne problemy. O chęci udowodnienia światu, a przede wszystkim sobie, że wciąż jest dobry. O przekonaniu, że jeśli przestanie od siebie wymagać, to przestanie się rozwijać. O wciąż napędzającej go rywalizacji (w ping-ponga, kości czy gry na PlayStation grać będzie tak długo, aż okaże się lepszy od kolegów, nawet puzzle układa z córkami na czas...). Ale też o skrywanej pod tym wszystkim delikatności. Przyjaciół ma niewielu, w większości znają się od małego – do dziś spotykają się w jego rodzinnych Truskolasach i grają w karty w jakimś garażu, żeby nie przeszkadzać śpiącym w domu dzieciom.

„Zawsze kiedy szedłem do mamy na cmentarz, to modliłem się, żeby mieć wokół siebie ludzi, których ona mi zsyła" – wyznał w pewnym momencie autorce biografii, i wydaje się, że na właśnie takich trafił. O wierze zresztą mówi otwarcie i z prostotą, w książce Domagalik znajdziemy również wypowiedzi jego spowiednika i słowa o tym, jakie wrażenie robi na nim papież Franciszek; pracując nad przebaczeniem, studiował życiorys Jana Pawła II, przed meczami modli się, korzystając z tzw. nowenny ojca Pio.

Kluczową postacią w pierwszych latach po tragedii była babcia, dzięki której nie trafił do domu dziecka. Kolejną – wujek piłkarz, obecny selekcjoner reprezentacji Polski Jerzy Brzęczek. To przed nim otworzy się podczas dramatycznej nocnej rozmowy w przydomowej komórce, przy okazji dwudziestych trzecich urodzin, gdzie pęknie tama milczenia i popłyną łzy. To Brzęczek będzie go uczył potrzebnej w futbolu i w życiu dyplomacji, to on będzie roztaczał nad Błaszczykowskim opiekę podczas każdego etapu kariery. To on będzie próbował udzielać mu odpowiedzi na takie pytania: „Jak to jest, że mój ojciec miał podobny do mojego charakter, był tak samo zawzięty jak ja... nie odpuszczał, a jednocześnie...?".

Swoją wrażliwość ujawniał wiele razy. Nie tylko puszczając przyjaciołom popularny swego czasu hit zespołu Ich Troje „Nie pij, tato" czy pomagając aklimatyzować się w piłkarskiej szatni – miejscu na ogół bezlitosnym – młodszym zawodnikom („Sam podchodzę do chłopaków, bo też kiedyś wchodziłem do różnych drużyn. Wiem, że młodemu może być

trudno podejść i o coś zapytać" – mówił przed mundialem „Gazecie Wyborczej" o pojawiających się w reprezentacji Polski debiutantach). Nie tylko przepraszając chłopca z domu dziecka, który wygrał w jakimś konkursie jego korki, że naprawdę nie potrafił ich bardziej doczyścić. Przede wszystkim angażując się w pomoc potrzebującym.

Płaczę nad ludzkimi dramatami

W ostatnich dniach najwięcej mówiło się o ponadmilionowej pożyczce, jakiej udzielił Wiśle, dzięki czemu klub uniknął natychmiastowego bankructwa, a także o tym, że podpisując z nią kontrakt zgodził się na najniższą możliwą w przypadku zawodowego piłkarza pensję: 500 zł miesięcznie, które zresztą w całości przekazuje na zakup biletów na mecze dla podopiecznych domów dziecka. Jest także założycielem fundacji Ludzki Gest, wspierającej chore i zdolne dzieci. Co ważne: w jego działalności charytatywnej nie chodzi tylko o świadomość, że ma się czym podzielić, i hojne przelewy, ale o bardziej osobiste zaangażowanie.

„Płaczę nad ludzkimi dramatami. Kiedyś byłem na to bardziej odporny, teraz nie mam siły" – mówi w jednej z rozmów. „Spojrzenie na świat zmienia się, gdy rodzą się dzieci. Kiedy widzisz dziecko, któremu dzieje się krzywda, to nie liczy się, czy to twoje, czy znajomego. To jest dziecko i automatycznie stawiasz się w miejscu tego rodzica, który nie wie, co robić" – dodaje kiedy indziej.

Nieżyjącą już, cierpiącą na glejaka mózgu Dominikę długo odwiedzał w trakcie choroby, grając z nią w chińczyka, nawet jeśli podczas ostatniej wizyty musiał już przesuwać jej rękę z pionkami po planszy. Nigdy takich historii nie nagłaśniał (to Małgorzata Domagalik dotarła do rodziców dziewczynki, dyrektorka Katedry Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii Dziecięcej we Wrocławiu opowiedziała z kolei o jego licznych wizytach i o tym, jaki kontakt łapie z jej podopiecznymi). Pytany o nie przez dziennikarzy odburkiwał raczej i prosił, by nie robili z tego sensacji. Nie chce, by ktoś pomyślał, że może robić coś pod publiczkę albo że buduje swój wizerunek na krzywdzie innego człowieka.

„Jakich ludzi jesteś ciekawy?" – pyta go w pewnym momencie autorka biografii. „Normalnych" – odpowiada. Kiedy indziej tłumaczy, że w proszących go o autograf fanach najbardziej ceni autentyczność. Tej, której pozbawieni są na ogół przedstawiciele tzw. wielkiego świata.

Gdyby wszystko było dobrze

I tak docieramy do odpowiedzi na pytanie, dlaczego jest tak kochany przez kibiców. Choć strzelał ważne bramki, choć bywał uczestnikiem wielkich meczów (np. Borussii z Malagą, kiedy skreślona już przez wszystkich drużyna z Dortmundu w ostatnich sekundach zdobyła dwa gole i awansowała do półfinału Ligi Mistrzów; o spotkaniach reprezentacji Polski, których losy przesądzał swoimi bramkami nie wspominając), nigdy nie był czarodziejem piłki. To Robert Lewandowski zdobywa gole bardziej efektowne, to Wojciech Szczęsny z większą swobodą porusza się w świecie mediów społecznościowych. Po nim jednak najbardziej widać, że mu zależy.

Jest taka anegdota o przypadkowym spotkaniu na wakacjach, w trakcie którego usłyszał, jak przy sąsiednim stoliku chłopiec pyta po cichu ojca, czy to ten facet, który dwa lata temu zawalił karnego z Portugalią, po czym dosiadł się do nich i powiedział, że owszem, to on jest tym facetem. Do Michała Kołodziejczyka, który niedługo później przeprowadzał z nim wywiad, jeszcze zanim zdążył usłyszeć pierwsze pytanie wypalił, że owszem, zamierza i tym razem podejść do strzału z jedenastu metrów. Zaraz po tamtym niepowodzeniu wyszedł zresztą do dziennikarzy, „wziął to na klatę", jak mówi. Skądinąd: nikomu poza nim samym nie było to chyba potrzebne, bo w wielkiej mierze to dzięki jego grze drużyna Adama Nawałki zaszła w ogóle tak daleko na tamtym turnieju.

Opowieść o życiorysie Jakuba Błaszczykowskiego jest więc także opowieścią o braniu odpowiedzialności – nawet w tak drobnych gestach, jak zamówienie herbaty zamiast piwa w miejscu publicznym, gdy dookoła kręcą się dzieciaki. Obecny powrót do Wisły również skwitował zdaniem, że gdyby z tym klubem wszystko było dobrze, pewnie by go tu nie było.

„Wisła to klub, który dał mi szansę zaistnieć. Rodzice i babcia wpajali mi, by nie zapominać, skąd się pochodzi, i doceniać, co w życiu osiągnąłem" – powiedział po powrocie do Krakowa.

Nie ma czegoś takiego jak „udało się"

Lojalność, wierność (nosił koszulkę z tym słowem po zdobyciu mistrzostwa Niemiec), świadomość własnych korzeni – rzadkie to przymioty, nie tylko zresztą w świecie piłki. Jeszcze rzadsza jest surowość, z jaką do siebie podchodzi, i świadomość, że pochwały bywają niebezpieczne. „Nie ma czegoś takiego jak »udało się« – mówi swojej biografce. – Jest talent, ciężka praca i to, na ile jesteś w stanie się w swoim życiu poświęcić. A to, czy będziesz miał z tego zapłatę, czy będziesz mógł robić to, co kochasz, to już inna rzecz. To niewiadoma".

Imponująca jest trzeźwość, z jaką Błaszczykowski nie daje się zamknąć w celebryckiej wieży z kości słoniowej. „My, piłkarze, robimy swoje – cieszę się, że mój zawód to moje hobby, zajmuję się tym, co kocham, i mam z tego dobre pieniądze – powiedział Michałowi Kołodziejczykowi. – Ale przecież to tylko praca, taka sama jak policjanta czy lekarza. A może nawet nie taka sama, tylko dużo mniej istotna. Lekarz odpowiada za ludzkie życie, nie pokazują tego w telewizji, ale to on jest bohaterem naszej codzienności. My tylko kopiemy piłkę".

Kiedy Jakub Błaszczykowski jest szczęśliwy? „Jak jeździliśmy moim maluchem ↦

POŻEGNANIE

Naszej redakcyjnej koleżance

Ani Łabuszewskiej

wyrazy szczerego żalu i współczucia

po stracie Mamy

składają

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

ALEX MARCINOWSKI / SE / EAST NEWS

Turniej dla dzieci zorganizowany przez założoną przez Jakuba Błaszczykowskiego fundację Ludzki Gest w jego rodzinnych Truskolasach, grudzień 2017 r. – piłkarz jest przekonany, że jego historia pokazuje, iż nie ma sytuacji bez wyjścia.

↦ i nagle paliwa brak, wtedy Kuba wysiadł i mnie pchał – wspominał jeden z przyjaciół z czasów młodości. – Pchaliśmy auto do domu, potem na stację, i był szczęśliwy. To była frajda. Szybko tam jeździliśmy i te zakręty. Fajna zabawa".

Powietrze

Pisząc ten tekst próbowałem, oczywiście, namówić go na spotkanie – na razie bezskutecznie, przez pierwsze dni po powrocie do Wisły odmawia indywidualnych rozmów z dziennikarzami. Chciałem mu podarować „Puchar od Pana Boga" Oty Pavla, mając w tyle głowy frazę wypowiedzianą do kończącego karierę piłkarza w opowiadaniu tytułowym: „Młodzi grali dobrze. Ale nie są tacy jak pan. Pan gra całym sercem, można by wręcz powiedzieć, że pan gra, jakby bronił pan prawdy...". Ale chciałem też zapytać o zaczynanie wszystkiego od nowa, do którego siłę daje sport.

Przede wszystkim jednak myślałem o dotknięciu tego, co będzie robił po zakończeniu kariery. Czy nie jest przypadkiem tak, że boi się momentu, w którym przestanie czuć tę adrenalinę, jaką wyzwala boiskowa rywalizacja, i ten rodzaj medytacyjnego wręcz skupienia, w którym – jak gdzieś opowiadał – „musisz się wyłączyć ze wszystkiego, co otacza cię wokół. Jesteś ty, piłka i partnerzy na boisku"?

Kiedy dziennikarka zadała mu proste pytanie, co takiego jest w piłce, że warto dla niej się poświęcić, odpowiedział od razu: „Powietrze". To miał być żart, ale trudno nie dostrzec ukrytej w tym słowie metafory. Trudno też się nie zatrzymać przy zdaniu, że najciężej w życiu jest nauczyć się i zrozumieć, że warto żyć teraźniejszością.

Czy tatą będziesz?

W książce Małgorzaty Domagalik zapowiadał, że kiedy skończy grać w piłkę, to przystopuje: „Dziś pracuję na komfort w późniejszym życiu. Nie mogę odpuścić. Mam nadzieję, że zacznę korzystać z tego, co mam. To, że gram w piłkę, to wspaniałe, ale równocześnie mam poczucie straconego czasu w stosunku do rodziny".

Mówił, że chciałby po prostu imponować swoim dzieciom: „Chciałbym, żeby doceniały, jakim jestem ojcem. Zresztą ojcem jesteś zawsze, a czy tatą będziesz? To już coś innego".

Deklarował (co akurat spełnił), że na pewno nie zostanie za granicą: „Wrócę tam, gdzie są moje korzenie. To, że dziś chcemy iść razem z kolegami na most w Truskolasach, to jest dla nas jak taki wehikuł czasu. Mogę przenieść się z chłopakami do czasów, kiedy było beztrosko, chociaż bez pieniędzy, z torebką słonecznika w kieszeni. Z chlebem za złotówkę z piekarni o drugiej w nocy i z jednym piwem na dziesięć osób. Nigdy się od tego nie odetnę". W jego ustach, podobnie jak w ustach wuja, Jerzego Brzęczka, słowa o byciu ze wsi nie są powodem wstydu – przeciwnie, to w Truskolasach zaczął uświadamiać sobie własną siłę.

Ci, którzy znają go naprawdę dobrze, mówią, że cały czas siedzi w nim dzieciak i że ma wielkie poczucie humoru. Może się kiedyś o tym przekonam. Na razie szukając klucza do Jakuba Błaszczykowskiego słucham zalecanego przezeń hip-hopu. („Dla młodych chłopaków, którzy są skłóceni z życiem, nie ma lepszej muzyki..."). W piosence „Nie mam nic" zespołu Bezimienni natrafiam na słowa: „Kim naprawdę byłeś, szczere łzy powiedzą / Ile dałeś z siebie, bliscy tylko wiedzą / A nie tłumy gapiów, których ciekawość suszy / Dzielą sami tych na pokaz, które są bez duszy / Masz dzisiaj wszystko, inni nic nie mają / Żyjemy tak długo, jak bliscy pamiętają".

Kiedy opowiada o dzieciach i rodzinie – zarówno tej, którą utracił, jak i tej, którą zbudował – myślę, że akurat w jego przypadku można sobie wyobrazić życie bez piłki. Zwłaszcza że „bliskich, którzy pamiętają" ma w Polsce naprawdę sporo.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

ANNA

Dziewit-Meller: *Starość jest warta starania*

– Halo, do PZU to teraz? – stary mężczyzna w zmiętym kapeluszu i podniszczonym wełnianym płaszczu kolejny raz próbował przebić się przez barierę słuchawek w uszach chłopaka stojącego nad nim i wpatrzonego w ekran telefonu.

– Teraz, pan wysiądzie i w lewo pójdzie – zlitowała się w końcu jakaś lepiej zorientowana pani, która szykowała się do wysiadania na przystanku.

Stary człowiek powoli się podniósł z siedzenia i z trudem przeszedł do wyjścia. Miał piękną, choć pomarszczoną twarz, na sobie zaś niegdyś eleganckie, a teraz brudne i nieprzyjemnie pachnące ubranie. Ludzie w przejściu z niesmakiem odsunęli się od niego, z ulgą przyjmując to, że staruch w końcu wysiadł z tramwaju. Mimo panującego we wnętrzu ścisku, nikt aż do następnego przystanku nie usiadł na jego miejscu. Jakby było skażone.

Patrzyłam, jak podpierając się laską powoli dociera na drugą stronę przejścia dla pieszych. Pomyślałam wtedy o chwili, w której wychodzi z pustego domu, gdzie nie ma już nikogo, kto powiedziałby mu: „Staszku/Janku/Zbyszku/Tadziku, ten płaszcz koniecznie musimy oddać do pralni, nie możesz w tym wyjść na miasto" – i otrzepałby mu kołnierz kraciastej wełnianej marynarki z okruchów i łuszczącej się skóry.

Nie boję się swojej starości, może dlatego, że nie umiem się obsadzić w roli osoby starej. Moja własna starość wydaje mi się koncepcją wciąż abstrakcyjną, nadal mam poczucie wszechmocy, nadsiły i życiowej nieskończoności. Obawiam się za to zupełnie realnie starości moich bliskich, przy których być może mnie już nie będzie, bo jakimś cudem (a o te przecież tak łatwo!) odejdę pierwsza. Myśl o tym, że ktoś, kogo kocham, będzie jechał kiedyś tramwajem w zaniedbanym, brudnym ubraniu, ostrzeliwany pełnymi wzgardy i obrzydzenia spojrzeniami młodszych ludzi, rozdziera mi serce.

W ubiegłym roku zmarła moja Babcia. Zdarzyło się to nagle, tak zresztą, jak sobie zawsze życzyła – z zaskoczenia, bez długich miesięcy chorób, bez tej nieznośnej przewlekłości umierania, której się tak bardzo bała. Będąc nie tylko fizycznym klonem tej kobiety, obserwowałam od wielu lat jej starość ze wzmożoną uwagą, widząc w starczych plamach na jej skórze konstelacje, które i dla mnie szykuje Matka Natura. Często rozmawiałyśmy więc o tym procesie, którego współczesny świat stara się uniknąć. Mówiła mi, że się światu dziwi, iż wypiera to, co naturalne dla każdego, najgorsza zaś w starości jest ta niezbywalna samotność, która nadchodzi, gdy umierają twoi ostatni przyjaciele. Bo o nowych bywało już trudno, choć się przecież starała, prowadząc aktywne życie towarzyskie i kulturalne. Gdy oponowałam mówiąc, że ma przecież nas, kręciła głową i odpowiadała: „No ale z wami sobie młodości nie powspominam".

„No i ważna jest praca – dodawała – mieć taką, jak ja miałam, taką, którą się kocha, to wtedy jest życie na sto dwa!". A i tej już przecież od dawna nie było. 90-letni lekarze nie powinni przyjmować pacjentów. Nawet ci po siedemdziesiątce nie zawsze...

Zaraz minie pięć miesięcy, odkąd nie ma już w moim życiu naszych rozmów. Może z tej tęsknoty za nimi właśnie rzuciłam się parę dni temu na książkę Justyny Dąbrowskiej „Miłość jest warta starania. Rozmowy z mistrzami". Siedzę teraz z ołówkiem i zakreślam sobie co i rusz cytaty. Gdyby żyła Babcia Hanka, natychmiast bym je z nią konsultowała. Czy ją też, tak jak wybitną tłumaczkę Danutę Ćirlić-Straszyńską (rocznik 1930), przygnębia to, co się teraz mówi o starzeniu społeczeństwa „ »Co to będzie za dziesięć lat? Koszmar! Same staruszki!«. To dla mnie bardzo przykre. Tak jakby się nam wypominało, że wciąż żyjemy. Że jesteśmy obciążeniem. Że żyjemy na czyjś koszt. Jakby się nie pracowało przez całe życie". I kazałaby mi trzy razy na głos przeczytać słowa kompozytora Edwarda Pałłasza (1936), który mówi, że starość jest szczera: „Nie ma już potrzeby, żeby jeszcze coś zdobywać, popisywać się. Patrzę często na te starania młodszego pokolenia i rzeczywiście mam poczucie, że oni przeceniają znaczenie tego, jak się jest postrzeganym przez innych. Na starość sporo skóry się zrzuca. (...) Człowiek czuje się luźniejszy. I to jest wielka przyjemność".

W przedszkolu moich dzieci od lat prowadzone są zajęcia plastyczne, na których maluchy szykują prezenty dla podopiecznych Domu Spokojnej Starości i te podarunki co jakiś czas osobiście wręczają. Marzy mi się, by takie spotkania młodości i starości były normą, wierzę bowiem, że dzieci, przed którymi nie ukrywamy starości, będą miały dla niej więcej zrozumienia. Gdy już świat zamieni się w ten „koszmar pełen niedołężnych staruszków". Nas. ©

TP

Kluby „TP" zapraszają

BIAŁYSTOK
- **wtorek, 26 lutego, godz. 18.00**

Spotkanie organizacyjne.
Miejsce: Kwestia czasu (pl. NZS 1).

GRUDZIĄDZ
- **poniedziałek, 4 marca, godz. 17.30**

Spotkanie „Opisując życie wierszem". Gościem będzie Wojciech Bonowicz. Miejsce: aula Niepublicznej Szkoły Podstawowej 1 (ul. Chełmińska 121).

RZESZÓW
- **piątek, 22 lutego, godz. 19.00**

Spotkanie „Pustelnia w środku świata". Gościem będzie Krystyna Lenkowska. Miejsce: antykwariat klasztoru oo. Dominikanów (ul. Dominikańska 15).

WARSZAWA
- **czwartek, 28 lutego, godz. 18.00**

Spotkanie autorskie „Przesilona wątpliwość. O duchowości zanurzonej w sztuce". Gościem będzie Sebastian Duda, autor książki „Przesilona wątpliwość".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIARA

NIECIERPLIWOŚĆ WYZNAWCÓW JEZUSA

Choć ekumenizm nie przezwyciężył jeszcze trawiącego go ostatnio kryzysu, żyjemy w czasach wielkich uzgodnień. Warto zobaczyć, jaki w nich tkwi potencjał.

JÓZEF MAJEWSKI

GETTY IMAGES

W chwili, gdy ruch ekumeniczny przeżywa poważne trudności, istne lata chude, łatwo zapomnieć o nie tak dawnych przecież jego tłustych latach, kiedy wydawało się, że pojednanie podzielonego chrześcijaństwa jest na wyciągnięcie ręki. A chociaż dzień wspólnej Eucharystii anglikanów, katolików, ortodoksów, prawosławnych i protestantów wciąż przed nami, to jednak wydaje się dużo bliższy niż jeszcze kilkadziesiąt lat temu.

Lawina dialogów ekumenicznych doprowadziła do wypracowania licznych uzgodnień, które nie tylko wykazały, jak wiele już łączy Kościoły, ale także otworzyły zaskakujące perspektywy możliwego pojednania. Problem w tym, że sporo z nich wciąż czeka na swój lepszy czas, zdjęcie z półek bibliotek teologicznych i włączenie w codzienne życie Kościołów, tymczasem skupionych na sobie samych w obliczu własnych problemów, które wybuchły w nich na początku XXI wieku. Wypada przypomnieć tu kilka z najważniejszych osiągnięć ekumenii XX wieku.

Dialogi z Ortodoksyjnymi Kościołami Wschodnimi (tzw. przedchalcedońskimi), które przez wieki oskarżano o herezję monofizytyzmu (Chrystus miał jedną naturę, boską, a nie dwie, boską i ludzką) wykazały, że są one jak najbardziej prawowierne. Trwające piętnaście stuleci oskarżenie okazało się wynikiem nieporozumień językowych! W 1965 r. Konstantynopol i Rzym odwołały wzajemne ekskomuniki rzucone na siebie dziesięć wieków wcześniej. W 1973 r. w Leuenbergu (Szwajcaria) ponad 80 europejskich Kościołów tradycji luterańskiej, reformowanej i ewangelicko-unijnej podpisało tzw. Konkordię Leuenberską, w której wzajemnie uznały ordynację do stanu duchownego i wspólnotę Ołtarza. W 1978 r. amerykańscy bibliści – anglikanie, katolicy, luteranie, reformowani – opublikowali studium-uzgodnienie, w którym przedstawili zgodną egzegezę wszystkich maryjnych tekstów Nowego Testamentu. W 1992 r. skandynawskie i nadbałtyckie Kościoły luterańskie oraz Kościół anglikański z Wysp Brytyjskich podpisały Deklarację z Porvoo (Finlandia), w której zgodzono się na wzajemne sprawowanie posługi duszpasterskiej i sakramentu Wieczerzy Pańskiej. W 1999 r. Kościół katolicki i Światowa Federacja Luterańska podpisały epokową „Wspólną deklarację w sprawie nauki o usprawiedliwieniu", a zatem o doktrynie, o którą spór stał się zarzewiem podziału chrześcijaństwa w XVI w.

Wśród tych uzgodnień jedno wydaje się wysuwać na czoło: Deklaracja z Porvoo, w której Kościoły przyjęły wspólne rozumienie sukcesji apostolskiej. Sukcesja ta jawi się jako kluczowy problem na drodze do wspólnego sprawowania Eucharystii, co dla katolików, ortodoksów i prawo-

sławnych stanowi cel ekumenizmu. Prezentację tej deklaracji zacznijmy od przypomnienia pewnych faktów i jednocześnie problemów kościelnych.

„Nielegalna" gościnność

W ostatnich latach często słyszy się, że niektórzy chrześcijanie różnych wyznań – wbrew zaleceniom władz kościelnych – praktykują przyjmowanie komunii w Kościołach, do których nie należą. Zjawisko to niezbyt szczęśliwie i myląco określa się mianem „interkomunii", gdy tymczasem „nie może być »inter« sakramentów: sakramenty są zawsze sakramentami Kościoła lub są udzielane w jakimś Kościele" (kard. Walter Kasper, były przewodniczący Papieskiej Rady Popierania Jedności Chrześcijan). Różne są motywy, dla których wierni decydują się na ten krok. Niektórych „na pokuszenie" zapewne wiedzie ignorancja historyczno-teologiczna. Innych w tę samą stronę prowadzi zasada „wszystko mi jedno" – w oczach takich chrześcijan ich własny Kościół w jakiejś mierze jest bezkształtną mgławicą bez wyraźnych granic i zobowiązań, gdzie „wszystko wolno".

Część wyznawczyń i wyznawców Chrystusa do „innej" komunii niewątpliwie popycha ich autentyczna a zdesperowana miłość do współmałżonka, który/która należy do innego Kościoła. A jest to miłość, która wiąże ich związek małżeński sakramentalnie i która sprawia, że oboje nie są w stanie dostrzec sensu czy racji w zakazie ↦

↦ uczestniczenia w tym, co dla nich razem najbardziej drogie – w spotkaniu z Jezusem eucharystycznym.

Jeszcze inni chrześcijanie mają głębokie przekonanie, że do przyjmowania komunii w innych Kościołach wiedzie ich ekumeniczna niecierpliwość, może nawet taka, o której ongiś mówił Jan Paweł II: „Postęp na drodze ku jedności [Kościołów] będzie zależał od naszych wysiłków, od naszych prac teologicznych, od naszych ponawianych inicjatyw, a specjalnie od naszej miłości, ale będzie zarazem łaską Pana. (...) Błagajmy Go, aby wszystkim współpracującym w dziele zbliżenia dał swego Ducha Świętego, który wprowadzi ich w pełną prawdę, poszerzy ich miłość, wznieci w nich świętą niecierpliwość wobec sprawy jedności". Można przypuszczać, że to właśnie taka święta niecierpliwość dała o sobie znać np. w marcu 1998 r. w austriackiej miejscowości Gmunden, gdzie podczas ekumenicznego spotkania młodzi katolicy i luteranie, pod okiem swoich księży duszpasterzy, odważyli się wspólnie przyjąć komunię podczas nabożeństwa luterańskiego. Młodzi ludzie – jak głosiło oficjalne oświadczenie – pragnęli w ten sposób skłonić biskupów obu Kościołów do „odważniejszego podejmowania problemów ekumenizmu".

Warto przypomnieć, że pod koniec XX w. do najbardziej spektakularnych przypadków „nielegalnej" gościnności eucharystycznej doszło na Wyspach Brytyjskich i w USA. Najpierw katolicka prezydent Irlandii Mary McAleese wraz ze swoją rodziną przyjęła komunię świętą w anglikańskiej katedrze w Dublinie. Niedługo potem źródła bliskie prezydent McAleese poinformowały, że zdarza się, iż przystępuje ona do komunii również w innych Kościołach tradycji protestanckiej. Po tych wydarzeniach media ujawniły, że podobny zwyczaj miał ówczesny anglikański premier Wielkiej Brytanii Tony Blair, przy czym przystępował on do komunii w Kościele rzymskokatolickim, do którego zresztą przeszedł w 2007 r. Jakby tego było mało, kilka lat wcześniej dziennikarze przyłapali episkopalnego, czyli anglikańskiego biskupa Franka T. Griswolda na tym, że incognito przyjął komunię w rzymskokatolickim kościele św. Agnieszki w Nowym Jorku. Ten ostatni przypadek był o tyle niecodzienny i wymowny, że hierarcha pełnił rolę zwierzchnika Kościoła episkopalnego w USA, a nawet został współprzewodniczącym oficjalnego dialogu katolicko-anglikańskiego na forum światowym.

> Teologowie sugerują, **że istnieje więcej niż jeden sposób trwania Kościoła w ciągu wieków** w świadectwie wiary apostołów i przekazywania jej z pokolenia na pokolenie.

W końcu wobec powtarzającej się na Wyspach Brytyjskich praktyki przystępowania do komunii w nieswoim Kościele stanowisko zajęli biskupi tamtejszego Kościoła katolickiego, publikując dokument „Jeden Chleb – Jedno Ciało". Przypomnieli w nim, że Eucharystia jest sercem i szczytem życia Kościoła i dlatego w normalnych warunkach może do niej przystąpić tylko ta osoba, która znajduje się w pełnej wspólnocie wiary z Kościołem katolickim, a właśnie „akt przyjęcia Komunii świętej jest najwyższym wyrazem żywej i widzialnej jedności tej wiary". I tłumaczyli: „Według katolickiego nauczania »tylko ważnie wyświęcony ksiądz może być szafarzem, który – w osobie Chrystusa – sprawuje sakrament Eucharystii«. Dlatego istotne jest, aby ten, kto przewodniczy Eucharystii, pozostawał w niewątpliwej sakramentalnej relacji do Chrystusa, Najwyższego Kapłana, dzięki sakramentowi święceń udzielonych przez biskupa pozostającego w uznanej sukcesji apostolskiej. Kościół katolicki nie jest w stanie przyjąć tego w wypadku Wspólnot wywodzących się z Reformacji. Nie możemy także przyjąć, że zachowały one »autentyczną i pełną rzeczywistość misterium Eucharystii«". Wynika z tego jasno – podkreślili biskupi – że katolicy nie mogą przyjmować komunii w Kościołach i Wspólnotach protestanckich.

Sprawa rozbija się zatem o pojmowanie sukcesji apostolskiej, którą w katolicyzmie zasadniczo sprowadza się do historycznego nieprzerwanego – począwszy od czasów apostolskich – łańcucha nakładania rąk, czyli święceń biskupich, przez kolejnych biskupów.

Nowa sukcesja apostolska

Doktryna zawarta w dokumencie „Jeden Chleb – Jedno Ciało" znamienna jest nie tylko dla Kościoła katolickiego, ale także dla Kościołów prawosławnych. Jak do tej pory obie te tradycje oficjalnie nie uznają kapłaństwa/biskupstwa w Kościołach poreformacyjnych, utrzymując, że nie zachowały one ciągłości sukcesji apostolskiej. Od wielu też lat problem tej sukcesji zajmuje zasadnicze miejsce w dialogach ekumenicznych i wciąż nie został rozwiązany. Nie oznacza to jednak, że Kościoły nie uczyniły w tym kierunku kilku doniosłych kroków, które dają nadzieję, że także w tej kwestii Kościoły zdołają w końcu się porozumieć. Najważniejsze ustalenia w tym względzie zapadły – jak do tej pory – w ekumenicznych dialogach anglikańsko-katolickim, katolicko-luterańskim oraz anglikańsko-luterańskim.

W dialogach tych – jak pisze franciszkański teolog ekumenista o. Stanisław C. Napiórkowski – mocno podkreślono, że szkolne katolickie pojmowanie sukcesji apostolskiej „zostało rażąco zawężone" do materialnego następstwa w kościelnym urzędzie, czemu odpowiada „dowód" z nieprzerwanego historycznego nakładania rąk biskupich. Dialogujące strony uważają jednak, że sukcesję apostolską można i trzeba pojmować szerzej, uwzględniając także sukcesję życia, świadectwa apostolskiego i wiary. W luteranizmie – pisze luterański ksiądz Jan Gross – najważniejsza jest sukcesja wiary apostolskiej, czystego zwiastowania Słowa Bożego, a jej potwierdzeniem może być sukcesja urzędu. W tym kontekście o. Napiórkowski wyjaśnia: „Jakiś biskup posiadający »ważną« sukcesję nakładania rąk może nie posiadać sukcesji wiary i świadectwa apostolskiego, jeśli np. głoszeniem błędów burzy wiarę apostolską, a gorszącym postępowaniem sam stawia się poza sukcesją Apostołów". Cóż w tym kontekście powiedzieć np. o katolickich biskupach, którzy pozostają w ważnym „łańcuchu rąk", a którzy kryją pedofilów-księży? „Inny natomiast duchowny może nie mieć swojego miejsca w łańcuchu nakładania rąk biskupich, czyli w sukcesji (...) urzędu, a mimo tego Słowem buduje wspólnotę ludu Bożego, przekazując jej apostolską wiarę i apostolski sposób chrześcijańskiego życia. W jednym i drugim przypadku trzeba uznać sukcesję apostolską, chociaż tam i tu – niepełną".

Teologowie biorący udział w dialogach ekumenicznych sugerują, że istnieje więcej niż jeden sposób trwania Kościoła w ciągu wieków w świadectwie wiary apostołów

i przekazywania jej z pokolenia na pokolenie. Takie – powiedzielibyśmy – poszerzone rozumienie trwania i przekazywania sukcesji apostolskiej, zdaniem wielu ekumenistów, powinno ułatwić Kościołowi katolickiemu i Kościołom prawosławnym zaakceptować duchowne urzędy w protestantyzmie. Do tej pory ani katolicyzm, ani prawosławie nie przyjęły oficjalnie takiego poszerzonego rozumienia sukcesji. Uczyniło to natomiast dwanaście krajowych Kościołów anglikańskich z Wysp Brytyjskich, czyli Kościoły Anglii, Irlandii, Szkocji i Walii, oraz Kościołów luterańskich z Europy Północnej, tzn. Kościoły Danii, Estonii, Finlandii, Islandii, Litwy, Łotwy na obczyźnie, Norwegii i Szwecji, we Wspólnej Deklaracji z Porvoo. Z czasem sygnatariuszami tego dokumentu zostały: Luzytański Kościół Portugalii (anglikański), Hiszpański Reformowany Kościół Episkopalny i Kościół Luterański w Wielkiej Brytanii, z kolei status obserwatora ma Ewangelicko-Luterański Kościół Łotwy. Spośród tych Kościołów dwa: Kościół anglikański i Kościół Szwecji – nigdy nie utraciły sukcesji apostolskiej, oba od swoich początków zachowały strukturę episkopalną, a ich biskupi są ordynowani/wyświęcani w nieprzerwanym łańcuchu rąk. Sukcesję apostolską szwedzkiego luteranizmu zasadniczo uznaje zarówno katolicyzm, jak i prawosławie.

George Carey, w czasie podpisywania Deklaracji z Porvoo anglikański arcybiskup Canterbury i honorowy zwierzchnik światowej Wspólnoty Anglikańskiej, nie bez racji porozumienie to uznał za najważniejsze w ruchu ekumenicznym XX w.

Powrót łańcucha rąk

W Porvoo po raz pierwszy w dziejach Kościoły różnych tradycji chrześcijaństwa zaakceptowały w pełni poszerzone rozumienie sukcesji apostolskiej. Czytamy w tym uzgodnieniu: „Wierność apostolskiemu powołaniu całego Kościoła jest podtrzymywana przez więcej niż jeden środek ciągłości. Dlatego Kościół, który przechował znak historycznej sukcesji biskupiej, jest wolny w uznaniu autentyczności biskupiej posługi w Kościele, który zachował ciągłość biskupiego urzędu przez okolicznościową ordynację kapłańską/prezbiterską w czasach Reformacji. Podobnie Kościół, który zachował ciągłość w ramach tego drugiego rodzaju sukcesji, jest wolny w wejściu w relację wzajemnego udziału w biskupich ordynacjach z Kościołem, który przechował historyczną biskupią sukcesję, oraz w przejęciu tego znaku [nieprzerwanej historycznej sukcesji nakładania rąk] bez odrzucania swojej apostolskiej ciągłości w przeszłości”.

Z punktu widzenia dialogu ekumenicznego z Kościołem katolickim i prawosławiem istotne okazuje się stwierdzenie Deklaracji z Porvoo, że przywrócenie znaku nakładania rąk podczas biskupiej ordynacji w Kościołach, które historycznie nim się nie posługiwały, „służy większej widzialnej jedności i ciągłości Kościoła wszystkich czasów i wszystkich miejsc”. W efekcie porozumienia w Porvoo ukształtowała się praktyka, że w konsekracji biskupiej w Kościołach, w których historycznie doszło do „przerwania łańcucha rąk”, uczestniczą biskupi z „nieprzerwanym łańcuchem rąk”, czyli pozostający w „wąskiej” sukcesji apostolskiej. W ten sposób we wszystkich Kościołach należących do Wspólnoty z Porvoo doszło do przywrócenia czy ponownego połączenia tego łańcucha.

Kościół luterański w Polsce nie został sygnatariuszem Wspólnej Deklaracji z Porvoo. Co do tego trwa w nim dyskusja – powiedział w rozmowie ze mną bp Marcin Hintz z luterańskiej diecezji pomorsko-wielkopolskiej, proboszcz parafii ewangelicko-augsburskiej Gdańsk-Gdynia-Sopot. Dodał jednak, że obecnie wszyscy biskupi luterańscy nad Wisłą pozostają w nieprzerwanej historycznej sukcesji apostolskiej. W Kościele tym „wąska” sukcesja została odnowiona w XX w. dzięki udziałowi zagranicznych biskupów – szczególnie ze Skandynawii, tych z ważnym „łańcuchem rąk” – w konsekracjach polskich biskupów.

Wszystko to oczywiście nie oznacza, że w sprawie sukcesji apostolskiej rozwiązane zostały wszelkie problemy na drodze do jedności Kościołów. Co począć np. z faktem, że Kościoły poreformacyjne nie przyjmują sakramentu kapłaństwa/biskupstwa? Jak działa i czy może działać sukcesja apostolska bez akceptacji tego sakramentu? Jakiekolwiek pozostają wciąż problemy w tej materii, jedno wydaje się na obecne czasy pewne: możliwość szerokiej sukcesji apostolskiej i jednocześnie powrót do Kościołów poreformacyjnych wąskiej sukcesji sugerują konieczność (przynajmniej) pokory i skromności po stronie ludzi Kościołów, które zachowały sakrament kapłaństwa, w ocenie autentyczności misterium Eucharystii i biskupstwa w Kościołach poreformacyjnych. Nie do przyjęcia, a nawet skandaliczne jest negowanie tej autentyczności i biskupstwa.

Dla rzymskich katolików imperatyw skromności i pokory nabiera mocy także w perspektywie nauczania Soboru Watykańskiego II, który – jak pisze o. Napiórkowski – „uznał Kościoły protestanckie, przynajmniej niektóre, za rzeczywiste Kościoły; o innych mówił jako Wspólnotach kościelnych, przyznając im jakiś kościelny charakter (Dekret o ekumenizmie, nr 19). Czy może istnieć Kościół bez »ważnych« urzędów duchownych? Jeśli uznaje się jakiś Kościół za Kościół, czy nie uznaje się tym samym (...) jego kościelnych posługiwań?”.

© JÓZEF MAJEWSKI

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość,
że 8 lutego 2019 roku zmarł

Ś.† P.

red. Józef Kozak

wieloletni współpracownik wydawnictwa Znak i nasz serdeczny Przyjaciel.

Był skarbnicą wiedzy, zadziwiał erudycją,
z której czerpaliśmy obficie na potrzeby redakcyjnej pracy.
Jego prostota, uczynność i przednie poczucie humoru sprawiały,
że był także świetnym kompanem, np. w naszych wspólnych podróżach do Włoch.
Na wielu książkach Znaku pozostawił swój cenny ślad.
Podobnie jak w naszej pamięci.

Przyjaciele z wydawnictwa Znak i miesięcznika „Znak”

WIARA

CZEMU NIE W CHÓRZE

Niedawno pisałem o sprzeczностiach, w które wikła się ktoś pragnący wiecznyć indywidualnie. Teraz, gdy czuję się przez instytucję Kościoła osierocony – myślę inaczej.

JERZY SOSNOWSKI

Emaus to utopia

JACEK PRUSAK SJ

Jak inaczej, niż ryzykując życie duchowe w pojedynkę, zaznaczyć swój dystans wobec Kościoła, którego działania w ostatnim czasie budzą protest sumienia? – pytał na tych łamach Jerzy Sosnowski. Przedstawiamy odpowiedź ks. Jacka Prusaka.

Zarówno upolitycznienie Kościoła, jak i prywatyzacja wiary to „choroby eklezjalne" – tak więc w sugestii Jerzego Sosnowskiego wyboru tego drugiego („TP" nr 6) nie widzę lekarstwa na „rozczarowanie Kościołem". „Mentalne »wycofanie się na pustynię«", które zdaniem autora jest antidotum na zepsucie instytucji, ma być również ostatnią deską ratunku przed całkowitą utratą wiary. Pytanie jednak, czy może nią być, i czy mamy prawo – uważając się za uczniów Jezusa – nawoływać do „wiary indywidualnej"?

Nie stawiam tych pytań tylko dlatego, że czuję się wywołany do tablicy jako „przykładowy duchowny" z jego tekstu, ale również dlatego, że wiem, iż częściej, a nie rzadziej prywatyzacja wiary prowadzi do jej zaniku, a poczucie osierocenia do przyjęcia tożsamości ofiary – z którą potem trudno się rozstać, bo zawsze jest jakieś „ale...".

Pozorne osierocenie

Podczas jednego z wykładów na Uniwersytecie w Louvain nieżyjącego już teologa Edwarda Schillebeeckxa zapytano: „Gdybyś miał się odwołać do jednego tekstu biblijnego, który twoim zdaniem najlepiej oddaje sytuację naszej wiary dzisiaj, to który byś wskazał?". Odpowiedział: „Uczniowie w drodze do Emaus. Byli oni bowiem bardzo rozczarowani, zniechęceni i zalęknieni, ich silna dotąd wiara pękła. Szli z Jezusem, ale nie byli w stanie Go rozpoznać".

Wypowiedział te słowa w 1983 r., porównując sytuację Kościoła na coraz bardziej zsekularyzowanym Zachodzie do sytuacji uczniów Jezusa, i wyjaśniał: „Jako dorośli chrześcijanie znajdujemy się dzisiaj często w sytuacji uczniów pomiędzy Wielkim Piątkiem a Niedzielą Wielkanocną, kiedy Bóg, z którym dorastaliśmy, został ukrzyżowany, ale świadomość zmartwychwstania nie opanowała i nie oświeciła jeszcze naszej wyobraźni – nie potrafimy więc dostrzec Boga, który nam towarzyszy".

Podobnie jak holenderski teolog uważam tę perykopę za archetypową dla zrozumienia rozczarowania skandalem Krzyża we wspólnocie uczniów Jezusa – a więc w ostateczności za rozczarowanie Kościołem, który nie funkcjonuje według naszych oczekiwań.

Ewangelia Łukasza (24, 13-35) opisująca „incydent z Emaus" jest nam dobrze znana, ale warto podkreślić znaczenie zawartej w niej symboliki. Jerozolima według Ewangelisty reprezentuje trzy rzeczywistości: wyobrażenia religijne uczniów, Kościół oraz miejsce Ukrzyżowania. Z kolei Emaus symbolizuje miejsce ucieczki i światowego (świeckiego) pocieszenia. Niektórzy egzegeci uważają, że znajdowały się w nim gorące i lecznicze źródła. Tak więc dwoje uczniów – zdaniem biblistów chodziło o mężczyznę i kobietę – wychodząc z Jerozolimy w kierunku Emaus chce pozostawić za sobą swoje dotychczasowe nadzieje, marzenia i oczekiwania religijne, a w obecnej sytuacji frustracje, wspólnotę wiary oraz miejsce upokorzenia ich Nauczyciela, i znaleźć się w nowym miejscu, które da im wytchnienie i pocieszenie – będzie więc ich „ziemskim spa".

My także mamy taką pokusę, kiedy nie jesteśmy w stanie udźwignąć rozczarowania Bogiem, Kościołem, wiarą. Wiemy jednak, że uczniowie nigdy nie dotarli do miejsca swojego „wyzwolenia", bo przeszkodził im w tym Jezus. Wiemy też, jak wyglądała ich interakcja, i że kluczowa w przywróceniu wiary w sens Ukrzyżowania i bliskości Boga oraz w powrocie do wspólnoty uczniów była celebracja Eucharystii.

Eucharystia nie jest opcją

W Ewangelii św. Jana (6, 52-69) Jezus kończy swoją „mowę eucharystyczną" mocnymi słowami: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym". Te słowa zbulwersowały słuchaczy, wielu z uczniów Jezusa odwróciło się wtedy od Niego, ale kiedy zapytał Dwunastu: „Czyż i wy chcecie odejść?", odpowiedział Mu Szymon Piotr: „Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego. A myśmy uwierzyli i poznali, że Ty jesteś Świętym Boga". Piotr usłyszał coś, czego nie rozumiał, a to, co zrozumiał, nie podobało mu się – ale nie domagał się ani nie twierdził, że można słowa Jezusa odseparować od owego rytuału, i nie odszedł.

Eucharystia nie jest prywatną modlitwą księdza, choć wielu z nich tak ją spra-

wuje, kiedy skupia ją na sobie – czy to w nadmiarze rytualizmu, gwiazdorzenia przy ołtarzu lub ambonie, czy to w kreowaniu wiecu politycznego w kościele. Często zapominamy o jednym albo tego nie doceniamy: wchodząc do kościoła na Eucharystię nie jest się przez nikogo legitymizowanym. Nie trzeba pokazywać deklaracji członkostwa bądź jego braku do jakiejkolwiek partii politycznej. To jest trudne zarówno dla księży, jak i wiernych – dlatego pokusą jest upolitycznianie tego rytuału, mówienie o sobie, a nie Ewangelii. Bo ten hierarchiczny Kościół jest bardziej demokratyczny od każdej partii, kiedy zbiera się na Eucharystii.

Sęk w tym, że zwolennicy „politycznej czystości" Kościoła chcą ją mieć wyłącznie „dla siebie", czyli po swojemu – obojętne, po której stronie sceny politycznej sami się lokują. O tym, że pomimo bolączek, jakie w polskim Kościele dostrzega Jerzy Sosnowski, można nadal karmić się Eucharystią, dał świadectwo Szymon Hołownia („Gdzie jest »polski Kościół«"; „TP" nr 7). Jak słusznie zauważa, polski Kościół jest tam, gdzie sprawowana jest Eucharystia. Nie gorszy go to, że sprawowana jest również we wspólnotach dysfunkcyjnych. Kościół idealny istnieje jedynie w głowach tych, którzy ustawicznie chcą Go naprawiać („reformować"), bez gotowości do nawracania siebie.

Przestroga Ewangelii

Nie pisałbym tego tekstu w takim duchu, gdyby Jerzy Sosnowski przypomniał, iż pustynia to nie „duchowy kurort", tylko miejsce walki duchowej. Nie ostrzegł jednak czytelników przed tym, co ich tam czeka, kiedy zostaną sami. W takim przypadku „wyjście na pustynię" łatwo pomylić z ucieczką z Jerozolimy. Sęk w tym, że żaden zwolennik prywatyzacji wiary nie jest Jezusem, nie ma więc do zaoferowania nic poza sobą i swoim Emaus, którego nie ma na końcu żadnej duchowej podróży będącej z konieczności również próbą wiary. Jeśli nasze nadzieje, także te religijne, te dotyczące wspólnoty Kościoła, zostały „ukrzyżowane" przez grzech i zło w Nim obecne – zarówno duchownych, jak i świeckich – uzdrowienia Kościoła nie znajdziemy w tworzeniu „alternatywnego chrześcijaństwa".

Chrześcijaństwo sprywatyzowane to oksymoron. Prywatyzacja wiary nie jest bowiem żadnym heroicznym eremityzmem przeżywanym z podobnie myślącymi na „duchowej pustyni", tylko ucieczką z Jerozolimy naszej wiary do utopijnego Emaus naszych prywatnych teologii. Każdy z nas ma prawo do przeżywania wątpliwości, dawania o nich świadectwa, po to, aby nie czuć się osieroconym we wspólnocie wierzących. Czymś innym jest jednak dokładanie się do uzasadniania bądź pogłębiania istniejących w niej podziałów poprzez postulowanie „wewnętrznej schizmy". „Kościół osieroconych" to bowiem drugi teologiczny oksymoron.

Pisząc to, nie oskarżam Sosnowskiego – wręcz przeciwnie, chcę podkreślić, że nie lekceważę rangi jego świadectwa. Mój krytycyzm nie jest oceną ani jego osoby, ani wiary. Kościół to on, Hołownia, ja i inni – także ci, z którymi nam na co dzień nie po drodze. Może więc wkrótce spotkamy się na wspólnej Eucharystii, która w odróżnieniu od pustyni jest duchowym kurortem? Aby tak się stało, musimy pozostać wierni Ewangelii, także wtedy, kiedy nam ciężko z Kościołem czy duszno w kościele. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie I Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie I Ns 331/18/S z wniosku Gminy Miejskiej Kraków o stwierdzenie nabycia spadku po Urszuli Konopko, z domu Sitarskiej, córce Ludwika i Marii, urodzonej w dniu 25 lutego 1931 r. w Ludwipolu, zmarłej w dniu 20 listopada 2016 r. w Krakowie, ostatnio zamieszkałej w Krakowie przy ulicy Ułanów 46/69.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Najpierw prawda

PIOTR SIKORA

Papież zatwierdził dekret uznający cud za wstawiennictwem Johna H. Newmana, który otwiera drogę do kanonizacji jednej z najciekawszych postaci nowożytnego chrześcijaństwa.

„Gdybym musiał, co zresztą mało prawdopodobne, wznieść religijny toast, wzniósłbym go za papieża, ale najpierw za sumienie, a dopiero potem za papieża" – to jedno z najsłynniejszych zdań napisanych przez błogosławionego kard. Johna Henry'ego Newmana, XIX-wiecznego teologa, kaznodzieję i konwertytę.

Wykształcony w Oksfordzie teolog anglikański, proboszcz uniwersyteckiego kościoła St. Mary's, swoimi kazaniami i traktatami zapoczątkował w latach 30. XIX w. tzw. ruch oksfordzki – nurt odnowy i pogłębienia anglikanizmu w duchu powrotu do patrystycznego chrześcijaństwa. Studiując pisma Ojców Kościoła zbliżał się w swoim myśleniu do katolicyzmu. W latach 40. założył w podoksfordzkiej miejscowości Littlemore wspólnotę religijną żyjącą prawie na klasztorny sposób.

W 1845 r. zdecydował się przejść na katolicyzm. Była to decyzja trudna i niosąca poważne konsekwencje. Nie tylko musiał opuścić swoje probostwo i oksfordzki Oriel College. Niezwykle dotąd popularny kaznodzieja – można powiedzieć: duchowy lider ruchu odnowy – spotkał się z ostracyzmem swojego środowiska, utracił społeczno-kościelne znaczenie.

Wejście do nowej, katolickiej wspólnoty także nie było pozbawione trudności. Po konwersji, podczas pobytu w Rzymie przyjął święcenia kapłańskie i wstąpił do Zgromadzenia Oratorian św. Filipa. Został posłany przez papieża z powrotem na Wyspy Brytyjskie z misją zakładania tam oratoriów. Pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji – m.in. na prośbę biskupów irlandzkich organizował w Dublinie uniwersytet katolicki i został jego pierwszym rektorem. Jego wizja uniwersytetu ↦

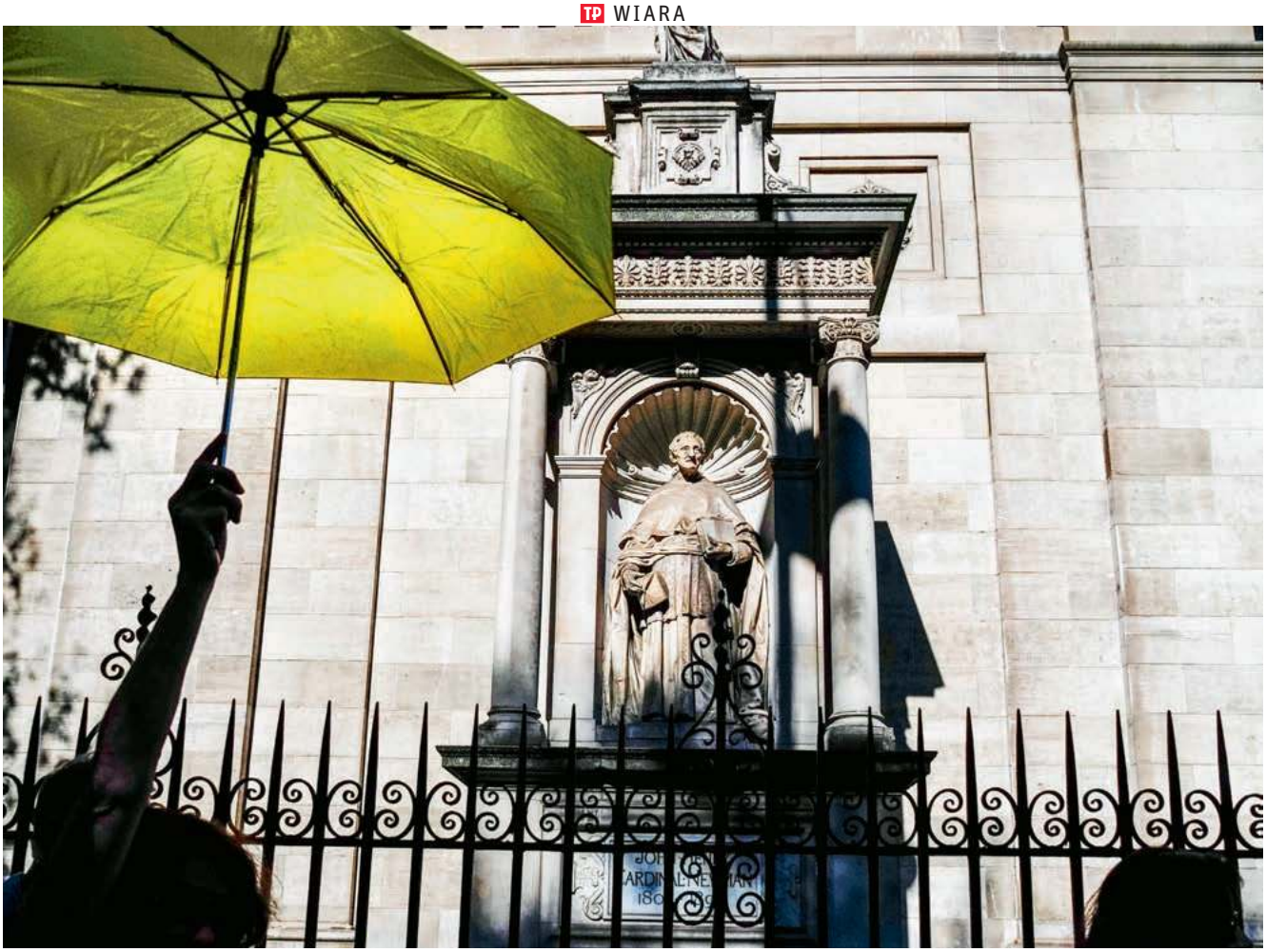

STEPHEN BURROWS / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Pomnik kard. Johna H. Newmana w Londynie

↦ – otwartego na świeckich, także na Anglików i Amerykanów, okazała się jednak w tamtym czasie niemożliwa do realizacji. Newman ustąpił ze stanowiska.

Został na pewien czas redaktorem katolickiego, liberalnego czasopisma „The Rambler", ale wizja Kościoła, którą chciał tu propagować – w tym przede wszystkim obrona aktywnej roli świeckich – także wzbudzała kontrowersje. Newman, konwertyta z anglikanizmu, zainspirowany czasami patrystycznymi, wydawał się wielu katolikom podejrzany. Anglikanie nie chcieli utrzymywać z nim kontaktów. Podążał za głosem sumienia, ale czyniło go to człowiekiem osamotnionym.

Jedyną osobą, na którą zawsze mógł liczyć, był przyjaciel jeszcze ze studiów w Oksfordzie, który wspólnie z nim przeszedł na katolicyzm – ks. Ambroży St. John. Przez 32 lata, do śmierci Ambrożego w 1875 r., wspólnie mieszkali w oratorium w Birmingham. Był to związek tak bliski, że Newman porównał swą żałobę po nim do żałoby owdowiałego męża lub żony, w swoim testamencie zaś kazał, by pochowano go w tym samym grobie.

Uznanie na powrót przyniosła Newmanowi pisana w 1864 r. „Apologia pro vita sua", dzieło, w którym wyjaśniał swoją życiową drogę. Rozmaite wątpliwości wobec Newmana znikły jednak właściwie dopiero w momencie mianowania go kardynałem przez Leona XIII – w 1879 r. Zmarł w 1890 r., w wieku 89 lat.

Nie wiadomo, czy Newman miał kiedykolwiek okazję wznieść religijny toast. Ale jego życiowe decyzje były w istocie nieustanną pochwałą sumienia. Takiego, jak je sam rozumiał. Pierwszeństwo sumienia – nawet przed papieżem – nie było bowiem dla kardynała-konwertyty równoznaczne z prawem do arbitralnego wyboru życiowej drogi. Postrzegał człowieka jako u samych podstaw swej natury związanego z Bogiem. Własne sumienie to – dla Newmana – głos Boga słyszany wcześniej niż słowa Objawienia. Podążać za tym głosem to znaczy ze wszystkich sił szukać prawdy i być gotowym opuścić dla niej dotychczasowe życie. Ale zmiana taka nie oznacza wyparcia się przeszłości. Newman dostrzegł nie tylko prymat sumienia i konieczność poszukiwania prawdy. Rozpoznał też, że ów proces zakłada ciągłość. Nawet gdy dochodzimy do koniecznej radykalnej zmiany – dla niego była nim konwersja z anglikanizmu na katolicyzm – to przecież zmiana ta nie byłaby możliwa, gdybyśmy nie przeszli drogi, która nas do owego punktu doprowadziła.

Newman dostrzegł, że ten dynamiczny stan – nieustannego rozwoju i zmiany, który jednak zachowuje ciągłość z wcześniejszymi etapami – jest właściwy i jednostce, i wspólnocie Kościoła. To spostrzeżenie doprowadziło go do katolickiej wspólnoty, którą uznał za najlepiej realizującą zasadę rozwoju i dlatego wierną pierwotnemu chrześcijaństwu. Wyartykułował tę myśl w fundamentalnym dziele „O rozwoju doktryny chrześcijańskiej".

W obecnym stanie Kościoła – pełnym napięć i sporów o to, co zmienić, a co zostawić – możemy się wiele od kardynała Newmana nauczyć. Nawet jeśli trudno będzie nam mu dorównać w głębokości wiary, że Bóg mówi w głębi sumienia do każdego z nas, i w gotowości do podążania za tym głosem dokądkolwiek nas powiedzie.

©℗ PIOTR SIKORA

SZYMON

Hołownia:
Trzydzieści na sekundę

Afera wywołana materiałem „Superwizjera" TVN o mazowieckiej rzeźni, w której zabijano krowy tak chore, że nie mogły stać na własnych nogach (wciągano je więc na miejsce śmierci powolną elektryczną wyciągarką), zaczyna ginąć pod nawarstwiającymi się pokładami coraz to nowych skandali. Mam nadzieję, że przysłane do nas unijne kontrole (mięso tych biednych zwierząt, jak donosiły media, zjedli mieszkańcy 14 państw UE, w tym szwedzkie przedszkolaki) będą w stanie wytłumaczyć przynajmniej części polskiego argobiznesu, że chciwy traci dwa razy. I że chociaż kilku widzów tego wstrząsającego materiału zamieni teraz w decyzje szok, jaki przeżyli odkrywając, że gdy krówka dająca nam mleczko zachoruje, troskliwy pan nie zabiera jej do krowiego szpitalika albo lecznicy takiej, w jakiej leczymy nasze persy i yorki. Bo on najczęściej dzwoni po handlarza, który wyciśnie jeszcze z „leżaka" parę złotych. Tzw. ubój z konieczności przeprowadzony na terenie gospodarstwa to pieniądze. A krowę ma się nie po to, by na nią wydawać, ale by ona na nas zarabiała.

Och, ileż to jeszcze rozkosznych mitów ma się świetnie w głowach nas wszystkich, przeciętnych konsumentów! Mięsko było, więc teraz może mleczko? Wiadomo: krowa daje je z przyjemnością, sama z siebie; wystarczy, że zobaczy człowieka, już rusza jej laktacja. „Muczy" przy tym jak w dziecięcych kreskówkach, żebyśmy zaraz mogli się cieszyć mlekiem od „szczęśliwej krowy". Strzelam: pewnie tylko jakieś dziesięć procent miłośników kefirów i jogurtów zdaje sobie sprawę, że laktacja u krowy rusza wtedy, gdy spodziewa się potomstwa. A więc jeśli chcemy mieć mleko na okrągło, musimy doprowadzić do tego, by na okrągło się potomstwa spodziewała. Jak? Oczywiście zapładniając ją non stop, czasem stosując metody naturalne, częściej „agrotechniczne". A gdy już przyjdzie na świat cielak – często jak najszybciej odstawia się go od cycka, żeby nie przejadał „naszych" jogurtów i śmietanek. On sam też nie trafia wtedy do cielęcego przedszkola, gdzie uczy się życia i świata, lecz pod nóż, byśmy mieli cielęcinę. Jego mama zaś po kilku takich cyklach (zwykle po paru latach), kompletnie wyczerpana, idzie jego śladem – tyle że na burgery.

Albo taki kurczak. Ten szczęśliwy, z reklam, na których uśmiechnięty dziadek o pogodnym, spracowanym obliczu razem z uśmiechniętą wnusią sypie ziarno kurkom, które dziesięć sekund później są już bez głowy, piór, ładnie zafoliowane na tacce. W polskich rzeźniach ginie ich ponad trzydzieści na sekundę. W tzw. chowie intensywnym (coraz więcej dużych kurników wyrasta przy naszych drogach, proszę się tylko rozejrzeć) spędza na ziemi około miesiąca, faszerowany naukowo opracowanymi mieszankami. Nigdy nie zobaczy słońca, nieba, nie poczuje wiatru. Nie będę rozpisywał się tu o tym, jak deformuje się odpowiednią paszą jego ciało, by rosły mu tylko te mięśnie, których pożąda konsument, jaka jest wartość odżywcza takiego mięsa. Ani o tym, co dzieje się z kurczakami płci męskiej, które dla biznesu jajczarskiego nie przedstawiają żadnej wartości. Miele się je – zgodnie z Rozporządzeniem Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi z dnia 2 kwietnia 2004 r. – żywcem w pierwszej dobie życia albo żywcem dusi.

I tak dalej, i tym podobnie. Pisałem o tym w książce „Boskie zwierzęta" – naprawdę, nie ma po co czegokolwiek tu podkręcać, drapować w zwolnione tempa, dramatyczną muzykę na smyczki. Moja jedyna prośba do przemysłu spożywczego jest taka, by po prostu jeden do jednego pokazywał otwarcie, czym się zajmuje, jak to wszystko wygląda. Powiadam: bez słowa dodawanych przez wegan komentarzy, tak po prostu – tylko prawda na stole, bez reklam, działów PR, *saute*. Nie wiem, kto to pierwszy powiedział (za dużo „autorów" tego bon motu już widziałem), ale sto procent racji jest w stwierdzeniu, że „gdyby rzeźnie miały szklane ściany, każdy byłby wegetarianinem". I w tym, co napisał w swojej genialnej książce „Dominion" Matthew Scully: „Natura ma swoje ciemne strony, ale ma też i jasne. Gdy zabieramy zwierzętom słomę i miejsce do spania, troskę matki o młode – zabieramy im wszystko, co mają, okradamy biedaka z całego jego lichego dochodu, a siebie z miłosierdzia. Zwierzę nie będzie miało na ziemi żadnego przyjaciela, jeśli człowiek będzie jego wrogiem".

Po co to wszystko piszę, przypominając raz jeszcze to, co parę miesięcy temu wykładałem na paruset stronach książki? Z powodu, który przywołałem na początku – naszej permanentnie, a zarazem błyskawicznie powracającej ślepoty. Bo tak naprawdę nie ma znaczenia, czy mowa o traktowanych jak „drób", „inwentarz", „pogłowie" zwierzętach (z których każde, przypomnijmy, jest „stworzeniem", a więc detalicznie każde zostało stworzone przez Boga i stanowi jego własność; to nie jest tak, że Bóg stworzył kiedyś np. „praświnię", i ona rzeczywiście była „stworzeniem", a reszta to już po prostu „produkty rolne"), czy o biednych ludziach coraz bardziej dręczonych konsumpcją bogatych (przypomnijmy wszystkim, którzy gardłują, że kobiety w Nigerii nie powinny mieć tylu dzieci, że gdyby każdy chciał dziś żyć tak jak przeciętny Amerykanin, potrzebujemy czterech kul ziemskich, a gdyby tak jak przeciętny Polak – dwóch).

Kłopot jest od początku świata ten sam: nabyty i starannie pielęgnowany brak uważności, wybiórcza świadomość, wygaszanie niechcianych elementów tła. Każdy (chyba) z nas widząc na żywo, przed sobą, uchodźcę w stanie, w jakim np. dociera do Europy – nie miałby wątpliwości, co robić. Podobnie z głodnym dzieckiem. Z dręczonym czy zabijanym zwierzęciem. Z zatruwaną rzeką, powietrzem. Autorzy politycznych strategii, pracownicy działów marketingu niektórych gałęzi przemysłu, agencje PR wyspecjalizowane w wygaszaniu wizerunkowych kryzysów ciężko pracują hojnie rozdając nam okulary, przez które świat jest łatwiejszy do zniesienia, wycięto zeń bowiem jakieś pasmo poznawczego światła. Otwórz oczy. Wojny, głód, niesprawiedliwość, wyrzynanie wspólnego domu, jakim jest natura... Tego nie robią niewrażliwi czy wprost źli ludzie, ale dobrzy i wrażliwi, którzy patrzą w inną stronę. ©

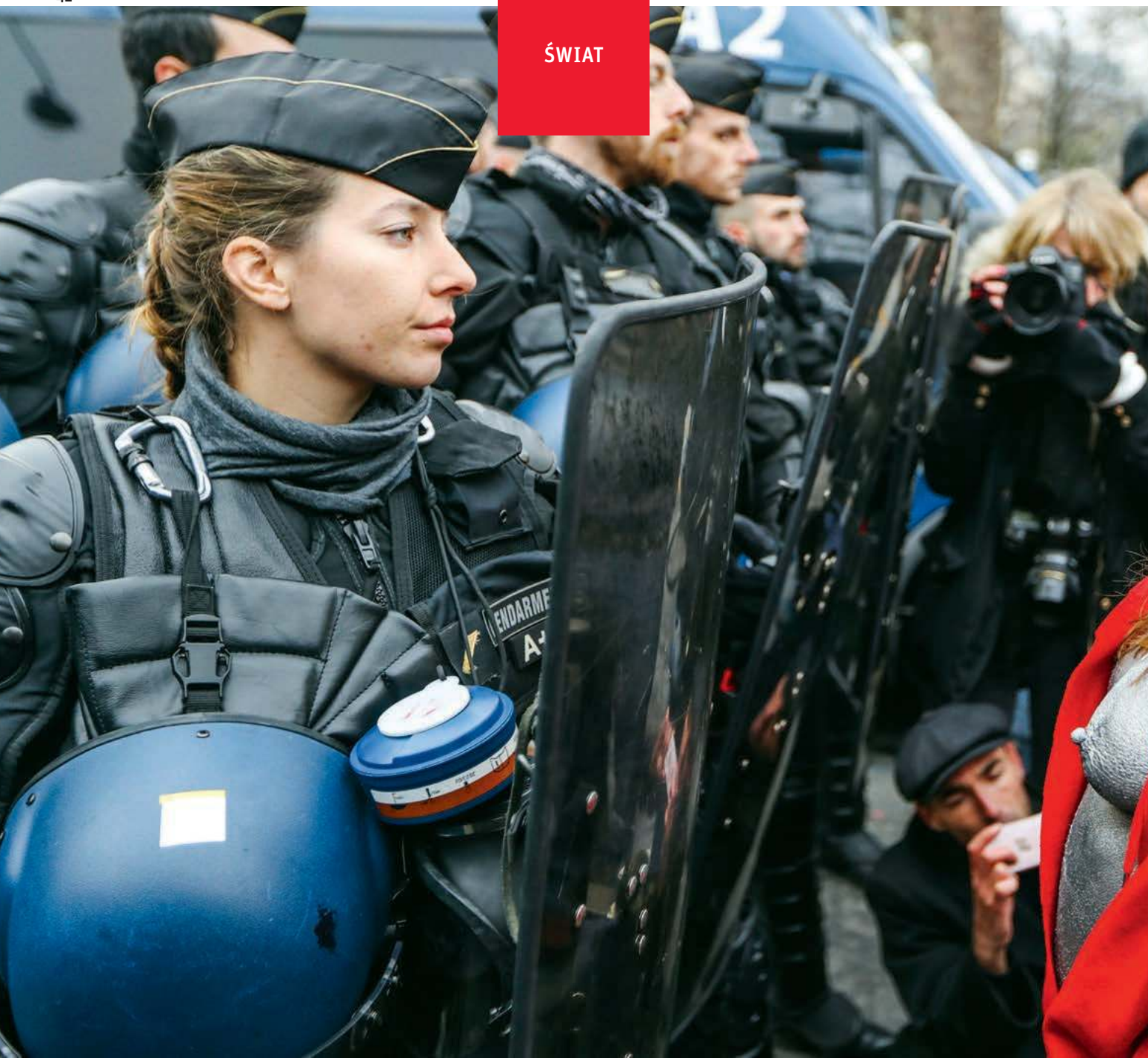

CZERWONE I ŻÓŁTE

Kto będzie górą we francuskim sporze: Żółte Kamizelki czy Czerwone Szaliki? I czy maraton spotkań prezydenta Macrona z obywatelami poprawi jego notowania?

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

VALERY HACHE / AFP / EAST NEWS

Uczestniczka protestu Żółtych Kamizelek, ucharakteryzowana na Mariannę – symbol rewolucyjnej Francji – i policjanci podczas demonstracji na Polach Elizejskich. Paryż, 15 grudnia 2018 r.

Zacznijmy od zagadki. Który z ważnych francuskich polityków powiedział ostatnio: „Jeśli Żółte Kamizelki chcą, aby było mniej parlamentarzystów i aby praca się opłacała, to ja też jestem Żółtą Kamizelką”?

Czy chodzi o szefową radykalnej prawicy, Marine Le Pen? Czy może o Jeana-Luca Mélenchona, przywódcę ultralewicowej Francji Nieujarzmionej? Czy któregoś z liderów umiarkowanej prawicy?

Nic takiego. Chodzi o prezydenta Emmanuela Macrona. Tego samego, którego dymisji domagają się od trzech miesięcy Żółte Kamizelki, protestujące na ulicach Paryża i innych miast.

Zamiast ich uspokoić, swoimi słowami szef państwa rozdrażnił jeszcze bardziej manifestantów. I wywołał dyskusję nad tym, czym jest dzisiaj potężny społeczny ruch we Francji, biorący nazwę od odblaskowych strojów, które noszą jego uczestnicy jako swój znak rozpoznawczy.

Gołębie i jastrzębie

Warto przyjrzeć się dwóm manifestacjom i porozmawiać z ich uczestnikami, żeby dostrzec bardzo różne i nieoczywiste oblicza Żółtych Kamizelek.

Obraz pierwszy. Koniec stycznia, Paryż. Plac Republiki otaczają zewsząd furgonetki policyjne, są także wozy opancerzone. Wokół placu stoją w szyku bojowym setki uzbrojonych po zęby żandarmów i policjantów ze specjalnych „antyzamieszkowych” oddziałów, tzw. CRS. Mundurów tu równie dużo, co żółtych kamizelek.

Tuż obok, na schodach przy bulwarze łączącym plac Republiki z placem Bastylii, stoi mała grupka manifestantów w żółtych strojach. Obok nich, jak to w sobotni paryski wieczór, na tarasie baru siedzą klienci i popijają spokojnie drinki. Niektórzy także w odblaskowych kamizelkach.

Nagle poruszenie. Manifestanci pokazują sobie na smartfonie zdjęcia jednego z liderów ruchu, Jérôme’a Rodriguesa. Kilka godzin wcześniej w czasie protestu policja raniła go gumową kulą w oko, twarz na zdjęciu spływa krwią. Zaczyna krążyć informacja – fałszywa, jak się potem okaże – że w starciach z siłami porządkowymi zginął tego samego dnia inny sympatyk Żółtych Kamizelek.

W chwili, gdy rozchodzi się ta wieść, w pobliżu baru przechodzą żandarmi z karabinami na kule gumowe. „Łajdaki, mordercy, wasze dzieci będą się was wstydzić!” – w stronę mundurowych lecą inwektywy. Większość żandarmów przyjmuje to obojętnie, idą dalej. Inni kpią sobie z obrażających ich manifestantów, pozdrawiając ich przyjaźnie jak na wojskowej defiladzie. Dowódca oddziału wzywa podwładnych: „Nie reagujcie!”.

Obraz drugi. Także Paryż. Sobota, 9 lutego, trzynasty tydzień manifestacji. Słoneczne, niemal wiosenne przedpołudnie. Wokół Łuku Triumfalnego na Polach Elizejskich kilkuset manifestantów. Policja prewencyjnie zablokowała przejazd w górnym odcinku słynnych alei: na małym odcinku drogę zagradza 15 furgonetek.

Wybuchają petardy, gra skoczna muzyka. Flagi Francji, ale też Bretanii i Normandii. Slogany przeciw Macronowi i za frexitem, wyjściem kraju z Unii Europejskiej.

Na bulwarze nie widać już prawie śladów po zamieszkach z poprzednich weekendów. Otwarte restauracje, bary i sklepy, turyści z całego świata robią sobie zdjęcia z Żółtymi Kamizelkami w tle. Tylko dolny odcinek alei, od Grand Palais do placu Zgody, zamknięty dziś dla ruchu z obawy przed zamieszkami, jest całkiem pusty.

„Odsuńmy oligarchię!”

Daniel przyjechał na manifestację z małego miasteczka w centrum Francji, w okolicach Bourges. Wygląda trochę na podstarzałego hipisa. Włosy długie, siwe i kręcone, w ręku laseczka. Co chwila wybucha rubasznym śmiechem. Mówi, że w młodości był anarchistą i chodzi na wszystkie manifestacje, od kiedy jest nastolatkiem.

– W moim regionie państwo likwiduje usługi publiczne, a ceny benzyny poszybowały – opowiada Daniel. – Osobiście protestuję przede wszystkim przeciwko głodowym emeryturom. Od przyszłego roku nie będę już pracował i wiem, że dostanę od państwa jałmużnę: 732 euro. Choć pracowałem całe życie, byłem kierowcą ciężarówek, jeździłem po Europie. Zresztą w Paryżu nie jest lepiej: mam córkę, dostaje SMIC [płaca minimalna we Francji, tzw. SMIC, 1230 euro netto – red.], połowa jej pensji idzie na czynsz, ledwo daje sobie radę. Chciałbym jej pomóc, ale nie jestem w stanie – żali się.

Daniel należy do ultralewicowej Francji Nieujarzmionej Jeana-Luca Mélenchona. Ma nadzieję, że szef tej formacji dojdzie do władzy, „odsunie oligarchię od władzy”, obali Piątą Republikę i zniesie urząd prezydenta. I że wszystkie „ważne kwestie będą rozstrzygane przez naród w referendum”. ↦

↦ Jak wielu innych manifestantów, Daniel zarzuca prezydentowi arogancję i oderwanie się od życiowych realiów.

– On opowiada ludziom: „Przejdę na drugą stronę ulicy i znajdę wam pracę". On nami gardzi – powtarzają protestujący na Polach Elizejskich, nawiązując do słów prezydenta z września 2018 r.

„Chcę żyć z mojej pracy"

– On musi odejść! Mamy dość! – Ophelie, która pracuje w branży budowlanej pod Lille, nie pozostawia wątpliwości, co sądzi o Macronie. Dotąd manifestowała z Żółtymi Kamizelkami w swoim regionie. – Jednak teraz widzę, że nasze protesty na prowincji nikogo nie obchodzą, więc przyjechałam ze znajomymi do Paryża.

Ophelie wyjaśnia: – Chcę po prostu żyć z mojej pracy. Zarabiam SMIC i po opłaceniu podatków, czynszu, kredytu, przejazdów i ubezpieczenia nie zostaje mi nic w portfelu. Dojeżdżam do pracy samochodem, sama benzyna pochłania mi jedną szóstą pensji.

Dodaje, że gdyby nie pracowała i żyła z zasiłku, to lepiej by na tym wyszła: – Żyjemy w systemie, który zachęca ludzi do tego, żeby nie szukali pracy. To nienormalne.

Znajomi Ophelie – para z miasteczka pod Lille, rodzice czwórki dzieci – są dziś pierwszy raz na manifestacji w Paryżu. – Chcemy powiedzieć „nie" Macronowi. „Nie" dla bankiera u władzy. „Nie" dla prezydenta milionerów! – podkreślają.

On, Sebastien, jest magazynierem. Wyrabia nadgodziny, pracuje po 48 godzin tygodniowo. Domaga się odejścia prezydenta. Nie potrafi wskazać kandydata na jego miejsce.

Jego żona tłumaczy, że do protestu skłoniła ich początkowo drożyzna, podwyżka cen benzyny, gazu, prądu i żywności. Ale to nie wszystko: – Nie mogę znieść tego, że Francja przestała być krajem praw człowieka. Bałam się przyjechać na manifestację w stolicy, bo przeraża mnie przemoc. Ale uważam, że być tutaj to mój obowiązek – mówi młoda kobieta i przyznaje, że w drugiej turze wyborów prezydenckich w 2017 r. głosowała na Marine Le Pen, choć nigdy nie sympatyzowała ze skrajną prawicą. Chciała, jak mówi, po prostu za wszelką cenę zablokować zwycięstwo Macrona.

Mąż dorzuca: – Musimy ogłosić referendum, żeby odwołać skompromitowanych polityków. To my im płacimy. Dlaczego nie możemy ich wyrzucić z roboty?

Sebastien chciałby odwołania nie tylko Macrona, ale też ministra spraw wewnętrznych Christophe'a Castanera, oskarżanego przez Żółte Kamizelki o nadużywanie siły do rozpraszania manifestantów.

Choć po trzech miesiącach frekwencja na protestach Żółtych Kamizelek wyraźnie spada, **aż dwie trzecie Francuzów wciąż popiera ten antysystemowy ruch.**

Referendum dla każdego

Słowa magazyniera spod Lille są znamienne dla całego ruchu.

Rewolta zaczęła się w listopadzie 2018 r. od postulatów ekonomicznych, a zwłaszcza żądania wycofania zapowiadanej podwyżki podatku paliwowego. Ale choć Macron zawiesił akcyzę pod presją społeczną i obiecał też podwyżkę najniższych płac, bunt trwa dalej.

Teraz żądania przesunęły się na teren polityczny. „To naród ma być suwerenem!" – wołają Żółte Kamizelki. Oprócz dymisji prezydenta, domagają się ustanowienia „referendum z inicjatywy obywatelskiej". W skrócie: RIC. Właśnie te trzy litery widnieją coraz częściej na odblaskowych strojach manifestantów.

Postulat upowszechnienia referendum stał się też filarem próby przekształcenia „hybrydowego" buntu w formację polityczną. Część aktywistów w żółtych strojach postanowiła utworzyć własną listę na majowe wybory do Parlamentu Europejskiego. Określają się jako Sojusz Inicjatywy Obywatelskiej, po francusku RIC, a więc identycznie, jak ich hasło przewodnie. Liście ma przewodzić normandzka pielęgniarka Ingrid Levavasseur, jedna z liderek Żółtych Kamizelek.

Od samego początku nowe ugrupowanie rozdzierają waśnie: ma problemy ze znalezieniem kandydatów na listy i nie przedstawiło dotąd programu. Nie wiadomo też, skąd znajdzie środki na kampanię wyborczą. Z pierwszych sondaży z końca stycznia (Elabe dla BFM TV) wynika, że lista RIC mogłaby liczyć w eurowyborach na 13 proc. głosów i zajęłaby trzecie miejsce, za prowadzącą partią Macrona (LaRem) i drugim w tym zestawieniu Zjednoczeniem Narodowym Le Pen.

Jednak nawet wielu manifestantów podchodzi sceptycznie do wystawienia listy Żółtych Kamizelek w eurowyborach. Podobnie myśli Daniel, który widzi w tym rękę prezydenta: – Ta lista to pomysł Macrona, żeby nas podzielić. Przecież nikt nie może wyłożyć ot tak milionów euro na kampanię wyborczą – twierdzi.

Jest też inne pytanie: jakich spraw miałyby dotyczyć referenda z inicjatywy obywatelskiej? W tłumie padają najróżniejsze, czasem fantastyczne pomysły: od zmniejszenia liczby deputowanych po zwołanie referendum w sprawie rezygnacji z obowiązkowych szczepień dzieci. Gdyby zrealizować wszystkie zgłaszane pomysły, nad Sekwaną odbywałoby się pewnie po kilka referendów dziennie.

Szaliki kontra Kamizelki

Tymczasem Emmanuel Macron próbuje przejść do politycznej kontrofensywy.

Grudzień i styczeń były dla niego okresem najcięższej próby. Dobrze poinformowany tygodnik „Journal du Dimanche" twierdzi, że w piątek 7 grudnia, spodziewając się najgorszego – ataku Żółtych Kamizelek na Pałac Elizejski – otoczenie prezydenta testowało tajny bunkier szefa państwa, zbudowany na wypadek ataku jądrowego. Do ataku na rezydencję Macrona nie doszło. Ale na początku stycznia gmach jednego z ministerstw staranował pojazd Żółtych Kamizelek, zmuszając rzecznika prasowego rządu Benjamina Griveaux do ucieczki z budynku.

Jednak z tygodnia na tydzień rewolta wyraźnie słabnie. W pierwszej odsłonie ruchu Kamizelek, 17 listopada, wzięło udział w całej Francji aż 280 tys. manifestantów (według danych policji). Tymczasem w drugiej połowie stycznia liczba uczestników spadła do 84 tys., a w sobotę 9 lutego protestowało 51 tys. ludzi.

Choć demonstrujących jest mniej, to wciąż dochodzi do ostrych starć z policją. Aktywistów ruchu nie zawsze można odróżnić od chuliganów, którzy – wmieszani w tłum – podpalają auta i rabują sklepy.

Dziennik „Le Monde" twierdzi, że przyczyny spadającej frekwencji na protestach mogą być rozmaite: skłócenie we-

wnętrzne Żółtych Kamizelek, niechęć Francuzów do skrajności czy strach przed policją, która nie waha się używać armatek wodnych i gumowej amunicji.

Osłabienie ruchu może być związane także z tym, że pod wpływem protestów prezydent i rząd poszli na ustępstwa. Już 10 grudnia Macron ogłosił, że znajdzie w budżecie nadzwyczajne środki m.in. dla emerytów i dla najmniej zarabiających, w łącznej kwocie 10 mld euro.

Prezydent wyruszył też w podróż po kraju, aby – jak deklarował – wsłuchać się w głos zwykłych Francuzów. Ten narodowy maraton, pod nazwą Wielkiej Debaty, rozpoczął się w połowie stycznia i ma potrwać do 15 marca. Macron spotyka się z merami i mieszkańcami, i wszędzie obiecuje, że z tych spotkań i rozmów wyciągnie wnioski, gdy będzie przygotowywać kolejne reformy.

Wkrótce po tym, jak ruszyła Wielka Debata, bo w końcu stycznia, na ulice Paryża wyszły też po raz pierwszy tzw. Czerwone Szaliki. To ruch, który działa pod hasłem „Stop przemocy!". Podobnie jak Żółte Kamizelki, skrzyknęli się przez media społecznościowe. „Ani za Macronem, ani przeciw Kamizelkom!" – głosi ten pokojowy ruch, przerażony falą brutalnych starć, która rozlała się po Francji.

Problem w tym, że sympatycy Czerwonych Szalików nie są zbyt liczni, a ich aktywność widać prawie wyłącznie w stolicy. W ich „marszu republikańskim" – dotychczas jedynym – który przeszedł ulicami Paryża w niedzielę 27 stycznia, uczestniczyło ok. 10 tys. osób.

Choroba demokracji

Frekwencja frekwencją – ale jak wyjaśnić fakt, że po trzech miesiącach protestów antysystemowy ruch Żółtych Kamizelek popiera nadal aż dwie trzecie Francuzów?

François Bégaudeau, lewicowy pisarz, eseista i sympatyk Żółtych Kamizelek stwierdził (w telewizji France 5), że przemoc w wykonaniu Kamizelek jest koniecznością, bo inne sposoby wyrażania woli – jak karta wyborcza – „się zużyły". Bégaudeau uważa, że Macron jako były bankowiec uosabia rządy uprzywilejowanej kasty, która od dekad włada Francją. A oligarchia nie zrezygnuje ze swojej pozycji i nie odda władzy, jeśli nie zmusi jej do tego uliczna przemoc – przekonuje pisarz.

Jest to pogląd radykalny, ale dobrze wyraża on opinie dużej części dzisiejszej Francji, sprzyjającej Żółtym Kamizelkom.

Czy jednak rewolucyjna przemoc nie okaże się groźniejsza w skutkach niż zwalczana przez nią choroba demokracji?

© SZYMON ŁUCYK

Wzgardzeni, opuszczeni, zbuntowani

SOCJOLOG FRANÇOIS DUBET DLA „TYGODNIKA":

ŻÓŁTE KAMIZELKI są ruchem bardzo niejednorodnym: spotkamy wśród nich szefów małych firm, nisko wykwalifikowanych pracowników, emerytów, bezrobotnych, mieszkańców biednych terytoriów, samotne matki... W tym sensie nie tworzą oni klasy społecznej i odróżniają się od mieszkańców biednych imigranckich przedmieść, do których często są zresztą nastawieni niechętnie.

Można powiedzieć, że jest to suma jednostek, które mają poczucie, iż władza nimi gardzi, oraz że nikt ich nie reprezentuje. Są wrogo nastawieni do „oligarchii", do bogatych, do mediów, do urzędników państwowych, ale także do biednych, których oskarżają o nadużywanie pomocy socjalnej. Czasami manifestują niechęć do cudzoziemców, o wiele bardziej niż do „kapitalistów", jak robił to ruch robotniczy.

Kamizelki są nowym zjawiskiem przez swoją samosterowność: niezależne od związków zawodowych i partii politycznych, zrodziły się w internecie i brakuje im prawdziwych przywódców. Przypominają hiszpańskich Oburzonych (Indignados), ale są od nich mniej polityczni. Bliżej im do angielskich zwolenników brexitu, do elektoratu Trumpa czy sympatyków włoskiego Ruchu Pięciu Gwiazd. Przy wszystkich różnicach między tymi grupami mają one pewne wspólne cechy: to odrzucenie elit, pragnienie zamknięcia granic, dystansowanie się od istniejących partii.

Nie sądzę, aby Żółte Kamizelki przekształciły się w trwałą formację. Spierają się ciągle między sobą, a ich aktywiści kontestują swoich samozwańczych przywódców. Słychać ich żądania, ale jeszcze daleko im do tworzenia programu. Trudno mówić o wyraźnej orientacji politycznej tego ruchu, choć gdy słucha się jego liderów, to można się obawiać, że górę biorą w nim tendencje autorytarne i nacjonalistyczne.

Kamizelki stawiają natomiast rzeczywiste pytanie – o odnowienie i rozszerzenie demokracji – nawet jeśli wyrażają przy tym wrogość wobec demokracji przedstawicielskiej. Nie jest wykluczone, że ich projekt – referendum z inicjatywy obywateli – zostanie przyjęty we Francji, przynajmniej w odniesieniu do niektórych kwestii. Ale wydaje mi się, że demokracja bezpośrednia w postaci RIC nie może być sposobem rządzenia adekwatnym dla współczesnego świata, z jego sytuacją gospodarczą, umowami międzynarodowymi, wiedzą naukową... Fake newsy nie wystarczą, aby uformować opinię publiczną.

We Francji, podobnie jak w wielu innych krajach, partie polityczne są w kryzysie i stawiają czoło nowym ruchom społecznym. To sprawia, że sytuacja jest groźna, bo kryzys ten sprzyja właśnie partiom antydemokratycznym i autorytarnym. ©

Notował SZYMON ŁUCYK

MATTHIEU RIEGLER / WIKIPEDIA

FRANÇOIS DUBET *jest socjologiem, badaczem ruchów społecznych, emerytowanym profesorem Uniwersytetu w Bordeaux. W latach 80. wraz z innymi socjologami francuskimi prowadził pionierskie badania nad polską rewolucją solidarnościową; ich efektem była praca zbiorowa pod red. Alaina Touraine'a „Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980–1981".*

Oligarchia trzyma się mocno

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Wtedy nadzieje i oczekiwania były ogromne – dziś niewiele pozostało z ówczesnej atmosfery. Jak wygląda Ukraina pięć lat po rewolucji godności?

W lutym 2014 r. prezydent Wiktor Janukowycz opuścił Kijów. Jego reżim rozsypał się jak domek z kart. Rewolucja godności zwyciężyła. Oczekiwania jej zwolenników (tak na Ukrainie, jak i poza nią) były ogromne. Niektórzy liczyli nawet na przyjęcie kraju do Unii Europejskiej w ciągu kilku lat. Tym większe było rozczarowanie, gdy okazało się, że rewolucja zmieniła znacznie mniej, niż oczekiwano. A także mniej, niż było możliwe.

To prawda, że rewolucje nigdy nie spełniają wszystkich swych zapowiedzi (często nie spełniają żadnych). Prawdą jest też, że zanim Ukraina mogła przejść do w miarę systematycznego reformowania państwa, narzucono jej wojnę. Ale rozczarowanie jest zrozumiałe. Bo mimo wojny można było zrobić więcej.

Największym sukcesem ostatniego pięciolecia jest to, że Ukraina przetrwała. Jako państwo niepodległe, zdolne do definiowania i obrony swych interesów. Jako system gospodarczy i społeczny zdolny do odpowiadania na kolejne wyzwania.

Z Majdanu na front

18 lutego 2014 r., po prawie trzech miesiącach okupacji centralnego placu Kijowa, grupy Samoobrony Majdanu ruszyły na gmach parlamentu. Wywiązały się starcia, po obu stronach padli zabici. Tego dnia przewagę zyskały lepiej uzbrojone i dowodzone formacje rządowe. Pod wieczór były o krok od zdobycia Majdanu; rewolucję ocaliły nowe siły, przybyłe właśnie ze Lwowa.

Dwa dni później próba ponownego opanowania przez siły Majdanu ulicy Instytuckiej – centralnej arterii prowadzącej ku dzielnicy rządowej – zakończyła się masakrą: snajperzy strzelali ostrą amunicją, musieli mieć rozkaz zabijania. W ciągu może godziny padło prawie 50 zabitych (liczba ofiar śmiertelnych w tych dniach w Kijowie to 77 po stronie rewolucji i ok. 20 po stronie rządowej).

A jednak to właśnie ta godzina zdecydowała o zwycięstwie rewolucji godności: o pozostaniu Janukowycza u władzy nie mogło być już mowy. Wypracowany 21 lutego kompromis (z udziałem ministrów spraw zagranicznych Polski, Niemiec i Francji) już w chwili podpisania był świstkiem papieru. Janukowycz zrozumiał to pierwszy i zbiegł z Kijowa, a potem nie odważył się rozpętać wojny domowej i schronił się w Rosji.

Rewolucja zwyciężyła, ale tylko na chwilę. Nie dowiemy się, czy program liberalnej (głównie antyoligarchicznej i antykorupcyjnej) przebudowy państwa i zbliżenia do Unii Europejskiej miał szanse realizacji. Bo reakcją Moskwy na obalenie Janukowycza była aneksja Krymu i próba rozbicia Ukrainy na dwie części, z których ta wschodnia miałaby prawo weta w kluczowych sprawach polityki zagranicznej i wewnętrznej, a ta zachodnia – nie (na tym polegał – w brutalnym skrócie – postulat „federalizacji" sformułowany przez Kreml).

To pierwsze się udało, drugie już nie. Konsekwencją próby wzniecenia kontrrewolucji na wschodzie i południu kraju, od Charkowa po Odessę, była jednak zbrojna rebelia w Donbasie i trwająca do dziś wojna. Wojna, która odsunęła reformowanie kraju na odległy plan, choć go nie przekreśliła.

Ostra faza wojny zakończyła się wiosną 2015 r., wkrótce po zawarciu rozejmu w Mińsku (bo bitwa pod Debalcewem, jedna z czterech głównych w tej wojnie, rozegrała się już po zawarciu rozejmu, gdy siły rosyjskie zaatakowały, by opanować ważny węzeł kolejowy). Ukraina tę wojnę przegrała – trwale utraciła część Donbasu, gdzie istnieją dwa kontrolowane przez Moskwę parapaństwa. Choć nie można powiedzieć, że Rosja i separatyści ją wygrali – w 2014 r. cele Putina były znacznie bardziej ambitne.

Bez widoków na rozstrzygnięcie

Od czterech lat na wschodzie Ukrainy trwa „dziwna wojna": codzienna okopowa mordęga, rozbudowywanie umocnień, ostrzały artyleryjskie i snajperskie. Wojna, w której codziennie pada kilku rannych, a co kilka dni ktoś ginie (w 2018 r. Ukraina straciła 135 poległych; o stratach jej przeciwników nie mamy informacji). Wojna bez efektownych starć, dobrze sprzedających się w mediach i pobudzających wyobraźnię społeczeństwa. Bez wyraźnych zwycięstw ani porażek. Bez widoków na jakiekolwiek rozstrzygnięcie.

Taka wojna głównie męczy, jak kiedyś (oczywiście z uwzględnieniem kolosalnej różnicy skali) I wojna światowa. Większość Ukraińców ma jej serdecznie dość, choć nadal godzi się ponosić jej ciężar. Żołnierze wciąż cieszą się szacunkiem, ale dowódcy, zwłaszcza najwyżsi – już niekoniecznie. Z analizy różnych sondaży można odnieść wrażenie, że rośnie zapotrzebowanie na polityka, który zapropo-

SERGEI SUPINSKY / AFP / EAST NEWS

Miejsce pamięci poległych pięć lat temu na Majdanie. Kijów, 6 lutego 2019 r.

nuje realne rozwiązanie pokojowe. Który zaproponuje, jak pogodzić się z porażką, zachowując niepodległość i godność. Na razie nikogo takiego nie widać.

Wojna zahamowała reformowanie Ukrainy. Nie tylko dlatego, że państwo musiało początkowo skupić się na odbudowie sił zbrojnych, gruntownie zdezorganizowanych za rządów Janukowycza (na początku 2014 r. kraj mógł wystawić 3–5 tys. żołnierzy zdolnych do walki i to ze składu kilkudziesięciu jednostek). Także dlatego, że wojna nie jest czasem liberałów, nie jest dobrym czasem dla dysput i podejmowania ryzyka przebudowy instytucji i procedur (a reformy zawsze wiążą się z ryzykiem).

Już w 2014 r. uczestnicy i zwolennicy rewolucji godności podzielili się na dwa obozy. Jedni uważali, że mimo wojny należy nalegać na wprowadzanie liberalnych reform i ostro krytykować władze za ich opóźnianie. Inni uznali, że naród powinien skonsolidować się wokół kierownictwa państwa i zawiesić krytykę jego działalności, o ile tylko dobrze służy ono obronie państwa.

W pierwszej fazie wojny ci drudzy mieli rację, a pierwsi milczeli (jedni i drudzy w dużej mierze walczyli lub pracowali na rzecz frontu). Ale gdy nastał obecny konflikt pozycyjny, racja była po stronie krytyków kulejącego procesu realizacji zapowiadanych zmian. W międzyczasie powstał jednak nieformalny sojusz między „rewolucyjnymi" zwolennikami nowych władz a niechętną reformom biurokracją. Sojusz, który okazał się trwały.

Nowe oblicze konfliktu zbrojnego

Bez stałego rosyjskiego wsparcia separatystyczne republiki dawno by upadły. Ale Ukraina i Rosja wsciąż utrzymują stosunki dyplomatyczne, granica jest otwarta, obowiązuje ruch bezwizowy. Wypowiedzenie pod koniec 2018 r. traktatu o przyjaźni i współpracy było do pomyślenia tylko dlatego, że wiosną 2019 r. ubiegał jego termin i trzeba by go oficjalnie przedłużyć. Ostatnio Kijów zrywa niektóre umowy zawarte w ramach Wspólnoty Niepodległych Państw, ale głównie te bez większego znaczenia.

Ukraina zrezygnowała z importu rosyjskiego gazu ziemnego, pozbawiając Moskwę jednego z najważniejszych narzędzi presji na Kijów. Było to możliwe głównie dlatego, że duża część gazochłonnego przemysłu Donbasu wypadła z bilansu energetycznego Ukrainy – ale też dlatego, że po raz pierwszy od upadku Związku Sowieckiego nad Dnieprem poważnie zajęto się oszczędnością energii. To strategiczny sukces Kijowa.

Dostawcą paliwa jądrowego dla ukraińskich elektrowni pozostaje jednak Rosja, a import oleju napędowego z tego kraju rośnie. Ukraińskie czołgi i pojazdy opancerzone jeżdżą na rosyjskim paliwie. Antracyt z Donbasu nie trafia już wprawdzie na Ukrainę (i dalej na zachód) bezpośrednio, ale przez terytorium rosyjskie, ze sfałszowaną dokumentacją. Zachowana lub wznawiana jest współpraca wielu zakładów zbrojeniowych z obu krajów. Wszyscy o tym wiedzą, mało komu to przeszkadza.

To nie jest niekonsekwencja. To nowy sposób toczenia konfliktów zbrojnych: bez wypowiedzenia wojny, bez rozciągnięcia konfrontacji na wszystkie sfery życia państwowego i gospodarczego. Zbyt silne są powiązania gospodarcze i interesy z nimi związane. Tak prawdopodobnie będą wyglądać wojny nadchodzących czasów. Nie jest to dobra nowina, bo takie konflikty mogą ciągnąć się przez dziesięciolecia.

Państwo oligarchiczne

Na przełomie stuleci na Ukrainie ukształtowała się demokracja oligarchiczna, służąca głównie ludziom uwłaszczonym na majątku państwa komunistycznego, nastawionym na czerpanie korzyści bez inwestowania w rozwój i działanie na pograniczu prawa. Jednym z jej fundamentów była systemowa korupcja (znacznie więcej niż łapownictwo), innym – bezpośrednia kontrola właścicieli wielkich firm nad mediami i partiami politycznymi. To ich właśnie zwiemy postsowieckimi oligarchami.

Po pomarańczowej rewolucji z 2004 r., za rządów prezydenta Juszczenki stało się jasne, że system ten okrzepł i jest zdolny do samoobrony. Za „pomarańczowego" prezydenta nastąpiła jedynie zmiana układu sił. Osłabło znaczenie związanych z Donieckiem magnatów węgla i stali, wzrosło znaczenie pomniejszych oligarchów kontrolujących przemysł maszynowy. Podstawa systemu pozostała nienaruszona. Walka z korupcją toczyła się głównie na poziomie retoryki.

Po zwycięstwie Janukowycza w 2010 r. przewagę znów zdobyli „donieccy". Ten prezydent spróbował podważyć oligarchiczny charakter państwa: chciał podporządkować oligarchów jednemu ośrodkowi, zwanemu Rodziną (dominowali w nim ludzie związani ze starszym synem Janukowycza), i ustanowić reżim autorytarny wzorowany na rosyjskim. W efekcie zagrożeni oligarchowie nie pomogli ↦

↦ prezydentowi w starciu z rewolucją godności; niektórzy z nich nawet zakulisowo ją wsparli.

Stary system ma się dobrze

Po Majdanie szybko się okazało, że naruszenie podstawowych interesów oligarchów nie jest możliwe. Na czele państwa stanął – praktycznie nie mając konkurentów – oligarcha (Petro Poroszenko jest właścicielem koncernu cukierniczego i kilku stoczni, doświadczonym politykiem i właścicielem opiniotwórczej stacji TV). Tak jak za Juszczenki, nastąpiło przetasowanie w ramach systemu. Tyle że głębsze, poważniejsze od poprzedniego.

Związane z wojną załamanie gospodarki Zagłębia Donieckiego podważyło pozycję magnatów węgla i stali. Ostatecznie skończyło się żerowanie na dystrybucji rosyjskiego gazu. Wzrosła natomiast rola pozostającego dotąd w cieniu oligarchów sektora rolnego (który od początku wieku przeżywa na Ukrainie odrodzenie).

Mimo nacisków (głównie MFW) walka z korupcją idzie opornie. Powołano NABU (ukraiński odpowiednik CBA), a także specjalny antykorupcyjny sąd i prokuraturę (co skądinąd było przyznaniem, że oczyszczenie „zwykłego" sądownictwa i prokuratury z osób skorumpowanych jest nierealne). Ale wyników działalności tego sądu i prokuratury na razie brak.

Efekty dało za to wprowadzenie elektronicznego systemu przetargów na zamówienia publiczne i uporządkowanie systemu zwrotu podatku VAT. Ograniczyło to rozmiary korupcji, poprawiło stan finansów, umocniło odradzanie się gospodarki po katastrofalnym załamaniu w 2014 r.

Autorytarne tendencje czasów Janukowycza odeszły w przeszłość, stan demokracji się poprawił. Ale reguły gry politycznej zasadniczo się nie zmieniły. Reforma konstytucyjna utknęła w podzielonym parlamencie. Nie zmieniono prawa wyborczego (był to postulat rewolucji). Deoligarchizacja okazała się nierealna: to oligarchowie od ponad 20 lat rządzą krajem. „Strawili" już dwie rewolucje demokratyczne i jedną próbę autorytarnego „zamachu". Nie ma nikogo, kto mógłby ich zastąpić.

Niedomyślana reforma samorządowa

Najważniejszą zmianą, którą umożliwiła rewolucja godności, jest zapoczątkowanie reformy systemu administracji terytorialnej, wzmacniającej władze samorządowe.

Wielu aktywistów rewolucji godności wyjechało z Ukrainy. Głównie ci nastawieni liberalnie, otwarci, znający języki, młodzi.

Pomysł był dobry, ale realizacja już niekonsekwentna, a skutki – jak dotąd – niejednoznaczne.

Najlepiej wypadło wzmocnienie samodzielności finansowej miast i miasteczek: efekty już widać, także na prowincji. Gorzej przebiega tworzenie gmin zbiorowych (takich, jakie mamy w Polsce) przez dobrowolną konsolidację dotychczasowych gromad (odpowiednik naszych sołectw). Grzechem pierworodnym okazała się właśnie dobrowolność, pozostawiająca w szarej strefie gromady niescalone (a te wciąż stanowią większość). Nie uregulowano też nowej roli rejonów (powiatów), co tworzy różne problemy.

Ustawy decentralizacyjne wprowadzono bez niezbędnej nowelizacji konstytucji. Rozkład sił w Radzie Najwyższej wyklucza uchwalenie takich zmian przed wyborami parlamentarnymi (odbędą się jesienią). Czy w Radzie nowej kadencji będzie to łatwiejsze? Nie ma pewności. Zamiast zatem umacniać państwo, reforma ta przyczynia się do dalszej erozji praworządności, a także świadomości prawnej Ukraińców.

Społeczeństwo: bardziej jednolite, mniej stabilne

Dziś – pięć lat po rewolucji godności i imponującym ruchu wolontariackim, wspierającym walczących w Donbasie – niezbyt wiele pozostało z tamtej atmosfery. Choć pewnie więcej, niż się wydaje: sektor pozarządowy znikł z pola widzenia mediów, a i tym organizacjom na ogół nie zależy na rozgłosie.

Społeczeństwo ukraińskie jest bardziej jednolite: wojna skonsolidowała postawy obywatelskie, ujednoliciła postrzeganie ojczyzny. Także dlatego, że znaczna część obywateli nieidentyfikujących się z państwem ukraińskim pozostała na terenach niekontrolowanych przez Kijów lub wyjechała do Rosji. A coraz liczniejszy odsetek obywateli to ludzie wychowani już w niepodległym państwie, nieznający innej rzeczywistości.

Jednocześnie społeczeństwo stało się dużo mniej stabilne, bardziej chaotyczne. Rewolucja godności ujawniła znaczący wzrost przyzwolenia na przemoc (co nie wydaje się osobliwością Ukrainy), a wojna je umocniła. Pojawili się uchodźcy wewnętrzni (prawdopodobnie ponad milion) i weterani wojenni (już ponad 300 tys.), którym odnaleźć się w pokojowym życiu pomagają głównie organizacje obywatelskie. Pojawił się strach, poczucie zagrożenia, stale podsycane przez oficjalną propagandę.

W ręce cywilów dostała się też wielka ilość broni wojskowej. Część wpadła w ręce zorganizowanej przestępczości, już wcześniej silnej. Udało się wprawdzie podporządkować państwu ochotnicze formacje, ale część zachowała autonomię organizacyjną. Zachwianie się ładu wewnętrznego doprowadziło do utraty przez państwo kontroli nad obszarami nielegalnego wydobycia bursztynu na Wołyniu (sytuacja ta trwa już kilka lat). Wciąż zdarzają się pobicia i zabójstwa działaczy społecznych, zwłaszcza demaskujących korupcję [patrz „TP" nr 50/2018 – red.]. I tak dalej...

Emigracyjny eksodus

O rozczarowaniu obywateli nie tyle obecną władzą, co politykami w ogóle najlepiej świadczy to, że jednym z liderów prezydenckich sondaży (wybory są pod koniec marca) stał się telewizyjny komik Wołodymyr Zełenskyj, który prawdopodobnie jest skrycie popierany przez Ihora Kołomojskiego, jednego z najważniejszych dziś oligarchów. Ale tego przeciętny wyborca już nie wie.

To, co było zaczynem rewolucji godności, zostało zrealizowane: kraj jest stowarzyszony z Unią, jego granice Ukraińcy przekraczają bez wiz. I wielu aktywistów rewolucji wyjechało – do Polski lub dalej. Głównie ci nastawieni liberalnie, otwarci, znający języki, młodzi. A także ci, którzy nie chcą nadstawiać karku w obecnej, beznadziejnej wojnie.

Nie wiemy, ilu z nich wyjechało na parę lat, na stypendia czy do pracy, ilu zaś na zawsze. Wiadomo, że pomniejsza to elektorat liberalny, prozachodni i proreformatorski i zmniejsza możliwości sukcesu reform.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Autor jest emerytowanym ekspertem Ośrodka Studiów Wschodnich. Opublikował kilka książek i liczne opracowania o Ukrainie w XIX, XX i XXI w.

JORGE GUERRERO / AFP / EAST NEWS

Tej kobiecie się udało: w grudniu, po wielu dniach na morzu, wiozącemu ją i 310 innych migrantów okrętowi zezwolono na przybicie do portu w hiszpańskim Algeciras.

Historia jednego rejsu

MARCIN ŻYŁA

Po zamknięciu włoskich portów i wycofaniu prywatnych statków ratowniczych ludziom na morzu zostały tylko telefony.

CZASEM PO ANGIELSKU BRAKUJE IM SŁÓW i wszystko opisują kilkoma, które znają. Gdy zadzwonili pierwszy raz, o 10.49, powiedzieli tylko: „Płyniemy na białym balonie". I jeszcze: „106 osób... 12 dzieci... 20 kobiet... Jedna w ciąży".

Tego dnia w berlińskim biurze Watch The Med, prywatnej organizacji obserwującej ruch migrantów na morzu, dyżur pełnił Maurice Stierl: – Domyśliliśmy się, że „biały balon" to ponton z jasnej gumy – mówi „Tygodnikowi". – To trudne połączenia, w tle słychać krzyki, słowa zagłusza wiatr. Pytamy o stan pasażerów, skąd i kiedy wypłynęli. Jak najszybciej, bo sygnał może się zaraz urwać.

POPRZEDNIEGO WIECZORU ponton wypłynął z Al-Chums w Libii. W nocy pasażerom, pochodzącym z zachodniej i północnej Afryki, udało się oddalić od brzegu na 100 km. Byli już na wodach międzynarodowych. Zadzwonili przez telefon satelitarny. Wybrali na ekranie: Menu/GPS Manager/Current Position/Options/Save. Pozycja GPS jest dla służb na lądzie informacją najcenniejszą.

O 12.58 Watch The Med przekazuje współrzędne do Centrum Koordynacji Ratownictwa Morskiego w Rzymie. Odtąd, zgodnie z konwencją o bezpieczeństwie na morzu, każdy będący w pobliżu i zdolny do podjęcia akcji statek ma obowiązek „podążyć pełną prędkością na pomoc". Ale Włosi proszą wolontariuszy, by dzwonili do służb maltańskich. Przybliżona odległość pontonu od najbliższych portów europejskich wynosi wtedy: 244 km do La Valetty (Malta) i 264 km do Lampedusy (Włochy).

Stierl mówi, że gdy w Rzymie rząd objęli populiści, Liga i Ruch Pięciu Gwiazd, zmieniły się kontakty z włoską strażą przybrzeżną: – Wcześniej rozmowy były rzeczowe, po naszych telefonach wysyłali na pomoc okręty swoje lub innych państw Europy. Teraz zajmują się głównie spychaniem problemu na innych.

O 13.58 ZACINA SIĘ SILNIK. Oznacza to niesterowność, niemożność ustawiania pontonu wobec wysokich fal. Zostaje nadzieja, że motor chwilowo się przegrzał.

20 minut później telefon z Rzymu do Berlina. Od Włocha ze straży przybrzeżnej Stierl słyszy, że ponton to sprawa Libijczyków. Maurice i jego zespół dzwonią więc, po kolei, na osiem numerów libijskiej straży przybrzeżnej. Przez najbliższe kilka godzin nikt nie odbiera.

Na morzu znajdują się jeszcze okręty unijnej misji EU NAVFOR. Stierl: – Oni nie angażują się w takie akcje. Ich załogom nie byłoby trudno podejmować ludzi z wód międzynarodowych. Ale celowo wycofują się z najbardziej niebezpiecznego rejonu.

Zaalarmowane przez Watch The Med, po południu o sprawie informują włoskie media. Według dziennika „Corriere della Sera" dopiero wtedy premier Conte nakazuje swoim służbom kontakt z Libią.

STIERL INFORMUJE włoskie i maltańskie służby o pozycji pontonu aż do wieczora. Ludzie mówią przez telefon o wodzie wlewającej się do środka. O 19.45, dziewięć godzin po pierwszym połączeniu i dobę po wypłynięciu z Libii, wolontariusze Watch The Med ostatni raz rozmawiają z pasażerami. Potem już nikt nie odbiera.

Pozostaje im śledzić w internecie ruch statku handlowego, który manewruje w pobliżu ostatniej znanej pozycji pontonu. O 22.46 włoskie służby potwierdzają, że pasażerów podjął cywilny statek, który transportuje ich do libijskiej Misraty.

Kilka dni później Lekarze bez Granic, których personel dopuszczono w Libii do pasażerów, poinformują, że podczas rejsu zginęło sześć osób.

TE WYDARZENIA miały miejsce 20 stycznia, ale dopiero kilka dni temu odtworzono je dokładnie. Rejs „białego balonu" nie był wyjątkowy: mimo zamknięcia włoskich portów i wycofania z Morza Śródziemnego prywatnych statków ratowniczych, migranci nie rezygnują – w Watch The Med każdego dnia odbierają telefony od kilkunastu podobnych jednostek.

Coraz częściej podejmują ich statki handlowe. Miewa to dramatyczny przebieg: w lutym grupa odstawiona do Libii przez statek „Nivin" przez 12 dni odmawiała zejścia na ląd; ostatecznie użyto gazu łzawiącego i pocisków gumowych. W styczniu „Corriere della Sera" ujawniła zdjęcia przysłane z Libii przez ludzi, których odstawił kontenerowiec „Lady Sham": widać ślady pobicia. Amnesty International i Human Rights Watch od miesięcy informują o torturach i gwałtach w libijskich „ośrodkach zatrzymań".

Tymczasem 8 lutego we włoskiej Ostii zakończyło się kolejne szkolenie libijskiej straży przybrzeżnej. Obecna na nim włoska minister obrony Elisabetta Trenta pochwaliła współpracę z Libią i wezwała inne kraje północnej Afryki do „przejęcia odpowiedzialności" za migrantów, za „tę wspólną sprawę". ©℗

Perła w pekińskiej koronie

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Konflikt amerykańsko-chiński wokół koncernu Huawei wybuchł w nieprzypadkowym momencie: najbliższe miesiące będą kluczowe dla technologii 5G, która zrewolucjonizuje świat.

Gordon Sondland, ambasador USA przy Unii Europejskiej, jest podobny do Donalda Trumpa. Równie postawny, też był biznesmenem w branży hotelarskiej i – jak prezydent – przed objęciem urzędu nie miał doświadczeń w służbie publicznej.

Ale kunszt dyplomatyczny nie był potrzebny, gdy Sondland udzielał wywiadu portalowi „Politico". Bez owijania wyłożył to, co kanałami poufnymi zapewne przekazywał Brukseli od dawna: albo Unia wejdzie w sojusz ze Stanami przeciw Chinom, albo sporo ryzykuje. Np. tym, że sekretarz handlu Wilbur Ross zarekomenduje Białemu Domowi nałożenie wysokich ceł na europejskie auta.

Gdyby wizja strat gospodarczych nie zadziałała, ambasador zaprezentował możliwe skutki zaproszenia chińskiego giganta telekomunikacyjnego Huawei do współpracy przy budowie sieci nowej, piątej generacji, czyli 5G. „Można sobie wyobrazić, że ktoś z Biura Politycznego w Pekinie podnosi słuchawkę i mówi: »Chcę posłuchać takiej a takiej rozmowy«. Albo: »Chcę zepchnąć to a to auto podłączone do sieci 5G z drogi i zabić kierowcę«" – mówił Sondland. I dalej: „Nie istnieje nic, co Huawei mógłby dziś zrobić w Chinach, by zgodnie z tamtejszym prawem przeciwstawić się takim żądaniom chińskiego rządu".

Gdyby ktoś sądził, że Sondland wyszedł przed szereg, wątpliwości rozwiał Mike Pompeo. Szef dyplomacji USA powiedział w ubiegłym tygodniu wprost, że sojusznicy Stanów, którzy będą używać sprzętu Huawei, uczynią partnerstwo z Waszyngtonem znacznie trudniejszym.

W ten sposób Europa znalazła się w sytuacji panny na wydaniu. Ze Stanami łączy ją długi i zażyły sojusz. Ale jeśli zrezygnuje ze współpracy z Chińczykami, których się zresztą obawia, to może zostać w tyle za resztą świata.

Technika naprawdę nowa

Przeciętnemu użytkownikowi, którego nowe technologie interesują wtedy, gdy wybiera smartfona lub laptopa, trudno może wyobrazić sobie, co oznacza pojawienie się 5G.

Nowa generacja sieci komórkowej może stać się od 10 do nawet 100 razy szybsza od najbardziej dziś zaawansowanych – to oznacza również szybsze pobieranie filmów i płynniejszy streaming. Ale rewolucja polega nie na prędkości przesyłu, lecz na pojemności sieci: 5G pozwoli urządzeniom wymieniać ogromne ilości danych w czasie rzeczywistym.

Jak to miałoby wyglądać w praktyce?

Wyobraźmy sobie oddział komandosów w dżungli. Poruszają się w odległości kilkuset metrów od siebie, każdy ma na ręku niewielki wyświetlacz, na którym widzi pozycje pozostałych (to nie jest pozycjonowanie satelitarne, bo odbiór sygnału GPS w dżungli jest niestabilny – to komunikacja między maszynami). Nagle jeden żołnierz zostaje postrzelony przez wroga i traci przytomność. Jego inteligentne urządzenie natychmiast napina pas wokół zranionego uda, tamując krwawienie, wstrzykuje adrenalinę i jednocześnie wysyła ostrzeżenie do jego towarzyszy, a także do zespołu ewakuacji medycznej i do szpitala polowego. Żołnierze są w stanie szybko odpowiedzieć na atak. Nad każdym pojawia się autonomiczny dron, którego zadaniem jest ochrona człowieka. W tym czasie trwa też ewakuacja rannego.

Albo inny scenariusz: w pustym biurowcu ukrywa się grupa terrorystów. Technik policyjny wchodzi do systemu sterowania dźwiękiem budynku i za pomocą mikrofonów o wysokiej czułości sprawdza, jak rozchodzą się fale. Wieżowiec jest odcięty od prądu, ale system wciąż działa dzięki niskiemu poborowi mocy. Zebrane dane akustyczne analizuje

algorytm sztucznej inteligencji. Szybko udaje się namierzyć terrorystów, po czym zostają zabici przez drona.

To nie jest *science fiction*, lecz technologie już opracowane lub będące na finiszu prac, które opisywał niedawno „South China Morning Post". A to tylko ułamek możliwości, jakie daje 5G.

Nowa technologia pozwoli podpiąć do internetu nawet milion urządzeń na każdym kilometrze kwadratowym (LTE daje możliwość podpięcia miliona urządzeń na 500 kilometrach kwadratowych). 5G ma więc potencjał zinformatyzowania wszystkiego, od żarówek przez ubrania po auta. Zajmująca się doradztwem strategicznym firma McKinsey szacuje, że po 2025 r. rynek „internetu rzeczy" będzie wnosić do globalnej gospodarki od 3,9 do 11,1 bln dolarów, co roku.

Huawei jak Chiny

Początek tego roku jest dla Huawei jeszcze gorszy niż końcówka zeszłego.

W grudniu 2018 r. w Kanadzie na wniosek USA aresztowano Meng Wanzhou, wiceprezes koncernu ds. finansowych. W styczniu w Polsce zatrzymano pracownika Huawei pod zarzutem szpiegostwa, a Departament Sprawiedliwości USA oskarżył firmę o pranie brudnych pieniędzy, oszustwa finansowe i spisek.

REUTERS / FORUM

Autostrada w biznesowej dzielnicy Pekinu, wrzesień 2018 r. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za kilka lat wiele z tych aut mogą stanowić autonomiczne pojazdy, nawigujące dzięki technologii 5G.

Niedługo potem norweski minister sprawiedliwości ogłosił, że jego kraj rozważa wykluczenie Huawei z prac nad 5G. Podobne głosy płyną m.in. z Pragi i Kopenhagi. Przed angażowaniem firmy przestrzegają też szefowie tzw. porozumienia pięciorga oczu – służb wywiadowczych USA, Wielkiej Brytanii, Kanady, Australii i Nowej Zelandii. Obawy ma budzić potencjał wykorzystania infrastruktury telekomunikacyjnej do szpiegostwa i sabotażu na praktycznie nieograniczoną skalę.

Dlaczego Zachód tak bardzo obawia się Huawei? Firma, która w Polsce długo kojarzona była z telefonami ze średniej półki, nie jest wcale w pierwszej kolejności wytwórcą elektronicznych gadżetów. To największy na świecie producent wszystkiego, co potrzebne do zbudowania sieci komórkowej. Już cztery lata temu Huawei zepchnął z pierwszego miejsca Ericssona i wciąż ucieka konkurencji, głównie dzięki kolosalnym inwestycjom w badania. Tylko w 2017 r. wydał na nie 13,8 mld dolarów (dla porównania: Ericsson wydał 4,5 mld, a Nokia 5,2 mld).

Na oskarżenia o nielegalne praktyki Huawei za każdym razem odpowiada tak samo: prosi o dowody. Na razie oficjalnie nikt ich nie przedstawił. Jednocześnie zachodnim rządom, które wyrażają zaniepokojenie, koncern gotów jest przekazać do kontroli swoje urządzenia i ich kody źródłowe. Taką propozycję polskiemu rządowi złożył Jaap Meijer, *cyber security officer* odpowiedzialny za rynek europejski w Huawei; zrobił to wkrótce po tym, gdy w Polsce doszło do aresztowań (prócz Chińczyka ABW zatrzymała też Polaka).

Może to świadczyć o czystych intencjach, ale z drugiej strony w propozycji jest haczyk. Samo oprogramowanie stacji bazowej to miliony linijek kodu, nie mówiąc już o stopniu złożoności oprogramowania zarządzającego rdzeniem sieci komórkowej. Wdrożenie się w taki projekt mogłoby zająć kilkudziesięciu informatykom nawet rok, bo kod to efekt wielu lat pracy tysięcy programistów. A jeśli specjalnie pozostawiona luka (tzw. *backdoor* – tylne wejście) byłaby zaprojektowana tak, by trudno ją było znaleźć, szanse jej na odkrycie byłyby minimalne.

Huawei stał się poniekąd ofiarą własnego sukcesu. To perła w koronie programu „Made in China 2025" i wielka duma Chińczyków. Ale wiele amerykańskich think tanków – a za nimi administracja USA – uznały ten program, więc i firmę, za zagrożenie dla Zachodu.

Plan dziesięcioletni

Ogłoszony w 2015 r., ten rządowy „plan dziesięcioletni" zakłada przekształcenie chińskiej gospodarki tak, by przestała być zapleczem produkcyjnym zachodnich koncernów i stała się potęgą niezależną od obcych technologii, komponentów i inwestycji. Plan zakłada, że do 2025 r. kraj osiągnie w tym obszarze 70 proc. samowystarczalności, a w 2049 r. – w stulecie utworzenia ChRL – ma uzyskać dominującą pozycję na światowych rynkach.

Aby to osiągnąć, inżynierowie mają skupić się na szybkim rozwoju dziesięciu branż wysokich technologii – w tym robotyki, elektrycznych aut i oczywiście telekomunikacji (w tym 5G i „internetu rzeczy"). Ma to być możliwe dzięki idącym w setki miliardów dolarów subsydiom i ulgom podatkowym, a także inwestycjom w zachodnie firmy, które dają dostęp do wypracowanych już technologii (w 2016 r. Chińczycy przeprowadzili w USA akwizycje za ponad 45 mld dolarów). Dodatkowo wszystkie zagraniczne firmy inwestujące w Chinach muszą tworzyć spółki z firmami lokalnymi i są zobligowane do dzielenia się własnością intelektualną (zdarza się, że później „wypływa" ona gdzie indziej, już pod chińską marką).

Dzisiejsze mocarstwa gospodarcze z obawą przyjmują te butne zapowiedzi hegemonii. W 2017 r. Pentagon ostrzegał, że chińskie inwestycje w amerykańskie firmy pracujące nad oprogramowaniem rozpoznającym twarze, autonomicznymi pojazdami czy drukiem 3D mogą stanowić zagrożenie, bo w Państwie Środka trudno dokonać rozróżnienia między sektorem komercyjnym i wojskiem. W przyjętej dwa lata temu amerykańskiej strategii bezpieczeństwa uznano Chiny – obok Rosji – za strategicznego rywala Stanów. Amerykanie są przekonani, że chińska agresja ekonomiczna zagraża nie tylko gospodarce USA, lecz całemu globalnemu systemowi innowacji.

Generał Robert Spalding, były członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego ↦

↦ w administracji Trumpa, w tajnej notatce dla rządu (wyciekła do mediów) snuł wizje, jak Chiny opanowują rynek urządzeń podpiętych do internetu i „zamieniają miasta w broń". „Pomyślcie o autonomicznych autach, które nagle wjeżdżają w przechodniów. Albo o dronach, które wlatują w silniki samolotów pasażerskich" – przestrzegał.

Patriotyczna kradzież

Nic dziwnego, że Trump – wściekły na deficyt w handlu z ChRL (w 2017 r. wyniósł on 375 mld dolarów) – rozpoczynając wojnę celną z Chinami, powiązał handel z transferem technologii i cyberbezpieczeństwem. Na razie sukcesów nie odniósł, deficyt nadal rośnie.

W ostatnich tygodniach kilka razy zmieniały się komunikaty odnośnie do tego, czy dojdzie do spotkania Trumpa z Xi Jinpingiem, przewodniczącym (prezydentem) Chin. Tuż po tym, jak strony potwierdziły, że uzgadniane są ostatnie szczegóły, Trump napisał na Twitterze, że rozmów nie będzie. Potem jego doradcy zaczęli przebąkiwać, że jest jednak szansa.

Tymczasem to właśnie Huawei stał się ostatnio jednym z głównych celów kampanii przeciw ekonomicznej agresji Pekinu. Biały Dom przekonuje, że koncern zawdzięcza swój sukces kradzieży amerykańskiej własności intelektualnej.

Chiny przez lata miały opinię największego pirata, gdzie kradzież zagranicznych technologii uchodzi za patriotyczny obowiązek. Dziś jednak to się zmienia: z danych Światowej Organizacji Własności Intelektualnej wynika, że w 2017 r. z Chin pochodziło 44 proc. wszystkich wniosków patentowych zgłaszanych na świecie – dwa razy więcej niż z USA. Tygodnik „The Economist" pisał niedawno, że im większą wartość ma chińska własność intelektualna, tym większa jest presja chińskich firm, aby Pekin egzekwował jej ochronę.

Podobny proces miał miejsce w Japonii, która w latach 70. XX w. budowała swoją potęgę na masowym kopiowaniu amerykańskich pomysłów.

Paradoksalnie sami Chińczycy coraz częściej próbują dystansować się od butnych zapowiedzi planu „Made in China 2025". „Jesteśmy na etapie podążania za innymi, zwłaszcza jeśli idzie o rozwój kluczowych technologii, których nie da się kupić, ani których nikt nam tak po prostu nie przekaże" – mówił na łamach „South China Morning Post" prof. Zhang Haiou z Uniwersytetu Huazhong.

> Koncepcja pokrycia Chin siecią miliardów urządzeń podpiętych do internetu zbiega się z innym rządowym programem: „kredytu społecznego", który podda obywateli stałej kontroli.
> **Będzie to największy system inwigilacji w historii.**

Od autostrady do inwigilacji

Konflikt z Amerykanami wybuchł w nieprzypadkowym momencie: to właśnie najbliższe miesiące będą kluczowe dla technologii 5G.

Chiny chcą mieć wpływ na to, jak ta sieć będzie funkcjonować – choćby dlatego, że przynajmniej na początku to one będą jej największym użytkownikiem. Z badań firmy CCS Insight (analizuje trendy w nowych technologiach) wynika, że do 2023 r. w Chinach z 5G ma korzystać 650 mln ludzi, gdy w Europie i USA będzie ich łącznie 337 mln.

W czerwcu 2018 r. zakończyła się pierwsza runda negocjacji zorganizowanych przez Międzynarodowy Związek Telekomunikacyjny. Dotyczyły standardów, na których będzie oparta na całym świecie technologia 5G. Zgłaszano tam patenty, które mają się stać jej fundamentami (ich właściciele będą latami żyć z tantiem płaconych przez cały świat).

Kolejna, ostatnia runda rozmów ma się odbyć pod koniec 2019 r. i wówczas standard 5G zostanie domknięty. W związku z tym Chińczycy zintensyfikowali lobbing. Ale firma LexInnova (śledzi trendy w telekomunikacji) twierdzi, że na razie ich patenty to tylko 10 proc. wszystkich przyjętych. Chińczycy mają za to dużą przewagę w mocach produkcyjnych: są w stanie budować sieci szybciej i na większą skalę niż ktokolwiek inny.

Testy już trwają. Od września 2018 r. sieć czujników i kamer oplotła 10-kilometrowy odcinek szosy w Fangshan pod Pekinem. Dzięki prototypowej wersji technologii 5G autonomiczne auta bezpiecznie nawigują po drodze.

Ale koncepcja pokrycia Chin siecią miliardów urządzeń podpiętych do internetu zbiega się z innym rządowym programem, bardzo niepokojącym: z systemem „kredytu społecznego", który ma poddać obywateli stałej kontroli pod kątem uczciwości, wypłacalności i prawomyślności. Gdy zostanie ukończony, będzie to największy system inwigilacji w historii.

Wprawdzie w tak ogromnej ilości danych trudno byłoby wypatrzyć te, które są dla szpiegujących najciekawsze, ale tu pomaga kolejna dziedzina, w którą – też w ramach „planu dziesięcioletniego" – państwo inwestuje: już dziś w Chinach znajduje się 17 z 20 ośrodków akademickich odpowiedzialnych za największą liczbę patentów z dziedziny sztucznej inteligencji.

Europa między frontami

Jak w całej tej układance ma się odnaleźć „panna Europa"? Dla Waszyngtonu może być cennym sojusznikiem, np. w kwestiach cyberbezpieczeństwa czy ochrony własności intelektualnej. Z kolei z Pekinem Europie jest ostatnio bardziej po drodze w zapobieganiu zmianom klimatu.

Aby jednak miała jakiekolwiek znaczenie, Europa musi mówić jednym głosem, bo obaj partnerzy już dowiedli, że zasadę „dziel i rządź" opanowali do perfekcji. Np. Grecja zablokowała Unię w krytyce Pekinu na forum ONZ za łamanie praw człowieka, a Węgry uniemożliwiły Wspólnocie krytykę Chin w sprawie ich rozpychania się na azjatyckich morzach.

Na razie jest pewne, że technologia, która miała łączyć, dzieli i grozi wybuchem nowej zimnej wojny: chińsko-zachodniej. W najbliższym czasie spór USA-Chiny może spowolnić wdrażanie sieci 5G. Długofalowo ten konflikt zaczął już napędzać rządowe dotacje dla nauki, zarówno w USA, jak w Chinach.

Jeśli kraje Europy pozwolą wciągnąć się w ich konflikt, to albo dadzą się podzielić (obierając którąś stronę), albo może spełnić się prognoza Roberta Fogela. Już dwie dekady temu ten laureat ekonomicznego Nobla prognozował, że Chiny staną się gospodarczą potęgą. A także, że do 2040 r. Europa stanie się zaściankiem reszty świata, rezerwuarem taniej siły roboczej.

© AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

WOJCIECH

Bonowicz:
Pod ścianą

Nie chcę Was zaskakiwać, więc napiszę: wydawnictwo Znak zamówiło u mnie wybór niniejszych felietonów. Propozycja miła, ale od razu zastrzegam: ja tego nie zrobię. To znaczy będą felietony, będzie wybór, ale tak naprawdę piszę i komponuję wszystko od nowa. Będzie tam kilka opowieści meandrujących i wokół różnych spraw tego świata owiniętych. Będzie seks, przemoc, sensacja i sceny, od których oczy Wasze zwilgotnieją. Będzie to po części moja autobiografia i w ogóle nie. Jakby dziennik, ale jakby esej. Jakby esej, ale jakby proza poetycka. Słowem: przygotujcie się na coś, o czym sam nie mam pojęcia.

Sporo dopisuję, mam też mnóstwo rzeczy ponotowanych na rozmaitych kartkach i karteluszkach, także w komputerze, i zamierzam z tego zbioru skorzystać. Ja w ogóle jestem *homo scribens*, to znaczy – jak nie zanotuję, to zapominam. Pamiętam tylko wczesne dzieciństwo, resztę zapomniałem. O tym, co się działo na przykład tydzień temu, nic nie wiem, chyba że mam zanotowane. A mam zanotowane, że byłem z Małgosią w odwiedzinach u Mandarynki i jej rodziców, i że oglądaliśmy Wróblewskiego, a Janek opowiadał, jak go kupił. I że w końcu przy tej opowieści prawie się rozpłakał, a ja to dobrze rozumiem, bo jedyną uczciwą odpowiedzią na wielką sztukę jest płacz. To znaczy wszystkie interpretacje są dobre, niektóre bywają naprawdę pomocne, ale płacz – jako ostateczny wyraz zachwytu i niemocy – jest jednak najlepszy. Poza tym przywiozłem od Mandarynki tytuł mojej następnej książki poetyckiej „Trzydziestu zuchów" – na jej cześć, bo Mandarynka jest drużynową.

Ja nawet z internetu ręcznie przepisuję. Najchętniej dialogi, bo ja pies na dialogi jestem. Na przykład w któryś Wielki Piątek z profilu pisarki Gai Grzegorzewskiej przepisałem następującą rozmowę. Gaja: „Na trzech kanałach msza, na każdym inna". Joanna: „Konkurencja na rynku, to zdrowo". Marta: „Zawodowo dementuję plotki. :) Dziś akurat jedyny dzień w roku, kiedy mszy nie ma. :P". Gaja: „To co to jest w takim razie?". Joanna: „Może jakieś powtórki lecą...".

Felietony w „Tygodniku" zacząłem pisać z końcem 2007 r., najpierw co tydzień, potem co dwa, na przemian z Andrzejem Stasiukiem. Nie ma żadnej rocznicy, dlatego pomyślałem, że mogę o tym napisać. Na spotkania autorskie coraz częściej przychodzą ludzie, którzy znają mnie głównie jako felietonistę. Oni akurat pamięć mają dobrą, zdarza się, że ktoś podnosi rękę: „Pan w marcu 2009 napisał w felietonie to i to. Co pan miał na myśli?". A ja już nie pamiętam, choć niby mam zapisane. Felieton to jest trochę dziennik, ale też trochę łże-dziennik; to określenie, jak wiadomo, wymyślił Konwicki. Felieton to jest wszystko i nic. Ja się na początku bardzo obawiałem tej formy, myślałem, że nie uciągnę i że się nie porozumiem, i że to będzie literacka klęska. Tymczasem bywały klęski i bywały momenty chwały. Pamiętam, jakoś tak na samym początku spotkałem Marka Skwarnickiego, a on mi mówi: „Dobrze pan pisze, ale te felietony są za długie. Felieton ma być krótki: wychodzi pan z domu, coś zaobserwuje, wraca i o tym pisze". „Panie Marku, a jak wyjdę i nic ciekawego nie zobaczę?". „To pan z głowy coś uszyje. To akurat pan potrafi".

Z felietonem jest – na odwrót niż w znanym powiedzeniu – że jak musisz, to chcesz. Jest termin, jest miejsce, jest mus. I wtedy zjawia się ochota. Oczywiście, raz wyjdzie lepiej, raz gorzej, ale samo doświadczenie jest ciekawe. Bo mówimy o gatunku, który w dziennikarstwie uchodzi za najpełniejszą ekspresję wolności. A rodzi się z musu. W piątek rano wstaję z gorączką, bo wiadomo – około południa zadzwoni redaktor prowadzący. I następuje coś takiego, że człowieka samo to postawienie pod ścianą nieoczekiwanie wyzwala. Jakby nie stał pod ścianą, toby nie napisał.

I doceńcie to: inni tak robią politykę. A ja jedynie felieton. ©

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 221/18 – z wniosku Marii Zubrzyckiej z udziałem Tomasza Mańko, Zbigniewa Mańko, Jerzego Rychlickiego, Moniki Rydelek, Doroty Nowak, Barbary Mazurek i Małgorzaty Rychlickiej o stwierdzenie nabycia spadku po Teresie Hofman i Zenonie Hofman, po których pozostała nieruchomość rolna położona w Załużu oznaczona numerem 1550 o powierzchni 0,4131 ha – wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku po Zenonie Hofman, s. Jana i Bronisławy, żonatym, zmarłym 23 sierpnia 2008 r. w Załużu i tam mającym ostatnie miejsce pobytu, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku, pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 364/18 – z wniosku Grzegorza Jadłowskiego z udziałem Jana Wużyńskiego i Antoniego Wużyńskiego o stwierdzenie nabycie spadku po Antoninie Wużyńskiej c. Kazimierza i Anny, wdowie, zmarłej 22 stycznia 2011 r. w Lubaczowie, mającej ostatnie miejsce pobytu w Horyńcu-Zdroju, po której pozostał majątek w postaci nieruchomości oznaczonych numerami 1638/3 i 1638/1, położonych w Horyńcu-Zdroju – wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku, pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ROK, KTÓRY ZMIENIŁ IRAN I ŚWIAT

40 lat po rewolucji, w wyniku której obalono monarchię, Irańczycy wciąż czekają na obiecaną wówczas wolność.

INGA ROGG Z TEHERANU

Jednym z pierwszych budynków rzucających się w oczy po przybyciu do Teheranu jest wielkie mauzoleum ajatollaha Chomeiniego. Podczas czterech oficjalnych dni świątecznych, którymi co roku państwo czci rocznicę jego śmierci, dziesiątki tysięcy Irańczyków pielgrzymują do tego nagrobnego meczetu, wystawnie udekorowanego złotem, marmurem i fajansową ceramiką, by upamiętnić przywódcę rewolucji i prosić o jego wsparcie w ziemskich problemach. Strumień odwiedzających robi wrażenie i jest wymownym dowodem, jaką czcią również dzisiaj otaczany jest duchowny, który zmienił historię Iranu, Bliskiego Wschodu i świata.

Rewolucja zwycięża

Gdy 40 lat temu, 1 lutego 1979 r., mający już swoje lata Ruhollah Chomeini (rocznik 1902) wracał do Teheranu, gorące powitanie zgotowały mu miliony Irańczyków. Przybywał samolotem z Paryża, gdzie spędził ostatnie miesiące swojej ponad 14-letniej emigracji.

„Gotowe, by poświęcić się dla przywódcy" – z tym sloganem na dłoniach dwie dziewczyny przy mauzoleum ajatollaha Chomeiniego. Teheran, 1 lutego 2019 r.

Irański monarcha, szach Mohammed Reza Pahlawi, opuścił kraj już dwa tygodnie wcześniej. Ale Iran miał swoje władze: miał premiera, a był nim Szapur Bachtijar, więzień polityczny za czasów szacha i zwolennik świeckiej demokracji, który funkcję szefa rządu zgodził się objąć w grudniu 1978 r. pod warunkiem, że monarcha zlikwiduje osławioną tajną policję Sawak i opuści Iran.

Jednak było już za późno. W płomiennej mowie, wygłoszonej na cmentarzu Behest-e-Zahra, gdzie spoczywało wielu zamordowanych przez reżim szacha opozycjonistów, Chomeini otwarcie powiedział, że nie jest zainteresowany żadnymi kompromisami. „Uderzę ten rząd prosto w twarz" – oświadczył i mianował własny gabinet. Półtora tygodnia później, 11 lutego, po tym, jak armia ogłosiła neutralność, walka o władzę była rozstrzygnięta – Bachtijar złożył dymisję (i nie czekając na ciąg dalszy, wolał wybrać los emigranta). Rewolucjoniści zwyciężyli.

Wtedy, na początku, nie było wcale oczywiste, dokąd poprowadzi ta podróż. W irackim Nadżafie, gdzie spędził większość czasu jako emigrant, Chomeini stworzył własną teorię państwa: system rządów, w którym krajem mieliby kierować islamscy nauczyciele-duchowni. W doktrynie tej, obecnej wyłącznie w islamie szyickim, chodzi przede wszystkim o to, aby przewodzić wiernym aż do momentu, gdy dwunasty imam, wcześniej ukryty, powróci w dzień sądu ostatecznego jako mahdi (mesjasz-zbawiciel) i zaprowadzi na ziemi sprawiedliwość oraz równość. Wśród szyickich duchownych sporne jest jednak to, ile świeckiej władzy mieliby sobie podporządkować.

Republika Islamska

Sam Chomeini obiecywał początkowo, że nie będzie ingerować w bieżące sprawy polityczne, pozostawiając je rządowi wyłonionemu w wyborach. Dlatego wielkie nadzieje z rewolucją wiązali też irańscy nacjonaliści, lewicowcy, a nawet feministki – ci wszyscy, którzy sprzymierzyli się wówczas z szyickimi islamistami i wspólnie powstali przeciw reżimowi szacha. Podczas wyborów, które odbyły się pod koniec marca, przygniatająca większość Irańczyków, mężczyzn i kobiet, opowiedziała się za utworzeniem Republiki Islamskiej.

Wkrótce potem na ulicach Teheranu demonstrowały dziesiątki tysięcy Iranek – przeciwko wprowadzonemu dzień wcześniej obowiązkowi noszenia chust (dwa lata później obowiązek ten miał zostać zapisany w ustawie). Ale nie tylko kobiety czekało przykre przebudzenie. Nowi władcy rzucili się z iście jakobińską furią w wir polowania na każdego, kogo uważali za podejrzanego: na prawdziwych i domniemanych popleczników poprzedniego reżimu, a także na tych, którzy odważyli się krytykować ich poczynania, jakiejkolwiek byliby oni proweniencji.

W pierwszych latach istnienia Republiki Islamskiej tysiące skazano w pokazowych procesach na karę śmierci i stracono. Dziesiątki tysięcy utraciły pracę w państwowej administracji. Wszystko to sprawiało, że w kraju rodził się opór: radykalni lewicowcy chwytali za broń, buntowały się mniejszości, jak Arabowie czy Kurdowie (zdominowany przez Persów, Iran jest krajem wielu narodów; Chomeini traktował wszelkie dążenia separatystyczne z równą brutalnością co swych przeciwników).

Dwa wydarzenia przyniosły w końcu rozstrzygnięcie: choroba szacha i wojna z Irakiem.

Wielki szatan, mały szatan

Gdy pod koniec października 1979 r. prezydent Jimmy Carter zgodził się, aby ciężko chory na raka Mohammed Reza Pahlawi przyjechał na leczenie do Stanów Zjednoczonych (obalony szach miał przed sobą jeszcze kilka miesięcy życia; umarł w lipcu 1980 r., w Kairze), wśród Irańczyków wywołało to ogromne poruszenie i gniew. Szeregi zwarły się błyskawicznie, a Amerykanie, którzy przez dekady wspierali szacha, stali się odtąd wrogiem numer jeden.

4 listopada 1979 r. radykalni studenci wdarli się do ambasady USA w Teheranie i wzięli 52 dyplomatów jako zakładników. Dramat uwięzionych miał trwać 444 dni. W międzyczasie Chomeini zręcznie wykorzystał wzburzone nastroje i już cztery tygodnie po szturmie ambasady przeprowadził referendum nad nową kontrowersyjną konstytucją. Ponad 99 proc. głosujących zakreśliło „tak". W ten sposób Chomeini uczynił sam siebie dożywotnim wodzem (*rahbar*) rewolucji.

Dziewięć miesięcy później, 22 września 1980 r., wojska irackie zaatakowały Iran. Wspierany przez Zachód i państwa Zatoki Perskiej, iracki despota Saddam Husajn – obawiający się, podobnie jak jego sojusznicy, że iskra rewolucji przeskoczy do Iraku i poderwie tutejszych szyitów (stanowiących większość ludności i uciskanych przez sunnicką mniejszość) – wierzył w szybkie zwycięstwo.

Czekało go rozczarowanie. Nawet użycie na masową skalę gazów bojowych nie było w stanie rzucić Irańczyków na kolana. Wojna, w której po obu stronach zginęły setki tysięcy ludzi, a która skończyła się dopiero w sierpniu 1988 r., stała się dla Chomeiniego dogodną okazją, aby umocnić wewnętrznie swój reżim. W miejsce irańskiej armii, osłabionej czystkami, zadanie obrony kraju przejęli paramilitarni Strażnicy Rewolucji. Równocześnie duchowni rekrutowali setki tysięcy ochotników, wśród nich także dzieci: niesieni wiarą w mahdiego, szli ofiarnie na front, aby znaleźć tam męczeńską śmierć.

Wojna położyła też fundament pod ogłoszoną przez Chomeiniego „oś oporu" przeciw „wielkiemu szatanowi" (USA) i „małemu szatanowi" (Izraelowi). Jako jedyny kraj z arabską większością po stronie Iranu stanęła Syria. To pozwoliło Teheranowi na skuteczny eksport rewolucji: libańska Armia Boga (Hezbollah) stała się militarnym narzędziem do ciągłego nękania Izraela i poważnym graczem politycznym, bez jej zgody nic nie dzieje się dziś w Libanie. Ostatnio Hezbollah zadomowił się w Syrii. Wzorując się na Hezbollahu, Teheran utworzył też potężną armię sprzymierzonych milicji w Iraku i Jemenie.

Państwo w stanie wrzenia

Wojna z Irakiem przyczyniła się również do tego, że irański reżim zaczął na potęgę inwestować w zbrojenia. Maksyma głosiła, że nikomu więcej nie powinno przyjść do głowy napadać na Iran. Otwarta wrogość, którą okazywała mu (i okazuje do dziś) Arabia Saudyjska i jej sojusznicy, utwierdzała Teheran w tym zamiarze. Nieprzemyślany krok z jednej czy drugiej strony mógłby łatwo doprowadzić do pożaru, który ogarnąłby cały Bliski Wschód.

Z punktu widzenia wrogów Teheranu największym zagrożeniem jest dziś irański program rakietowy. W tej kwestii irańskie władze nie są gotowe iść na jakikolwiek kompromis, co przedstawiciele ↦

AFP / EAST NEWS

↦ rządu w Teheranie potwierdzili również w ostatnich tygodniach. Natomiast Iran przestrzega układu atomowego z 2015 r. – potwierdził to niedawny raport amerykańskich służb wywiadowczych.

40 lat po rewolucji kraj stoi jednak przed punktem zwrotnym. Ajatollah Ali Chamenei, który w latach 1981-89 był prezydentem, a po śmierci Chomeiniego w 1989 r. objął schedę po nim i został Najwyższym Przywódcą Republiki Islamskiej, skończy w lipcu 80 lat. Krążą plotki, jakoby był ciężko chory.

Chamenei nie ma oczywistego następcy. Jego odejście mogłoby być początkiem pełnowymiarowej już walki o władzę między różnymi frakcjami, jakie tworzą „jastrzębie", konserwatyści i umiarkowani; ostatnio to ci trzeci nadają ton. Próżnia na samym szczycie władzy może stać się też katalizatorem tlących się cały czas protestów.

Od ponad roku Islamska Republika Iranu jest państwem w stanie wrzenia. Strajkują robotnicy, kierowcy ciężarówek i nauczyciele, rolnicy protestują z powodu kłopotów z dostępem do wody, kobiety przeciw obowiązkowym chustom, a emeryci z powodu przestojów w wypłacie należnych im świadczeń.

Jak dotąd cały ten ruch protestu jest zbyt niejednorodny, aby miał być zagrożeniem dla rządzących. Obóz reformatorów, który w 2009 r. przewodził krwawo stłumionej „zielonej rewolucji", zachowuje powściągliwość. Ale również w tych środowiskach narasta niezadowolenie – prezydent Hasan Rouhani nie spełnia oczekiwań, jakie w nim pokładali.

Gdy bezprawie staje się prawem

Jednak przyczyną tego, że Rouhani rozczarowuje niegdysiejszych zwolenników, jest w mniejszym stopniu on sam, a w większym antyirański kurs prezydenta USA. Donald Trump wypowiedział umowę atomową (Iran zgodził się wtedy na zaprzestanie badań nad bronią jądrową, w zamian za zniesienie sankcji) i wprowadził na powrót sankcje przeciw Teheranowi, co pozbawiło Rouhaniego gospodarczych owoców umowy z 2015 r. Rozczarowani zwolennicy reform odwracają się od niego, co może doprowadzić do tego, że w wyborach parlamentarnych w 2020 r. oraz w wyborach prezydenckich w 2021 r. zwyciężą „jastrzębie".

Ale przyczyną frustracji jest również system, który 40 lat temu zainstalował Chomeini. Zasada, wedle której ostatnie słowo należy nie do parlamentu, premiera czy prezydenta, lecz do Najwyższego Przywódcy Republiki Islamskiej, sprawia, że wola wyborców – jakakolwiek by ona była – jest blokowana i nie przekłada się na najwyższy szczebel rządów w państwie.

40 lat po rewolucji Iran stoi przed punktem zwrotnym. **W kraju wrze, a przywódca Republiki ajatollah Chamenei nie ma oczywistego następcy.**

Sytuacja, w której niezadowoleni obywatele wprawdzie mogą wyrazić swoje zdanie w wyborach, ale potem i tak niewiele z tego wynika, powoduje, że rośnie niebezpieczeństwo, iż nagromadzone frustracje znajdą w końcu ujście na ulicach.

Akurat duchowni powinni to wiedzieć: imam Husajn – wnuk twórcy islamu proroka Mahometa, zabity w bitwie pod (iracką dziś) Karbalą w 680 r. – jest dla muzułmanów szyitów nie tylko uosobieniem męczeństwa, lecz także symbolem rebelii i rewolucji. „Gdy bezprawie staje się prawem, opór staje się obowiązkiem" – to powiedzenie, którego autorstwo przypisuje się niemieckiemu lewicowemu poecie Bertoltowi Brechtowi, mogłoby być również autorstwa któregoś z szyickich autorytetów.

Rocznicowa celebra

Na razie jednak, w 40. rocznicę rewolucji, Irańczycy celebrują tamten swój historyczny opór – wobec reżimu szacha.

Poniedziałek 11 lutego jest w Teheranie mżysty i zimny. Drobna dziewczyna, odziana skromnie w suknię zakrywającą całe ciało, odczytuje z trybuny wersety Koranu. Gdy kończy, głos zabiera moderator. Rozgrzewa publiczność przy pomocy rewolucyjnego patosu.

Słyszymy, że Irańczycy są gotowi oddać życie w ofierze za swój kraj. „Allahu akbar", Bóg jest wielki – moderator wznosi okrzyk na koniec swego krótkiego przemówienia. „Allahu akbar" – odpowiadają tysiące gardeł.

Choć ciągle pada, a chłód jest przenikliwy, dziesiątki tysięcy przybyły, by świętować rocznicę islamskiej rewolucji. Spokojnym krokiem płyną mężczyźni i kobiety w czarnych czadorach (sukniach do kostek) w kierunku placu Wolności, gdzie przemawiać będzie prezydent Rouhani. Niektórzy zabrali ze sobą dzieci. Wielu niesie plakaty z podobiznami obecnego rahbara Chameneiego i jego poprzednika Chomeiniego. Wielu macha flagami, zielono-biało-czerwonymi. Irański *tricolore* widnieje też wymalowany na policzkach wielu kobiet.

Rewolucyjny folklor

Fatemeh Bagheh miała 10 lat, gdy obalono reżim szacha. Samej rewolucji, jak mówi, już nie pamięta. Ale od kiedy jest dorosła, co roku bierze udział w rocznicowych obchodach. – Mam wszystko, czego mi potrzeba – mówi 50-latka. Przede wszystkim przychodzi dlatego, że – jak mówi – bardzo szanuje Chameneiego. – On ma dobry charakter, jest moralny i żyje prostym, skromnym życiem.

Z megafonów rozlegają się pieśni nacjonalistyczne i rewolucyjne. Następnie mówca intonuje typowe okrzyki bojowe, jakich nie może zabraknąć podczas takiej imprezy. „Śmierć Ameryce! Śmierć Izraelowi!" – ryczy tłum. Obok nas przeciska się grupka nastolatków z plakatami: Trump, izraelski premier Beniamin Netanjahu oraz trzeci w tym gronie saudyjski król i arcywróg Teheranu Salman widnieją na nich pod postaciami wilków. – Izrael musi zniknąć, tak jak powiedział to nasz wódz – mówi Bagheh. Natomiast wobec Ameryki kobieta ma bardziej pojednawcze uczucia: – Nie mamy nic przeciwko amerykańskiemu narodowi. Mamy tylko problem z amerykańskim rządem.

Faktycznie, hasła sprawiają bardziej wrażenie folkloru, bo antyzachodniego nastroju nie czuć tu zupełnie. Wielu zdaje się autentycznie cieszyć, że spotkało zagraniczną reporterkę. Co chwila kobiety, ale także mężczyźni pytają, czy mogą sobie zrobić ze mną *selfie*. – Chcemy mieć dobre relacje z Ameryką i Europą – mówi Heshmatollah Taheri. – Ale to muszą być relacje na równych prawach, z wzajemnym szacunkiem – mężczyzna podkreśla, że to właśnie szacunku brakuje amerykańskiemu prezydentowi: – My zrobiliśmy swoje, to on zerwał stosunki.

To, że Trump zerwał umowę atomową z 2015 r. i ponownie nałożył sankcje, porusza i napełnia goryczą wielu Irańczyków. Tym bardziej że odczuwają to także w swoich portfelach. Irańska waluta, rial, straciła ponad dwie trzecie swej wartości, inflacja przekroczyła 35 proc.

– Tak, mamy problemy gospodarcze – mówi Bagheh. Jak wielu z tych, którzy tu przyszli, pracuje na państwowej posadzie. Choć również jej mąż zarabia, rodzina ledwo wiąże koniec z końcem. – Ale to nie podważa naszej wiary w rewolucję – deklaruje kobieta.

Rouhani obstaje przy rakietach

Przetrzymać przeciwności i pozostać wiernym: to także przesłanie Rouhaniego. „Nie dopuścimy, by zwycięstwo przypadło Ameryce" – mówi prezydent podczas 45-minutowego wystąpienia. – Naród irański przeżywa kłopoty gospodarcze, ale przetrzymamy je dzięki temu, że będziemy sobie nawzajem pomagać". Rouhani nie pozostawia wątpliwości, że Iran nie zrezygnuje z kontrowersyjnego programu rakietowego. W minionym tygodniu rząd zaprezentował nową rakietę Dezful [tak nazywają się miasto i prowincja nad granicą z Irakiem – red.], która ma zasięg tysiąca kilometrów.

„Nie prosiliśmy nikogo o zgodę, aby budować nasze rakiety i także w przyszłości nie będziemy o to prosić" – mówi Rouhani. – „Będziemy podążać naszą drogą i nadal budować naszą siłę militarną". USA i Izrael powinny być świadome, że bez Iranu nie da się zapewnić w regionie bezpieczeństwa.

Na obrzeżach tłumu wędrowni handlarze próbują sprzedać swoje towary. Inni oferują gotowane warzywa i słodycze. Ale dziś chyba nie zarobią wiele. Deszcz ciągle pada, wielu ludzi chce jak najszybciej wrócić do domu. Metro, w którym obowiązuje surowy podział na wagony dla mężczyzn i dla kobiet, zapełnia się błyskawicznie.

– Oni są stuknięci – szepce do nas, pod adresem rodaków, młoda kobieta z jaskrawo umalowanymi ustami. – Nie wiedzą, co do garnka włożyć, a mimo to idą na tę paradę.

W tym momencie jednak jest ona ze swoją opinią raczej samotna. Kto myśli tak jak ona, ten został w domu albo wykorzystał przedłużony weekend na krótkie wakacje. Tego dnia Teheran należy w pełni do zwolenników rewolucji.

© INGA ROGG

Przełożył WP

Autorka jest reporterką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung", w którym publikuje korespondencje z krajów Bliskiego Wschodu.

1979: rok przełomowy

(nie tylko na Bliskim Wschodzie)

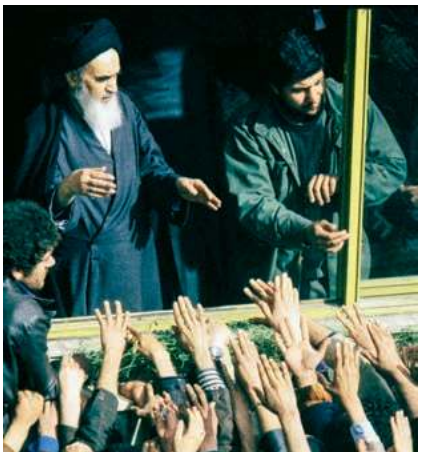

GABRIEL DUVAL / AFP / EAST NEWS

Ajatollah Chomeini wita się ze swoimi zwolennikami po powrocie do Teheranu, 2 lutego 1979 r.

POCZĄTEK ROKU: przewrót w Iranie daje początek zwyżkom cen ropy na światowych rynkach, który nasili się po ataku Iraku na Iran. Rok 1979 i 1980 to tzw. drugi kryzys naftowy, który przyczyni się do recesji w wielu krajach zachodnich i bloku wschodnim.

1 STYCZNIA: USA i Chińska Republika Ludowa nawiązują stosunki dyplomatyczne.

1 LUTEGO: Chomeini wraca do Teheranu, jego zwolennicy przejmują władzę. Autorytarna monarchia zostaje zastąpiona przez autorytarną Republikę Islamską, która zmieni układ sił na Bliskim Wschodzie. Chomeini umrze 3 czerwca 1989 r. Stworzony przez niego system przetrwa, a Iran stanie się regionalnym mocarstwem.

16–17 MARCA: działacze środowisk lewicowych w Niemczech zachodnich tworzą listę przed wyborami do Parlamentu Europejskiego pod nazwą Die Grünen (Zieloni). W styczniu 1980 r. na tej bazie powstanie partia, która wprowadzi temat ekologii do niemieckiej polityki.

26 MARCA: Izrael i Egipt zawierają pokój (wcześniej Egipt brał udział w kilku wojnach z Izraelem jako lider arabskiej koalicji). Porozumienie wynegocjowali premier Begin i prezydent Sadat; dostali za to pokojowego Nobla. Egipt stanie się sojusznikiem USA (obok Arabii Saudyjskiej), ale za pokój z Izraelem zapłaci izolacją w regionie, a Sadat życiem: w 1981 r. zabiją go islamscy fundamentaliści.

3 MAJA: Margaret Thatcher zostaje premierem Wielkiej Brytanii.

CZERWIEC: nowy papież Jan Paweł II odbywa pierwszą podróż do komunistycznej Polski.

16 LIPCA: Saddam Husajn formalizuje swą władzę, którą faktycznie sprawował w Iraku od dekady, i zostaje prezydentem, premierem i szefem rządzącej partii Baas w jednej osobie. W kolejnych latach będzie umacniać swą dyktaturę, lawirując między Wschodem i Zachodem oraz prowadząc wojnę z Iranem. W 1990 r. Husajn zaatakuje Kuwejt, co stanie się początkiem jego długiego, bo trwającego jeszcze 13 lat końca.

LISTOPAD: uwięzienie dyplomatów USA w Iranie i nieudana próba ich uwolnienia (w kwietniu 1980 r.) osłabiają pozycję prezydenta Cartera, co rok później przyczyni się do jego klęski wyborczej. W styczniu 1981 r. prezydentem USA zostanie Ronald Reagan.

20 LISTOPADA: opozycyjni saudyjscy wahabici (zwolennicy radykalnego islamu) szturmują i okupują przez dwa tygodnie Wielki Meczet w Mekce. Saudyjska dynastia, wcześniej opowiadająca się za umiarkowaną wersją islamu, ustępuje pod presją radykałów i zaczyna promować islam w wersji wahabickiej. Dopiero 40 lat później reformy (połowiczne) zacznie wprowadzać następca tronu książę Muhammad ibn Salman.

12 GRUDNIA: kraje NATO podejmują decyzję o rozmieszczeniu w Europie Zachodniej rakiet średniego zasięgu Pershing i Tomahawk, jako odpowiedź na rozmieszczenie w Europie Wschodniej sowieckich SS-20. Decyzji towarzyszy apel, by USA i ZSRR podjęły rozmowy o redukcji rakiet średniego zasięgu. Układ taki będzie zawarty w 1987 r. i przetrwa do 2019 r. Poza układem są Chiny, których arsenał rakietowy to w 95 proc. pociski średniego zasięgu.

NOC Z 24 NA 25 GRUDNIA: sowieccy spadochroniarze lądują w Kabulu, zabijają prezydenta Amina (choć jest komunistą, Kreml uważa go za niepewnego) i instalują prezydenta Karmala (wieloletniego agenta KGB). Do Afganistanu wkracza sowiecka 40. Armia. Decyzję o inwazji Kreml podjął, gdyż afgańscy komuniści nie radzą sobie z partyzantami. „Bratnia pomoc" potrwa do 1989 r., a związany z nią wysiłek wojenny przyczyni się do erozji Związku Sowieckiego.

DLA KOGO ZIELONY PRĄD

Panele fotowoltaiczne na dachach polskich domów to zbyt rzadki widok. Nie rozwiązałyby wszystkich problemów ekologicznych, ale pomogłyby nieco ulżyć klimatowi.

MARCIN BÓJKO

Według GUS Polska rocznie zużywa około 74 mln ton węgla, z czego przeszło połowę na produkcję energii elektrycznej. To 203 tys. ton dziennie, 8,5 tys. ton na godzinę. Mniej więcej trzy wagony węgla przechodzą każdej minuty przez polskie kominy. Budynek jednorodzinny o powierzchni 150 metrów rocznie zużywa średnio 4500 kilowatogodzin energii elektrycznej (czyli około 200 zł miesięcznie w rachunkach za prąd), co wymaga spalenia prawie 3 ton węgla. Powstanie z tego niemal 5 ton dwutlenku węgla, około 200 kg popiołu, 15 kg siarki, 5 g uranu i 150 mg rtęci. Uran i rtęć będą głównie w popiele, który zapewne trafi na hałdę przy elektrowni. Te 150 mg rtęci to tak, jakbyśmy rozbili rocznie 50 żarówek energooszczędnych, czyli jedną na tydzień. Nie jest fajnie.

Nawet jako zwykli konsumenci energii możemy coś z tym zrobić i sami zacząć produkować energię. Oczywiście prąd to nie konfitury, produkcja energii wymaga zaawansowanych technologii. Ale te technologie stają się w mikroskali coraz tańsze. Instalacja do domowej produkcji energii kosztuje 30-40 tys. złotych – mniej niż nowy samochód. W kontekście budowy i eksploatacji domu to nie jest cena zaporowa. W dodatku można ją zmniejszyć dzięki finansowym zachętom do takich inwestycji ze strony państwa.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Baterie słoneczne, dofinansowane przez gminę Kleszczów w okolicy Kopalni Węgla Brunatnego Bełchatów, są tam niemalże na każdym dachu. Lipiec 2016 r.

Praca Słońca

Energię najlepiej wziąć bezpośrednio z ogólnie dostępnego źródła. Najważniejszym źródłem energii na Ziemi jest Słońce. Zdecydowana większość zjawisk, z których dziś pozyskujemy energię użyteczną – cieplną, mechaniczną i elektryczną – to zjawiska powstałe w wyniku przetwarzania obecnie dostępnych źródeł energii na Ziemi – pochodnych energii słonecznej. W końcu Słońce nieustannie dostarcza nam energię, która jest magazynowana przez rośliny w związkach węgla, powoduje parowanie (a więc podnoszenie wody) czy ruchy atmosfery, czyli wiatr.

Procesy technologiczne wykorzystywane dzisiaj do wytwarzania energii elektrycznej w oparciu o paliwa stałe są bardzo złożone. Żeby uzyskać energię np. z węgla, trzeba się nieźle napocić: najpierw ten węgiel wykopać, potem spalić go i podgrzać wodę tak, by zamieniła się w parę, parę wpuścić do turbiny, która napędza generator, a ten produkuje prąd.

Czyli energię chemiczną zamieniamy na cieplną, tę na kinetyczną (mechaniczną), a tę z kolei na elektryczną. Nie ma się co dziwić, że nawet w najnowocześniejszych elektrowniach konwencjonalnych przeszło połowa energii uzyskanej ze spalania tracona jest bezpowrotnie – najlepsze elektrownie oparte na węglu mają sprawność do 45 proc. To znaczy, że 55 proc. energii zamkniętej w węglu idzie w komin (choć często można ją odzyskać jako ciepło służące do ogrzewania mieszkań).

W domu nie musimy jednak stawiać elektrowni węglowej. Znacznie bardziej eleganckim rozwiązaniem w kontekście domowej produkcji prądu jest wykorzystanie efektu fotowoltaicznego (zob. ramka). Działa to następująco: w materiale półprzewodnikowym światło jest w stanie wybić elektrony z jego struktury. Taki wybity elektron porusza się swobodnie po całym półprzewodniku, unosząc energię dostarczoną przez światło. Odpowiednio dobierając właściwe materiały, można zaprząc takie wyswobodzone elektrony do pracy.

Na tej zasadzie działają ogniwa fotowoltaiczne. Bardzo eleganckie rozwiązanie, bo nie mamy żadnych części ruchomych, nie musimy dokładać paliwa, wystarczy, że zapewnimy dostęp do światła słonecznego. A tego światła mamy pod dostatkiem. Rocznie każdy metr kwadratowy naszego kraju otrzymuje około 1100 kWh (ile dokładnie w rejonie, w którym mieszkamy, można sprawdzić na mapie www.solargis.info). Wspomniane na początku 150-metrowe gospodarstwo domowe zużywa tyle energii elektrycznej, ile dociera do 4 metrów kwadratowych powierzchni Polski. Do każdego skrawka naszego kraju o boku 13 na 13 kilometrów dociera tyle energii słonecznej, ile nasz kraj rocznie zużywa w postaci prądu. To mniej więcej taki obszar, jaki planowany jest pod lotnisko w Baranowie.

Kłopoty z magazynowaniem

Co stoi na przeszkodzie, żeby zamiast lotniska postawić elektrownię? Problemów jest kilka. Niestety nie jesteśmy w stanie całej dostępnej energii słonecznej przekształcić w prąd. Co gorsza, światło słoneczne raz jest, raz go nie ma, i to nie tylko z powodu pory dnia, ale również ze względu na pogodę. Ten pierwszy problem nie jest aż tak wielki, ponieważ współczesne panele słoneczne, dostępne normalnie na rynku (czyli za normalne pieniądze), mają sprawność w granicach 15–20 proc., więc nawet w najgorszym przypadku potrzeba instalacji o 7 razy większej powierzchni (czyli nie 4 metry kwadratowe dla wspomnianego gospodarstwa domowego, tylko 28 metrów, i nie 13x13 kilometrów, tylko 34x34 dla całej Polski), ale to wciąż nie są wielkości przerażające. 28 metrów kwadratowych zmieści się na większości dachów, a te 34x34 kilometry też gdzieś da się upchnąć w naszym kraju. Znacznie większym problemem jest kwestia magazynowania energii słonecznej.

Gdyby nie to, wystarczałoby pozamykać elektrownie węglowe, uruchamiając w ich miejsce siłownie słoneczne. Na przykład gdyby przykryć dwa z trzech wyrobisk kopalni węgla brunatnego w Bełchatowie panelami fotowoltaicznymi, dostalibyśmy instalację o porównywalnej mocy co bełchatowska elektrownia. Problem w tym, że o ile węgiel do kotła jesteśmy w stanie sypać codziennie, w dzień i w nocy, w słońce i deszcz, o tyle elektrownie fotowoltaiczne działają tylko ↦

↦ w słoneczne dni. Dlatego prąd produkowany zarówno za pomocą fotowoltaiki, jak i z farm wiatrowych dopóty nie będzie w stanie zastąpić tradycyjnych elektrowni, dopóki nie poprawimy ich dyspozycyjności. Najlepszy znany sposób magazynowania energii, jakim są elektrownie szczytowo-pompowe, pozwala gromadzić nadwyżki zaledwie z kilku godzin produkcji, a w przypadku odnawialnych źródeł energii powinniśmy mieć możliwość gromadzenia energii przez kilka dni. Największa taka instalacja w Polsce – Elektrownia Wodna Żarnowiec – jest w stanie pomieścić 3600 MWh. Tyle, ile Bełchatów jest w stanie wyprodukować w 40 minut.

Już pomijam fakt, że moc zainstalowana z ogniw fotowoltaicznych to jedno, a moc uzyskana to drugie, i żeby zastąpić elektrownię w Bełchatowie panelami słonecznymi, trzeba zainstalować panele o mocy nie 5,4 gigawata, lecz 10 razy większej, czyli 54 gigawatów. To lekko licząc 180 milionów paneli, które zajęłyby powierzchnię 280 km kwadratowych, czyli działkę o rozmiarach 16x16 km (zmieścilibyśmy na tej powierzchni trzy kopalnie bełchatowskie). Słowem, pomysł z zasypaniem bełchatowskich wyrobisk może i jest dobry, ale niedopracowany w szczegółach.

Elektrownia na dachu

O ile budowanie ogromnych elektrowni fotowoltaicznych ma umiarkowany sens, o tyle w mikroskali, na prywatne potrzeby, warto się zastanowić. Dobrze zaprojektowane, energooszczędne budynki jednorodzinne z odpowiednią instalacją fotowoltaiczną są w stanie funkcjonować z marginalnym udziałem sieci nawet 9-10 miesięcy w roku. Ponieważ w lecie instalacje fotowoltaiczne mogą produkować energię z dużym naddatkiem w stosunku do potrzeb, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przez 10 miesięcy w roku produkować tyle energii, by starczyło na dwa pozostałe miesiące.

Nie ma w tym też żadnej sprzeczności, bo magazynowanie prądu w domowej instalacji fotowoltaicznej realizuje się banalnie. Dzięki obowiązującemu w Polsce prawu właściciel takiej instalacji może oddawać nadwyżki prądu do sieci energetycznej, a sieć musi mu zwrócić część tego, co dostarczył. To znaczy, że z dobrze zaprojektowaną instalacją fotowoltaiczną jesteśmy w stanie uzyskać samowystarczalność energetyczną przez znaczną część roku. W Polsce jest 5 milionów domów jednorodzinnych. Gdyby na każdym dachu zainstalować po 36 paneli, to... moglibyśmy wyłączyć Bełchatów.

Oczywiście natychmiast rodzi się pytanie, co z kosztami ekologicznymi związanymi z produkcją paneli fotowoltaicznych. W końcu produkcja panelu zużywa energię, energię skądś trzeba wziąć, a zwykle bierzemy ją ze spalania węgla. Okazuje się jednak, że wcale nie jest tak źle. Według szacunków amerykańskiego Departamentu Energii okres zwrotu energetycznego w przypadku najpopularniejszych paneli tzw. polikrystalicznych wynosi raptem trzy lata. Ponieważ same panele mogą pracować 15–25 lat i po wyprodukowaniu nie zużywają już prądu do pracy, to można powiedzieć, że po trzech latach mamy źródło w 100 proc. ekologiczne. W dodatku coraz więcej fabryk paneli energię niezbędną do produkcji czerpie z fotowoltaiki, więc nie emitują CO_2.

Panele fotowoltaiczne są dość trwałe – większość producentów daje na nie 15 lat gwarancji, a są tacy, którzy dają aż 25 lat. W instalacji nie ma żadnych elementów ruchomych, a półprzewodniki używane do produkcji paneli degradują się w niewielkim stopniu – spadek sprawności to około 0,5 proc. rocznie. Czyli po 20 latach instalacja o pierwotnej mocy 1000 kW będzie produkować 900 kW prądu. Nie uwzględniamy tu zmian technologicznych – za 10 lat panele będą miały o wiele większą sprawność, ze względu na ogromny popyt na rynku.

Przestawienie gospodarstw domowych na fotowoltaikę ma jeszcze jeden sens: pozwala przyspieszyć modernizację obecnego system produkcji energii w naszym kraju. Od dawna naukowcy twierdzą, że przyszłością energetyki jest tzw. generacja rozproszona.

Jeśli w systemie elektroenergetycznym pojawi się mnóstwo małych źródeł, to niejako wymusimy rewolucję. W gminach i powiatach, w których będzie dużo paneli fotowoltaicznych, można pokusić się o budowanie małych elektrowni gazowych, dopasowanych do potrzeb lokalnej społeczności, zapewniających podtrzymanie zasilania w nocy i w pochmurne dni. Nawet istnieją już ramy prawne – projekt tzw. klastrów energetycznych, w których powiat lub grupa pięciu gmin może stworzyć spółdzielnię pozwalającą na produkcję energii na własne potrzeby. Wydatki na instalację fotowoltaiczną będzie można w tym roku odliczyć od podstawy opodatkowania i dodatkowo uzyskać dotację z Funduszu Ochrony Środowiska nawet na jedną trzecią kosztów.

Instalacja fotowoltaiczna zwraca się w cenach prądu po około 10 latach. To dużo, ale pamiętajmy, że wiszą nad nami nieuchronne podwyżki cen energii. Nie ma gwarancji, czy ceny zablokowane przez rząd gigantycznymi dopłatami utrzymają się po wyborach, a wtedy tempo zwrotu z instalacji poszybuje w górę. A gdy już spłacimy fotowoltaikę, warto będzie rozejrzeć się za elektrycznym samochodem – za 10 lat rynek będzie wyglądał zupełnie inaczej (Niemcy będą wymieniać auta kupowane dziś). Wtedy wystarczy dołożyć kilka paneli na dachu i ceny ropy naftowej też nas nie będą obchodzić. Ale to już temat na inną opowieść.

© MARCIN BÓJKO

Dziękujemy za konsultację merytoryczną dr. Mariuszowi Kłosowi z Politechniki Warszawskiej.

Efekt fotowoltaiczny

TO ZJAWISKO, w którym między dwoma różnymi, stykającymi się materiałami (zazwyczaj półprzewodnikami, jak np. krzem) pod wpływem światła pojawia się napięcie elektryczne. W uproszczeniu polega to na tym, że fotony (cząstki światła) przekazują swoją energię elektronom półprzewodnika, umożliwiając im swobodne poruszanie się po całym materiale. Takie „wyswobodzone" elektrony mogą też przepływać między oboma materiałami, ale różnica w ich własnościach sprawia, że przepływ ten jest nierównomierny – w którąś stronę przepływa więcej elektronów. Tworzy się więc różnica ładunków, a wraz z nią – napięcie. Zjawisko to po raz pierwszy zaobserwował już w 1839 r. Alexandre-Edmond Becquerel (ojciec Henriego Becquerela, noblisty, odkrywcy promieniotwórczości). Nie należy go mylić z pokrewnym mu efektem fotoelektrycznym (opisanym przez Alberta Einsteina), w którym elektrony pod wpływem światła są całkowicie wybijane z materiału.

© TOMASZ MILLER

Była piękna, zmysłowa, uwodzicielska i demoniczna. Wcielenie mitu „pięknej Żydówki". Wydał ją sąsiad. Kolejny członek formacji „Sąsiedzi". Nie znamy jego nazwiska. Nazywał się „Legion", ponieważ było ich wielu.

Jacek Leociak, Nasi sprawiedliwi

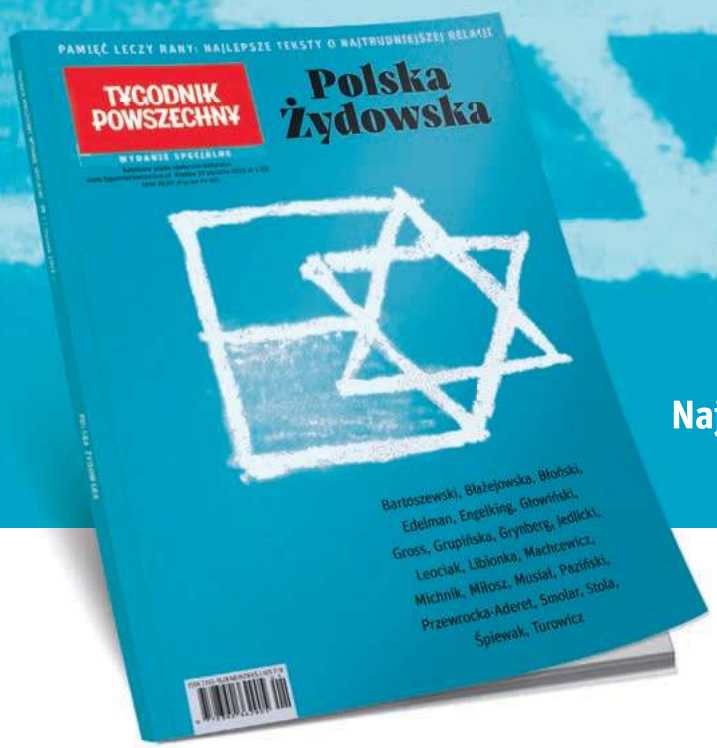

pamięć leczy rany

Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji

Wydanie specjalne „Polska Żydowska" **już w sprzedaży** w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz w e-wydaniu na powszech.net/polskazydowska

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

Kraków

CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

znak

GALICJA ŻYDOWSKIE MUZEUM

AUSTERIA

NIE SPOSÓB TEGO ZAGWIZDAĆ

Nim w niedzielę rozdane zostaną Oscary, zbadamy, na czym Hollywood dzisiaj najlepiej zarabia. Na pewno Homer nie powinien był zarabiać mniej.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Pogoda sprzyja spacerom. Bulwary pełne są ludzi, którzy przez chwilę nie muszą się donikąd spieszyć. Zagadnięci zatrzymują się, zastanawiają chwilę, po czym zaczynają gwizdać albo nucić. Niektórzy najodważniejsi nawet podśpiewują. Nie widzimy ukrytych za kamerą mężczyzn. Taylor Ramos i Tony Zhou nigdy nie pokazywali się na ekranie – to był świadomy wybór, część ich spójnej estetyki.

Ale nawet nie słysząc pytania, możemy się go z łatwością domyślić. Zaczepieni znienacka spacerowicze odtwarzają bowiem, jak potrafią, motywy muzyczne ze słynnych filmów. A potem – jak to w Hollywood – następuje nieoczekiwany zwrot akcji. Ramos i Zhou pytają o cieszącą się wielką popularnością serię o superbohaterach Marvela. Wszyscy rozmówcy kojarzą Kapitana Amerykę, Iron Mana, Hulka i Thora, niektórzy nawet publicznie wyznają im głęboką, fanowską miłość. Ale nikt nie potrafi zagwizdać melodii z któregokolwiek z tych filmów.

To ostatni odcinek „Every Frame a Painting" – wspaniałej serii wideoesejów na kanale YouTube. Choć Ramos i Zhou zwykle zajmowali się raczej obrazem (montaż, kadrowanie, praca kamery), ostatnią część cyklu poświęcili właśnie muzyce. Dlaczego wiele najnowszych hollywoodzkich produkcji brzmi tak samo? Dlaczego nie wyróżniają się oryginalną muzyką? Czemu brak w nich melodii, które dałoby się zanucić?

Zhou i Ramos, odsłaniając kulisy pracy nad wysokobudżetowymi superprodukcjami, pokazują, że tajemnicą jest m.in. *temp track* – tymczasowa muzyka, w rytm której montażyści układają sceny. Kompozytor jest przez to ograniczony do parafrazowania czy wręcz odtworzenia wykorzystanego w tym procesie motywu. Im bardziej rozbudowana seria, tym większe prawdopodobieństwo, że zacznie kanibalizować samą siebie. Jak w przypadku „Strażników Galaktyki" (2014), w których roboczo wykorzystano podkład muzyczny z „Avengersów" (2012), który potem nowy kompozytor musiał w zasadzie splagiatować. Oba filmy należą do uniwersum Marvela.

Problem nie dotyczy wyłącznie muzyki. Tak samo jest z najbardziej podstawowymi elementami fabuły: scenami, zwrotami akcji, a nawet postaciami. Filmy przestają składać się z autonomicznych elementów. Zostają podporządkowane logice serii. Stają się melodiami, których nie sposób zagwizdać.

Publiczność zna winnego. Znają go także krytycy. To jeden z tych nielicznych momentów w historii kina, kiedy ich głosy brzmią unisono. Za zmianę odpowiada sequeloza – niebezpieczna choroba, na którą Hollywood zapadł na początku nowego stulecia.

Śmierć dobrych historii

Dobra historia, dobrze opowiedziana. Przez lata był to jedyny pewny przepis na hollywoodzki sukces. Owszem, scenarzyści czerpali chętnie z literatury albo wzorowali się na udanych dziełach poprzedników.

Nie brakowało też takich, którzy – jak Blake Snyder, autor bestsellerowego podręcznika pisania scenariuszy „Save the Cat" – twierdzili, że wszystkie hollywoodzkie historie to w rzeczywistości jedna opowieść powtarzana w tysiącu różnych wersji. Niezależnie od pewnych problemów z oryginalnością od czasu do czasu znajdujących finał na sali sądowej, hollywoodzką produkcję definiowało zawsze to, że miała swój początek, punkt kulminacyjny i koniec. A po niej przychodziła pora na nową przygodę, nowego bohatera w nowym świecie. Jedynym stałym elementem, tym, co łączyło wszystkie wielkie i małe filmy, była świadomość, że każda przygoda musi się kiedyś skończyć.

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z nominowanego do Oscara 2019 za efekty specjalne filmu „Avengers: Wojna bez granic", produkcji Marvela

Ta fundamentalna zasada przeżywa właśnie poważny kryzys. Tak przynajmniej twierdzi internetowa mądrość ludu: „Hollywood pożera swój własny ogon!", „Każdy film to teraz sequel, prequel albo część wielkiej franczyzy!", „Czemu wytwórnie boją się kręcić oryginalne filmy?". Sprowadza się to w zasadzie do nazbyt dobrze znanej tezy: „Kiedyś było lepiej".

Skoro wszyscy tak twierdzą, to może zabawmy się przez chwilę w pogromców mitów. „Od początku stulecia Hollywood pogrąża się w sequelowym szaleństwie" – prawda czy fałsz?

Dla potrzeb naszego badania przygotowałem korpus 290 filmów, kierując się kryterium zyskowności. Do zbioru włączyłem po dziesięć najbardziej dochodowych hitów z lat 1990–2018. Dane zaczerpnięte z serwisu boxofficemojo.com uwzględniają całkowite dochody przyniesione przez poszczególne produkcje aż do roku 2018. W ten sposób powstała mapa kasowych przebojów z każdego kolejnego roku (co samo w sobie było świetną sentymentalną podróżą). Ile z nich było oryginalnymi produkcjami lub adaptacjami literatury, a ile – sequelami, prequelami, spin-offami czy elementami wielkich, rozbudowanych franczyz jak Marvel Cinematic Universe? Wyniki są zaskakujące.

Rzadko się zdarza, by jakaś obiegowa mądrość dotycząca różnicy między przeszłością a teraźniejszością potwierdziła się tak jednoznacznie w zderzeniu z danymi.

Nasza infografika (str. 64-65) to wizualna opowieść o tym, jak Hollywood przestał ufać produkcjom oryginalnym, oddając się całkowicie sequelowym bachanaliom. Na początku badanego okresu sequeloza jest wyjątkiem. Na końcu – niepodzielnie panującą regułą. Dla pierwszych dziesięciu analizowanych lat (1990-99) średnia to zaledwie 1,4 sequelu na rok. Zdarzały się lata bez żadnego sequelu wśród najbardziej dochodowych filmów. Dla ostatnich dziesięciu lat (2009-18) średnia wynosi aż 7,4. Zdarzają się wręcz lata bez żadnej samodzielnej kasowej produkcji, bez jednego chociażby przeboju, który nie byłby częścią większej marketingowej platformy. Co więcej, wzrosło też radykalnie prawdopodobieństwo, że film zaplanowany pierwotnie jako zamknięte dzieło doczeka się ciągu dalszego, jeżeli tylko odniesie sukces.

To zmiana fundamentalna, która odwraca logikę opowiadania historii, wpływa na sposób myślenia o bohaterach, strategie marketingowe, a nawet wymagania stawiane kompozytorom.

Spod Troi do McDonald's

Myśląc o współczesnej sequelozie warto mieć w pamięci długą historię zjawiska, bo zagadnienie wykracza jednak dalece poza proste „kiedyś było lepiej". Sequele, prequele, a nawet „łączone uniwersa" wcale nie są wynalazkiem chciwych macherów z hollywoodzkich wytwórni. To raczej pomysł stary jak świat. ↦

INWAZJA SEQUELI

DZIESIĘĆ NAJBARDZIEJ DOCHODOWYCH HITÓW ROKU W LATACH 1990–2018 (OD NAJBARDZIEJ DOCHODOWYCH)

	1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.
1990	Kevin sam w domu	Uwierz w ducha	Tańczący z wilkami	Pretty Woman	Wojownicze żółwie ninja	Polowanie na Czerwony Październik	Pamięć absolutna
1991	Terminator 2	Robin Hood, książę złodziei	Piękna i Bestia	Milczenie owiec	Sułtani westernu	Hook	Rodzina Addamsów
1992	Aladyn	Kevin sam w Nowym Jorku	Powrót Batmana	Zabójcza broń 3	Ludzie honoru	Zakonnica w przebraniu	Bodyguard
1993	Park Jurajski	Pani Doubtfire	Ścigany	Firma	Bezsenność w Seattle	Niemoralna propozycja	Na linii ognia
1994	Forrest Gump	Król Lew	Prawdziwe kłamstwa	Śnięty Mikołaj	Flinstonowie	Głupi i głupszy	Stan zagrożenia
1995	Toy Story	Batman Forever	Apollo 13	Pocahontas	Ace Ventura: Zew natury	Golden Eye	Jumanji
1996	Dzień Niepodległości	Twister	Mission: Impossible	Jerry Maguire	Okup	101 dalmatyńczyków	Twierdza
1997	Titanic	Faceci w czerni	Park Jurajski: Zaginiony świat	Kłamca, kłamca	Air Force One	Lepiej być nie może	Buntownik z wyboru
1998	Szeregowiec Ryan	Armageddon	Sposób na blondynkę	Dawno temu w trawie	Kariera frajera	Doktor Dolittle	Godziny szczytu
1999	Gwiezdne wojny: Mroczne widmo	Szósty zmysł	Toy Story 2	Austin Powers: Szpieg, który nie umiera nigdy	Matrix	Tarzan	Super tata
2000	Grinch. Świąt nie będzie	Cast Away. Poza światem	Mission: Impossible 2	Gladiator	Czego pragną kobiety	Gniew oceanu	Poznaj moich rodziców
2001	Harry Potter i kamień filozoficzny	Władca pierścieni: Drużyna pierścienia	Shrek	Potwory i spółka	Godziny szczytu 2	Mumia powraca	Pearl Harbor
2002	Spider-Man	Władca pierścieni: Dwie wieże	Gwiezdne wojny: Atak klonów	Harry Potter i komnata tajemnic	Moje wielkie greckie wesele	Znaki	Austin Powers i Złoty Członek
2003	Władca pierścieni: Powrót króla	Gdzie jest Nemo?	Piraci z Karaibów: Klątwa czarnej perły	Matrix reaktywacja	Bruce Wszechmogący	X-Men 2	Elf
2004	Shrek 2	Spider-Man 2	Pasja	Poznaj moich rodziców	Iniemamocni	Harry Potter i więzień Azkabanu	Pojutrze
2005	Gwiezdne wojny: Zemsta Sithów	Kroniki Narnii: Lew, czarownica i stara szafa	Harry Potter i czara ognia	Wojna światów	King Kong	Polowanie na druhny	Charlie i fabryka czekolady
2006	Piraci z Karaibów: Skrzynia umarlaka	Noc w muzeum	Auta	X-Men: Ostatni bastion	Kod da Vinci	Superman: Powrót	Happy Feet. Tupot małych stóp
2007	Spider-Man 3	Shrek Trzeci	Transformers	Piraci z Karaibów: Na krańcu świata	Harry Potter i Zakon Feniksa	Jestem legendą	Ultimatum Bourne'a
2008	Mroczny rycerz	Iron Man	Indiana Jones i królestwo kryształowej czaszki	Hancock	Wall-E	Kung Fu Panda	Zmierzch
2009	Avatar	Transformers: Zemsta upadłych	Harry Potter i książę półkrwi	Saga „Zmierzch": Księżyc w nowiu	Odlot	Kac Vegas	Star Trek
2010	Toy Story 3	Alicja w Krainie Czarów	Iron Man 2	Saga „Zmierzch": Zaćmienie	Harry Potter i insygnia śmierci 1	Incepcja	Jak ukraść księżyc?
2011	Harry Potter i insygnia śmierci 2	Transformers 3	Saga „Zmierzch": Przed świtem cz. 1	Kac Vegas w Bangkoku	Piraci z Karaibów: Na nieznanych wodach	Szybcy i wściekli 5	Mission: Impossible – Ghost Protocol
2012	Avengers	Mroczny rycerz powstaje	Igrzyska śmierci	Skyfall	Hobbit: Niezwykła podróż	Saga „Zmierzch": Przed świtem cz. 2	Niesamowity Spider-Man
2013	Igrzyska śmierci: W pierścieniu ognia	Iron Man 3	Kraina lodu	Minionki rozrabiają	Człowiek ze stali	Grawitacja	Uniwersytet Potworny
2014	Snajper	Igrzyska śmierci: Kosogłos cz. 1	Strażnicy Galaktyki	Kapitan Ameryka: Zimowy żołnierz	Lego przygoda	Hobbit: Bitwa pięciu armii	Transformers: Wiek zagłady
2015	Gwiezdne wojny: Przebudzenie mocy	Jurassic World	Avengers: Czas Ultrona	W głowie się nie mieści	Szybcy i wściekli 7	Minionki	Igrzyska śmierci: Kosogłos cz. 2
2016	Rogue One: Gwiezdne wojny. Historie	Gdzie jest Dory?	Kapitan Ameryka: Wojna bohaterów	Sekretne życie zwierząt domowych	Księga dżungli	Deadpool	Zwierzogród
2017	Gwiezdne wojny: Ostatni jedi	Piękna i Bestia	Wonder Woman	Jumanji: Przygoda w dżungli	Strażnicy Galaktyki 2	Spider-Man: Homecoming	To
2018	Czarna Pantera	Avengers: Wojna bez granic	Iniemamocni 2	Jurassic World: Upadłe królestwo	Deadpool 2	Grinch	Mission: Impossible – Fallout

- film oryginalny lub adaptacja książki
- prequel, sequel lub część franczyzy
- James Bond
- Harry Potter
- adaptacje książek J.R.R. Tolkiena
- Star Wars
- Adaptacje DC i DC Universe
- Adaptacje Marvela spoza MCU oraz Marvel Cinematic Universe

INFOGRAFIKA LECH MAZURCZYK

8.	9.	10.
Szklana pułapka 2	Dick Tracy	Gliniarz w przedszkolu
Sypiając z wrogiem	Ojciec panny młodej	Naga broń 2 1/2
Świat Wayne'a	Nagi instynkt	Ich własna liga
Raport Pelikana	Lista Schindlera	Na krawędzi
Speed. Niebezpieczna prędkość	Maska	Pulp Fiction
Kacper – przyjazny duch	Siedem	Szklana pułapka 3
Gruby i chudszy	Klatka dla ptaków	Czas zabijania
Gwiezdne wojny (edycja specjalna)	Mój chłopak się żeni	Jutro nie umiera nigdy
Dzień zagłady	Godzilla	Patch Adams
Mumia	Uciekająca panna młoda	Blair Witch Project
X-Men	Straszny film	Co kryje prawda
Ocean's Eleven	Park Jurajski 3	Planeta małp
Faceci w czerni 2	Epoka lodowcowa	Chicago
Terminator 3: Bunt maszyn	Matrix rewolucje	Fałszywa dwunastka
Krucjata Bourne'a	Skarb narodów	Ekspres polarny
Batman: Początek	Madagaskar	Pan i pani Smith
Epoka lodowcowa 2: Odwilż	Casino Royale	W pogoni za szczęściem
Skarb narodów: Księga tajemnic	Alvin i wiewiórki	300
Madagaskar 2	Quantum of Solace	Horton słyszy Ktosia
Wielki Mike	Alvin i wiewiórki 2	Sherlock Holmes
Shrek Forever	Jak wytrenować smoka	Zaplątani
Auta 2	Sherlock Holmes: Gra cieni	Thor
Merida waleczna	Ted	Madagaskar 3
Hobbit: Pustkowie Smauga	Szybcy i wściekli 6	Oz: wielki i potężny
Czarownica	X-Men: Przeszłość, która nadejdzie	Wielka Szóstka
Marsjanin	Kopciuszek	Spectre
Batman v. Superman: Świt sprawiedliwości	Legion samobójców	Sing
Thor: Ragnarok	Gru, Dru i Minionki	Liga Sprawiedliwości
Ant-Man i Osa	Han Solo: Gwiezdne wojny. Historie	Venom

↦ Hollywood oszalał na punkcie *shared universes* (łączonych uniwersów; zob. słowniczek poniżej), ale najstarsze znane nam mity można czytać jako realizację dokładnie tej samej zasady. Przecież przygody Heraklesa i Odysa, Achillesa i Syzyfa dzieją się w tym samym świecie. Powracają w nich ci sami bohaterowie, obowiązują te same zasady. Wojnę trojańską można w zasadzie uznać za najambitniejszy crossover w historii, w którym nasi ulubieni bohaterowie i bogowie zderzają się w epickiej bitwie. Rozciągając tę logikę można spokojnie powiedzieć, że „Odyseja" była sequelem „Iliady", „Achilleida" – jej spin-offem, „Eneida" z kolei – czymś w rodzaju remake'u „Odysei"...

Na długo przed tym, jak w kinach zapanowali bohaterowie Marvela, własne *shared universe* stworzył chociażby Balzac. Był przy tym nie mniej produktywny niż hollywoodzkie wytwórnie i, jeśli wierzyć świadectwom z epoki, zmagał się z bardzo podobnymi wyzwaniami – planowanie budżetu, walka z terminami, podkradająca pomysły konkurencja, a nawet piractwo.

Wygląda więc na to, że zarażony bakcylem sequelozy Hollywood nie tyle osiąga nieznane wcześniej ludzkości dno, ile raczej odkrywa na nowo bardzo stare strategie uwodzenia odbiorców. W tym kontekście warto chyba zapytać: dlaczego właśnie teraz? Dlaczego przez wiele lat filmy funkcjonowały jako oddzielne, autonomiczne całości, by z początkiem nowego stulecia spleść się nagle w ciasną sieć uniwersów, franczyz i niekończących się ciągów sequeli? Jest na to pytanie kilka równie prawdziwych odpowiedzi.

Rozwój internetu i serwisów streamingowych sprawił, że ponowny dostęp do treści, ich wielokrotne odświeżanie i uzupełnianie braków stały się łatwiejsze niż kiedykolwiek. Wpłynęło to na kształt współczesnych seriali, ale podobny proces obserwować można w odniesieniu do kinowych przebojów.

Dawniej zbudowanie kilkunastoczęściowej serii czy kilkudziesięcioodcinkowego serialu, które nie byłyby tasiemcami niewymagającymi jakiejkolwiek uwagi, było inwestycją nader ryzykowną. Co jeżeli widz przegapi piątkowy odcinek (albo ↦

Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o sequelozie

SEQUEL – ciąg dalszy; kolejna część produkcji, która odniosła sukces. Zwykle opowiada losy tych samych bohaterów, zachowując także ramy gatunkowe, zdarzają się jednak odważne próby przełamania monotonii. Czasem bardziej udane – jak w przypadku serii „Obcy", której druga część była raczej filmem akcji niż horrorem opierającym się na poczuciu zamknięcia i osaczenia. A czasem mniej – jak w przypadku drugiej części „Nieśmiertelnego" z Christopherem Lambertem i Seanem Connerym, która była... w zasadzie nie wiem, czym była. Jak większość fanów – wymazałem ją jak najszybciej z pamięci i oddałem się oglądaniu części trzeciej, która była obsesyjnie wręcz dokładnym powtórzeniem schematów fabularnych z pierwszego filmu.

CHEAPQUEL (znany też jako *direct-to-video*) – w żyłach nie wszystkich sequeli płynie błękitna krew kinowych oryginałów. Niektóre z nich to niskobudżetowe produkcje przeznaczone od razu na rynek wideo, DVD, a dziś – serwisów streamingowych.

PREQUEL – taki sequel, tylko opisujący wydarzenia rozgrywające się przed akcją oryginału. Przydatny zwłaszcza w sytuacji, gdy główni bohaterowie pierwszej części zginęli. Prequele mogą być dla scenarzystów ciekawym wyzwaniem. W tym przypadku nie sposób bowiem utrzymać uwagi widzów klasycznym pytaniem „jak to się skończy?". Zamiast tego trzeba zbudować fabułę, która zaprowadzi nas w zaskakujący sposób do znanego finału. Jak np. trylogia prequeli „Gwiezdnych wojen". Każdy, kto nie spędził dwóch dekad zamknięty szczelnie w schronie przeciwatomowym, wiedział, że Anakin przejdzie na ciemną stronę i zostanie Vaderem. Ale nikt nie spodziewał się, że wcześniej zbuduje C-3PO (w pewnym sensie był więc jego ojcem!). Albo że pozna Jar Jar Binksa.

MIDQUEL – w chaosie inwazji sequeli i prequeli było tylko kwestią czasu, aż ktoś ↦

↦ kwietniową premierę) i stracimy go już na zawsze? Telenowele radziły sobie spowalniając akcję i wprowadzając powtórzenia. Seriale nowej generacji i kinowe cykle po prostu zakładają, że widz, który coś przegapił, użyje internetu, by nadrobić zaległości. A jeżeli trochę się postaramy – może będzie wręcz wielokrotnie powracał do ukochanego filmu czy odcinka, odkrywając kolejne warstwy sprytnie ukrytych nawiązań? Może przed premierą nowej części czy serii postanowi zrobić maraton i odświeżyć sobie wszystkie dotychczasowe przygody ukochanych bohaterów, żeby przypomnieć sobie, kto, kogo, kiedy i dlaczego.

Po drugie, wielkie marki gwarantują nam powtarzalność doświadczenia zakupowego, kulinarnego, odzieżowego. Zaopatrując się w danej sieci zawsze możemy liczyć na podobny asortyment, podobną jakość obsługi; spójność korporacyjnego kodu obejmuje nawet dobór muzyki, oświetlenia oraz kanon zachowań personelu. Kupując produkt danej marki ufamy gwarancji powtarzalnego opakowania, smaku, składu. Dlaczego więc nie rozszerzyć tej logiki na kino? Nowy tytuł to ryzyko. Trudno przekonać widzów, że warto go obejrzeć, podobnie jak niełatwo przekonać konsumentów do nowej marki albo – co gorsza – do produktu niemarkowego.

Po trzecie, konsumpcja – w szczególności zaś konsumpcja dóbr kultury – stała się narzędziem budowania tożsamości. Nie konsumujemy już oddzielnie, lecz jako członkowie wielu przecinających się wspólnot. Swoimi doznaniami dzielimy się w mediach społecznościowych, pogłębiamy wrażenia śledząc fanowskie wideo na YouTubie, okazujemy swoje przywiązanie do ukochanego filmu kupując kubek na kawę w kształcie R2-D2 albo koszulkę z uśmiechniętą, zieloną podobizną Hulka. Owszem, wielkie franczyzy medialne mają też przygodnych widzów. Ale to wierni fani są dla wytwórni naprawdę dobrą inwestycją. Przyjdą na każdy kolejny film, a oprócz pieniędzy za bilety przynoszą do budżetu jeszcze krociowe zyski ze sprzedaży gadżetów. Można więc powiedzieć, że wytwórnie celowo dały się zainfekować wirusem sequelozy, by następnie zarazić nim widzów i uzależnić ich od regularnych dostaw kolejnych filmów.

Strzelba, która zabiła Czechowa

Przed początkiem XXI wieku w Hollywood obowiązywała złota zasada Czechowa: strzelba wisząca na ścianie w pierwszym akcie dramatu musiała wystrzelić w trzecim. Jasne – zdarzały się celowe zmyłki oraz słabe filmy, w których ekranową pustkę wypełniały kolejne wydarzenia i postaci bez celu snujące się po ekranie. Ale zasadniczo fabuła zmierzała w wyraźnie określonym kierunku. Łuki fabularne mogły być dłuższe lub krótsze, ale zawsze miały swój finał. Przyjemność obcowania z dziełem płynęła z obserwacji rytmu, w którym przeplatają się poprzedniki i następniki. Obojętność zmienia się w miłość, zagadka kryminalna zostaje rozwiązana, zło, które zagraża miasteczku – odegnane.

Obecnie logika najpopularniejszych produkcji Hollywood zaczyna przypominać tę znaną z telenowel, gdzie przyjemność płynie nie tyle z oczekiwania na jakieś rozwiązanie akcji, ile z samego prze-

---

↦ wpadnie na pomysł midqueli i interqueli, czyli nowych filmów, których akcja dzieje się pomiędzy starymi lub w ich trakcie. Zasada jest taka, że im bardziej rozbudowane i popularne jest uniwersum, tym gęściej upakowane wydarzenia i większa szansa na midquel, który uzupełnia luki pomiędzy odsłonami historii. Taką rolę pełni np. „Rogue One" łączący prequele i oryginalną trylogię „Gwiezdnych wojen", ale swoje midquele ma także „Jeżycjada" – popularna książkowa saga Małgorzaty Musierowicz (przepleciona z wieloma tomami „Kalamburka" czy „Feblik", którego akcja toczy się równolegle z „Wnuczką do orzechów").

FRANCZYZA MEDIALNA – całość połączonej wspólnym uniwersum produkcji kulturowej obejmującej filmy, książki, gry, komiksy, zabawki, odzież, produkty żywnościowe i w ogóle wszystko, co można oznaczyć logo „Gwiezdnych wojen", Marvela czy „Harry'ego Pottera". Świetny sposób na zarabianie pieniędzy nie tylko na biletach kinowych i płytach DVD, lecz także merchandisingu, a więc sprzedaży praw do wykorzystania wizerunków postaci i znaków towarowych w produkcji gadżetów.

SHARED UNIVERSE – łączone uniwersum to podstawa nowoczesnych franczyz medialnych. Jeden świat, w którym toczą się historie wielu różnych bohaterów. Jeszcze zanim Iron Man spotkał Thora, ich przygody rozgrywały się w tej samej przestrzeni, łączyła ich coraz gęstsza sieć odniesień i wspólnych znajomych. Czasem w postaci subtelnych nawiązań, *easter eggs* ukrytych na ekranie dla naprawdę wiernych fanów, a czasem w formie bezwstydnych zachęt, żeby widz po wyjściu z kina nie mógł się doczekać kolejnej premiery.

CROSSOVER – łączone uniwersa prowadzą krótką ścieżką ku crossoverom, czyli filmom (albo książkom, komiksom czy grom komputerowym), w których spotykają się bohaterowie z wielu różnych historii. „Najambitniejszym crossoverem w historii" – jak chwalą się twórcy – miał być film „Infinity War", w którym przecięły się ścieżki bohaterów kilkunastu wcześniejszych produkcji z uniwersum Marvela. Ciekawą odmianą crossoveru jest versus, a więc film, w którym dwaj bohaterowie (albo antybohaterowie) stają przeciw sobie. „Obcy kontra predator", „Batman v. Superman". Taki rodzaj crossoveru kusi widza odpowiedzią na pytania, które zadawał sobie pewnie każdy miłośnik superbohaterskich historii: kto jest silniejszy? kto jest najpotężniejszy? kto by wygrał?

REMAKE – kolejne podejście do opowiedzenia starej historii. Nowy reżyser, nowi aktorzy, ta sama (przynajmniej do pewnego stopnia) historia. Klasyczny chwyt Hollywood.

REBOOT – restart uniwersum, w ramach którego zaczynamy opowiadać wszystkie historie od nowa. Kilku całkiem oddzielnych cykli połączonych wewnętrzną logiką, ale nie między sobą, doczekali się np. Batman czy Spider-Man. Każda z nich zaczynała się od rebootu, czyli powiedzenia: „Wiemy, że znasz poprzednie filmy o tym bohaterze, ale wszystko, co się w nich wydarzyło, nie istnieje w tej historii. Zaczynamy od zera!".

SPIN-OFF – nowa opowieść rozwijająca wątki poboczne głównej historii. W ramach spin-offu poboczny bohater uwielbiany przez widzów może się doczekać własnej historii.

bywania w fikcyjnym świecie. W telenoweli wiele się dzieje – Mateusz stracił pamięć, Julita rozwodzi się z Wojtkiem, Kinga ma romans... Ale żaden zdemaskowany romans, żadne odzyskane wspomnienie, żadna operacja, tajemnica z przeszłości czy nawet śmierć bohatera nie będzie końcem „Klanu" ani „Mody na sukces". Telenowela nie jest podporządkowana logice fabuły, lecz logice rynku. Jej bohaterowie odejdą na wieczny odpoczynek nie wtedy, gdy uratują świat i odnajdą miłość, lecz wtedy, gdy oglądalność spadnie poniżej poziomu opłacalności. Motorem napędowym historii staje się tu rozkosz przenoszenia się do ukochanego świata codziennie o godzinie 16.15. Bycie w nim, spotykanie znanych twarzy, nienawidzenie tych, których się nienawidzi, kochanie tych, których mamy kochać, śmianie się, ilekroć do pokoju wejdzie ten śmieszny. Tej samej zasadzie podporządkowane są wielkie serie superprodukcji królujące w naszych kinach.

Pod tym względem, powiedzmy to sobie wyraźnie, nowa generacja superprodukcji – mimo nagromadzenia pościgów, romansów, strzelanin i wybuchów – naśladuje prawdziwe życie znacznie lepiej niż wysoka literatura czy „stare" hollywoodzkie filmy. Bo życie to właśnie melodia, której nie sposób zagwizdać. Film, do którego powracamy nieustannie, skazani na zagubienie w gąszczu sequeli, prequeli, remake'ów i rebootów. Godzina po godzinie, rok po roku, a może nawet pokolenie po pokoleniu. Życie nie rządzi się zasadą Czechowa. Pełne jest strzelb, które nigdy nie wystrzelą, i skrzyżowanych spojrzeń, którym nigdy nie będzie dane wykiełkować w miłość. Dlatego życie nie ma sensu w tym znaczeniu, w jakim miały go klasycznie rozumiane fabuły. Nie ma początków ani końców, nie ma punktów kulminacyjnych, po których wszystko się zmienia.

Starożytne mitologie rozumiały to doskonale. Uratowanie świata, bohaterska wyprawa ani nawet straszliwa przewina przeciw bogom nie były nigdy ostatnie i ostateczne. Nawet po końcu świata zawsze było jakieś „potem" (choćby w postaci rebootu). Być może dziś Hollywood jest więc bliżej życia i wielkich mitów niż kiedykolwiek dotychczas?

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

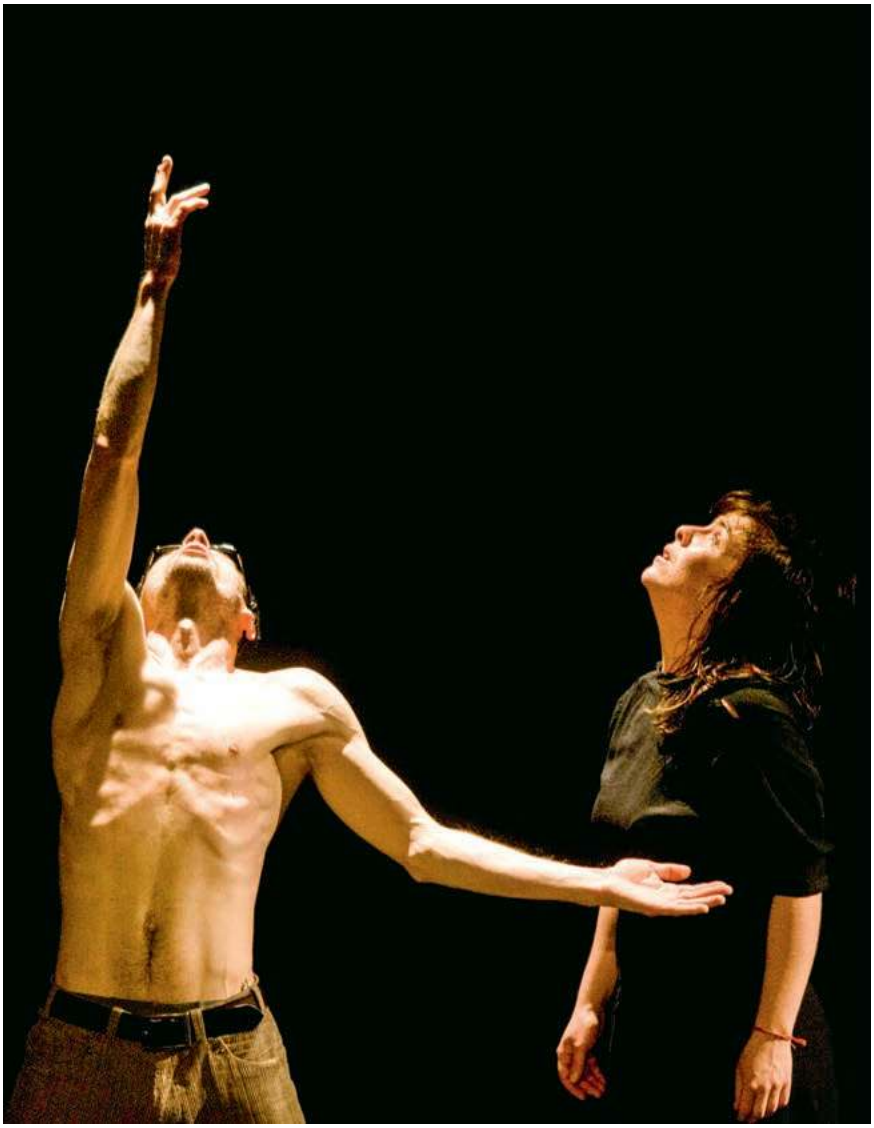

KRZYSZTOF BIELIŃSKI

Spektakl „Lacrimosa", Teatr Pieśń Kozła, 2005 r.

Wygnanie Dionizosa

DARIUSZ KOSIŃSKI

Bez postaci, bez fabuły, bez wszystkiego, co z teatrem nam się zazwyczaj kojarzy, sceniczne kompozycje Pieśni Kozła pozostają dramatyczne.

Trudno uwierzyć, że minęło już dwadzieścia kilka lat od chwili, gdy Anna Zubrzycki i Grzegorz Bral opuścili Ośrodek Praktyk Teatralnych „Gardzienice" i we wrocławskim Ośrodku Grotowskiego rozpoczęli pracę nad swoim pierwszym samodzielnym przedstawieniem. Było oparte na „Bachantkach" Eurypidesa i nazywało się „Pieśń Kozła" (1997). Tytuł dał nazwę zespołowi i tak powstał legendarny już dzisiaj Teatr Pieśń Kozła.

Był kiedyś teatr Dionizosa

W tym samym roku 1997, kiedy powstawała „Pieśń Kozła", rodziło się zjawisko, które potem nazwano „nowym polskim teatrem" (18 stycznia odbyła się legendarna premiera „Bzika tropikalnego" ↦

KRZYSZTOF BIELIŃSKI

Spektakl „Anti-gone", Teatr Pieśń Kozła, 2018 r.

↦ w reżyserii Grzegorza Jarzyny), ale nikt nie zdawał sobie sprawy, że właśnie następuje przełom. Jerzy Grotowski żył jeszcze, prowadził wykłady w Collegè de France i zaledwie rok wcześniej odwiedził Polskę. Teatr wyrastający z szeroko pojmowanej tradycji laboratoryjnej wydawał się w pełni rozkwitu. Włodzimierz Staniewski pracował w Gardzienicach nad „Metamorfozami" według Apulejusza. Za dwa lata, po ich pierwszych pokazach reżyser będzie żegnał widzów wołając „idźcie z Dionizosem!". Za dwa lata Leszek Kolankiewicz opublikuje „Dziady. Teatr święta zmarłych", w których odsłoni dionizyjskie korzenie polskiej kultury...

Tamtej „Pieśni Kozła" nie widziałem. Teatr zobaczyłem dopiero w 2002 r., gdy pokazywał stworzone rok wcześniej przedstawienie „Kroniki – obyczaj lamentacyjny". Nie zachwyciły mnie. Dopiero po jakimś czasie zobaczyłem to przedstawienie po raz kolejny i zaraz potem następny, i następny. Całkowicie mu wtedy uległem i do dziś uważam za jedno z najsilniejszych i najważniejszych doświadczeń teatralnych, jakie były mi dane. Odtąd śledzę poczynania Teatru Pieśń Kozła uważnie, brałem udział w różnych aktywnościach zespołu, a choć Anna i Grzegorz nie pracują już ze sobą, to z obojgiem zachowuję serdeczne relacje.

Teatr kapitału kulturowego

W 2005 r. Teatr Pieśń Kozła zrealizował przedstawienie „Lacrimosa" łączące „Mszę za miasto Arras" Andrzeja Szczypiorskiego i „Requiem" Mozarta z własną techniką teatru przemienianego w przedziwne choreografie. Zwolennicy teatru ubogiego mówili złośliwie, że Bral tworzy wideoklipy, a swoim scenicznym obrazom nadaje estetykę glamour. Nie bardzo rozumiałem te zarzuty, bo byliśmy już w nowym millenium, które siermiężnie ekologiczne „ubóstwa" wymieniło na „teatr bez kurzu", już raczej z popkulturowym glamourem.

Oczywiście Bral i Zubrzycki oraz zmieniający się wciąż wokół nich aktorzy szli w innym kierunku, zaś ich kolejnym przystankiem okazał się Szekspir. W 2008 r. pokazali swoją wersję „Makbeta", który był rodzajem wypadu na cudze terytorium. Choć zachowywał właściwy zespołowi sposób gry oparty na umuzycznionej cielesności i pieśni, to jednocześnie mocno obecne w nim były elementy dość tradycyjne. Historię Makbeta opowiedziano mniej więcej od początku do końca, właściwie bez żadnego etnicznego kontrapunktu, za to z odwołaniem do kultury „wysokiej" – filmów Akiry Kurosawy. Nie było to już w żadnym przypadku przedstawienie dla alternatywnych poszukiwaczy nowego naturalnego środowiska teatralnego.

To bodaj właśnie przy okazji „Makbeta" wrocławska scena zaczęła być popularna poza kręgami „offowymi". Przechodziła z pozycji outsiderskiej alternatywy w przestrzeń mainstreamu. Świadomie czy nie – zespół wypełnił lukę między zaangażowanym teatrem krytycznym, dostarczającym doświadczeń zazwyczaj dość trudnych i nieprzyjemnych, a komercyjną popeliną, która może bawi, ale nie pozwala na obrót kapitałem kulturowym. Wizyta w Teatrze Pieśń Kozła – rzecz niełatwa, bo grają rzadko i na ogół dla małej publiczności – okazywała się inwestycją bardzo opłacalną. Teatr z konieczności elitarny, operujący w rejestrach wysokich, a zarazem „chwalebnie znanych" (Szekspir!), bardzo odmienny od innych i dla wielu wciąż „eksperymentalny", pozwalał i pozwala swoim widzom poczuć się wyróżnionymi, a jednocześnie dostarcza towaru tak rzadkiego, jakim jest dziś estetyczny zachwyt.

Return to the Voice

Pozostając poza bieżącymi konfliktami politycznymi, operując na bezpiecznym poziomie wartości uniwersalnych, a zarazem wciąż ciesząc się estymą niezwykłości i artystycznej innowacji, teatr Brala zdołał zapewnić sobie względną stabilność instytucjonalną i artystyczną. Od „Pieśni Leara" (2012) zaczyna się nowy etap w pracy zespołu, który jednocześnie przeszedł poważne zmiany wewnętrzne.

Pierwszą było trzęsienie ziemi, czyli odejście Anny Zubrzycki, współzałożycielki i filaru teatru, zarazem jego najwybitniejszej aktorki. Poskutkowało swoistym wyrównaniem zespołu. Kolejne przedstawienia szekspirowskie, „Wyspa" (2016), „Hamlet – Komentarz" (2017), to spektakle wielogłosowego chóru, w którym pojedyncza postać pojawia się jako jeden z wielu motywów, bez silnego zaznaczania własnej indywidualności.

Zespół, liczący kiedyś kilka osób, z których każda miała swój własny temat i scenę, rozrósł się do osób kilkunastu, realizujących rozpisaną na głosy zbiorową partyturę. Stopniowo rezygnowano przy tym z działań fizycznych przynależących do tradycji, z jakiej Teatr Pieśń Kozła wyrastał. Zamiast ciał toczących walki z sobą i światem, na scenie ruszały się ubrane w czerń modele wykonujące ułożoną przez kogoś innego choreografię stanowiącą co najwyżej uzupełnienie do tego, co najważniejsze – dramatu głosu.

Bralowie (najbliższą współpracowniczką Grzegorza stała się jego żona – Alicja) zdecydowanie odeszli od tego, co dla teatru muzyczności wydawało się kluczowe: energii etnicznych pieśni angażujących całe ciało i ciała umuzycznionego nie dlatego, że śpiewa pieśń, ale dlatego, że jej całym sobą doświadcza.

Profesjonalni śpiewacy w kostiumach, które ich ujednolicają, a zarazem biorą ich ciała w nawias, przesuwają ciężar nowych przedstawień w stronę głosu. A teatr głosu to coś innego niż teatr muzyczności. Teatr głosu dzieje się przed uszami i w dźwiękach, w wielogłosowych przebiegach, które działają na zasadzie innej niż teatr literacki, ale też innej niż teatr fizyczny (a teatr muzyczności był teatrem bardzo fizycznym).

„Nowa" Pieśń Kozła jest już maksymalnie odfizyczniona i zdematerializowana – jakby jej celem było wejście w sferę czystych energii głosowych niezakorzenionych w żadnych ciałach.

Być może rosnący wpływ i popularność tego teatru zwiastują antycielesny zwrot? Ważniejsze jednak, że teatr głosu działa i to nie na zasadzie słuchania perfekcyjnie wykonanego koncertu, ale na zasadach czysto teatralnych. Bez postaci, bez fabuły, bez wszystkiego niemal, co z teatrem nam się zazwyczaj kojarzy, sceniczne kompozycje Pieśni Kozła pozostają dramatyczne.

Trójnia

Tak też jest z ich najnowszą „Anti-gone", pokazaną po raz pierwszy pod koniec ubiegłego roku na udostępnionej gościnnie scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu. Już samo miejsce, pudełkowa scena i estrada budujące dystans między widownią i aktorami, mikrofony i mikroporty niepotrzebne chyba tym śpiewakom o silnych głosach, fatalnie zmieniające barwę dźwięku – wszystko to wydawało mi się z zupełnie innej planety niż teatr, dla którego tu przyjechałem. Gdy zaś podniosła się żelazna kurtyna i ukazał się boks zamknięty metalową siatką z kolczastym drutem wypełniony muskularnymi mężczyznami w czarnych, skórzanych wdziankach, pomyślałem, że pomyliłem salę i trafiłem na zawody MMA.

Udawany „czad", walenie w bębny i mówiony w różnych językach tekst „Antygony" Sofoklesa, wygłaszany na zasadzie – mam mówić, to podchodzę do mikrofonu, dostaję jaskrawe światło z góry, staję w „męskim", agresywnym rozkroku i ryczę na zaciśniętym gardle – wszystko wydaje się tu do bólu stereotypowe i w bardzo złym guście. Ale jednocześnie zaskakująco działa! Jest wizualnie okropnie, muzycznie mało subtelnie, ale gdy się po godzinie kończy, czujemy nagle, że ta kompozycja udawanego hałasu wprowadziła mnie w stan dość niezwykły.

Wychodząc z tym zdziwieniem na przerwę, wyjaśniam sobie, że to wszystko może dlatego, że według programu ta pierwsza część ma być przedstawieniem świata Kreona – świata brutalnej siły i woli władzy, co oznacza, że nie bardzo może i nie miała być utrzymana w estetyce, której się spodziewałem.

Część druga ma być kobieca i osnuta wokół Antygony. I rzeczywiście jest: zamiast elektrycznej gitary – wiolonczela, zamiast chóru walącego w bębny i ryczących mężczyzn – wielogłosowy chór znany z poprzednich przedstawień, śpiewający kompozycję stałego współpracownika Teatru – Macieja Rychłego. Elementem nowym są tancerze – kilkunastu młodych ludzi wykonujących z wielkim zaangażowaniem i świeżością (wyrażającą się też w pomyłkach) nowoczesną choreografię Mélanie Lomoff. Ten taniec nie ilustruje w żaden sposób muzyki, ale stanowi jeszcze jeden element całościowej kompozycji. Przywraca teatrowi głos ciała, tyle że są to ciała pozbawione głosu, od głosu oddzielone. W „Anti-gone" to, co w „gęstym" teatrze muzyczności tworzyło tkaninę przedstawienia, zostaje jeszcze dokładniej rozplecione. Dramaturgia „tryptyku" opiera się na dystansowaniu, rozdzielaniu i tworzeniu klarownych linii. Zamiast jedności – mnogość. Zamiast chorei widzianej jako połączenie ciała, głosu i postaci – kompozycja z wyodrębnionych partytur fizycznych i wokalnych, w której postaci nie istnieją inaczej jak znaki słowne i opiewane. Teatr stworzony na przekór temu, co dawnej kontrkulturowej alternatywie wydawało się istotą. Teatr bez aktora.

Ulegając „Anti-gone" jako dramatowi głosu, zdałem sobie w pewnym momencie sprawę, że na scenie są śpiewacy, tancerze i muzycy. Może są też i performerzy. Ale aktorów – ludzi mierzących się z cudzymi sposobami istnienia i ich konsekwencjami – nie ma. I to nie jest zarzut. Raczej rozpoznanie, że w tej dramaturgii coraz bardziej obiektywizującego rozdzielenia nie ma dla nich miejsca. Odkrycie to wydaje mi się frapujące i być może otwiera drogę do rzeczywiście innowacyjnych rozwiązań teatralnych.

Najbardziej oczekiwałem na część trzecią, noszącą tytuł „Ekstaza". Niestety, ostatnie ogniwo wydało mi się najbardziej rozczarowujące: ani muzycznie, ani dramaturgicznie, ani tekstowo, ani tanecznie nie wyszliśmy poza krąg zarysowany w części drugiej. Śpiewacy nadal perfekcyjni, tancerze przejęci, wiolonczela łka, a Kreon i Antygona mówią do mikrofonu napisane po angielsku przez Alicję Bral słowa tak pełne ważkich znaczeń, że aż biedne zostają zgniecione ich ciężarem. I nic się nie zmienia, nic niczego nie przekracza i poza siebie nie wychodzi. Podejrzewam, że już nawet nie zostanie zrobiony krok w stronę, która dwadzieścia lat temu wydawała się oczywista – w stronę kozła. Z tym kłopotliwym zwierzęciem Grzegorz Bral najwyraźniej się pożegnał. W jego ostatnich przedstawieniach jest teatr i jest pieśń, ale nie wydaje się, by miały coś wspólnego z Dionizosem.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Nie porzucajcie dzieci

SERHIJ ŻADAN, PISARZ:

Podział na „swoich-cudzych", na „my-wy" bywa bardzo skuteczny i użyteczny, ale też skrajnie upraszczający i niekonstruktywny. Dlatego tak chętnie wykorzystują go populiści.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Wieść niesie, że napisał Pan poruszającą i straszną powieść. Czy w Donbasie nastała już postapokalipsa?

SERHIJ ŻADAN: Bezdyskusyjnie wojna to strefa życia po życiu. Dla mnie ta książka jest nie tyle próbą stworzenia materiału literackiego na kanwie wojny, co samą możliwością jej przedstawienia. Wydaje mi się, że jeszcze parę lat temu mało kto w Ukrainie był w stanie wyobrazić sobie bombardowania miast czy tysiące uchodźców.

Najstraszniejsze w tym wszystkim jest to, że wojna w okamgnieniu zohydza rzeczywistość, przełamuje przyjęte mechanizmy komunikacji, wygania cię z twojego wygodnego, dobrze znanego świata. I nigdy nie jesteś w stanie przewidzieć, w jaki sposób się zachowasz – do czego jesteś zdolny albo na ile jesteś wierny swoim przekonaniom. To ogromna próba, z której nie każdy z nas jest w stanie wyjść z czystym sumieniem i podniesioną głową. I jeszcze jedna rzecz – zależało mi na tym, żeby pokazać niezwykły charakter wojny ukraińsko-rosyjskiej. Ona płynnie przenika się z normalnym życiem. Czasem naprawdę wystarczy przejść kilkanaście metrów, żeby z codzienności przenieść się do sytuacji granicznej, gdzie wszystko zostaje postawione na głowie. Jeśli masz wystarczająco dużo szczęścia, możesz się cofnąć, wrócić do normalnego życia.

W „Internacie" opisuje Pan rzeczywistość, która została niemalże wykasowana, starta z powierzchni ziemi. Dosłownie i w przenośni zostało tylko błoto i ruiny – i nie chodzi wyłącznie o infrastrukturę. Taki jest kres nadziei?

Nadzieja naprawdę może wypływać z wielu rzeczy. Na przykład z twojego zakorzenienia w miejscu, w którym się urodziłeś i wychowałeś. Wielokrotnie widziałem to na własne oczy: gdy zaczęły się pierwsze działania wojenne i pierwsze strzały, w momencie wkroczenia Rosjan do Ługańska i na Donieczczyznę, bardzo dużo miejscowych stąd uciekało – niektórzy do miast ukraińskich, inni do rosyjskich. Ale gdy tylko sytuacja trochę się ustabilizowała, wiele osób wróciło. Dlaczego? Bo byli przywiązani do swojego domu, miejsca urodzenia, do ludzi, wśród których żyli.

A polityka?

Zazwyczaj działo się to poza polityką. Dużo silniejsze okazywało się poczucie przynależności do konkretnego miejsca, posiadanie własnego domu – z tego właśnie brała się nadzieja i siła. Choć równie ważne mogą być twoje przekonania. Znam wielu nauczycieli, bibliotekarzy czy po prostu zwyczajnych mieszkańców, którzy uparcie żyją w strefie przyfrontowej już piąty rok i starają się robić coś dla swoich wsi i miasteczek: wychowują dzieci, realizują najróżniejsze projekty, biorą czynny udział w życiu społecznym. Nic z tego nie byłoby możliwe, gdyby nie miało się nadziei.

Wojna trwa już od lat, czemu towarzyszy powszechne wzmożenie polityczne, narodowe i patriotyczne. Jak długo da się żyć w takim napięciu? Nie boi się Pan, że w pewnym momencie coś pęknie?

W obecnej sytuacji Ukraina nie ma zbyt wiele możliwości: albo dalej odpierać ataki agresora i wierzyć w zwycięstwo – czyli w przywrócenie okupowanego terytorium i powrót do prawnie ustalonych granic – albo skapitulować. A więc pęknięcie, o którym pan mówi, oznaczałoby właśnie poddanie się. Jeśli mam być szczery, nie wydaje mi się, żeby ukraińskie społeczeństwo było w stanie się na to zgodzić. Znajdujemy się w trudnej sytuacji – tych siedem lat było oczywiście wyczerpujące, ale jednocześnie zahartowało nas. Ukraina się zmienia, dojrzewa, tak mi się wydaje. Choć za to dojrzewanie płacimy krwawą cenę. I właśnie z tego powodu nikomu nie przychodzi do głowy mówić o kapitulacji.

Dwa lata temu twierdził Pan, że Ukraina znajduje się w kluczowym momencie swojej historii. Czy ta chwila bezpowrotnie minęła?

No cóż, historia zatacza koło. Nie tylko ukraińska, rzecz jasna. Od czasu do czasu mamy poczucie, że oto nadszedł rozstrzygający moment dla naszych dziejów. Choć czasami można mieć wręcz wrażenie, że ukraińska historia składa się wyłącznie z takich punktów zwrotnych. A to przecież nic dobrego – lepiej by było, gdyby składała się z okresów politycznej stabilności i ekonomicznego wzrostu. Z drugiej strony, myślę, że my, Ukraińcy, mamy skłonność do dramatyzowania. Sytuacja, w której się znajdujemy, oczywiście nie jest łatwa, ale też nikomu niespieszno do poddania się.

Gdy wojna w Ukrainie się zaczynała, świat był politycznie w zupełnie innym miejscu. Od tego czasu realia zmieniły się radykalnie – chyba, niestety, na niekorzyść Ukrainy.

Nie, nie wydaje mi się, żeby tak było. Myślę, że sytuacja na świecie nie ma aż tak wielkiego wpływu na los Ukrainy. Bo tutaj nie chodzi tak bardzo o rzeczy światowe, tylko o nas samych – o to, czego my chcemy, w którym kierunku zmierzamy, co się nam nie podoba. Świat nie ma obowiązku uczyć nas, jak bronić niepodległości własnego kraju. Świat ma wystarczająco dużo swoich problemów.

Jednak „Internat" jawi się jako wyrzut sumienia – dla Polski, Unii Europejskiej i całego świata. Nie jest Pan rozczarowany albo zawiedziony? Często mówi się o zmęczeniu wojną, co w przypadku ludzi żyjących poza sferą konfliktu oznacza raczej znudzenie.

W Ukrainie też pojawia się coraz więcej obywateli, którzy mówią o zmęczeniu wojną, chociaż wojnę widzieli wyłącznie w telewizji. Oczywiście w tym przypadku chodzi raczej o emocjonalne zmęczenie i wypalenie. Ale to nie brzmi dobrze: zmęczenie uchodźcami z Syrii, zmęczenie przesiedleńcami z Donbasu, zmęcze-

GRAŻYNA MAKARA

Serhij Żadan na Festiwalu Conrada, Kraków, 2010 r.

SERHIJ ŻADAN (ur. 1974) jest ukraińskim pisarzem, poetą, tłumaczem z języka niemieckiego. Po polsku opublikowano tom jego wierszy „Historia kultury początku stulecia" oraz wiele powieści, m.in.: „Big Mac" (2005) czy „Anarchy in the UKR" (2007). W 2014 r. ukazała się „Mezopotamia" – powieść, która znalazła się w finale Nagrody Angelus, a w tym roku „Internat". Mieszka w Charkowie.

nie Tatarami krymskimi, na których naciska Rosja, zmęczenie ukraińskimi więźniami politycznymi, którzy siedzą w rosyjskich więzieniach – za tym wszystkim bardzo często idzie obojętność i nieodpowiedzialne zachowania całego świata. Choć z drugiej strony świat zawsze tak wyglądał, tu nie mam żadnych złudzeń. Trzeba po prostu robić swoje i bronić własnej prawdy. Świat szanuje tych, którzy są wytrwali.

A złość – nie czuje jej Pan?

Czuję potrzebę namacalnego współodczuwania tego, czym żyją moi współobywatele. Potrzebę niesienia pomocy i dawania świadectwa.

W „Internacie" nie pada jednak żadna nazwa geograficzna.

Nie miałem ochoty pisać dokumentu o kotle debalcewskim. Wolałem, żeby czytelnik skoncentrował się na samej historii, a nie na geograficznych albo faktograficznych szczegółach. Prawdę powiedziawszy, wtedy gdy dzieje się powieść, czyli w zimie 2014-15, podobne rzeczy mogły przydarzyć się w wielu miejscach. Nie miałem ochoty sprowadzać wszystkiego do kronikarstwa.

Główny bohater powieści, Pasza, przedstawia się zawsze jako „nauczyciel języka", nie doprecyzowując nigdy, o jaki język chodzi. W ogóle rozpaczliwie wzbrania się przed opowiedzeniem się po jednej ze stron konfliktu. Można jeszcze tak?

Można, naprawdę można. Do dzisiaj wiele osób broni tej postawy. Na ile jest ona uzasadniona, na ile zapewnia bezpieczeństwo – to osobna kwestia. Moim zdaniem taka demonstrowana na pokaz „apolityczność" w warunkach wojennych jest w zasadzie konkretną postawą polityczną. Tylko nikt tego tak nie nazywa.

W swoich wcześniejszych powieściach bronił Pan prawa do apolityczności, do autonomii i niezaangażowania. Coś zostało jeszcze z tego punkowego ducha?

Od zimy 2013 r. wszyscy żyjemy w zupełnie innych warunkach i w zupełnie innym kraju. Wiele rzeczy, które w tym poprzednim życiu wydawały się ważne, wręcz fundamentalne, dzisiaj nie mają żadnego znaczenia. Kiedy patrzysz na młodych chłopaków, którzy miesiącami siedzą w okopach, mówienie na serio o czymś takim jak „punkowy duch" brzmi w moim odczuciu nieco cynicznie. Dla dziesiątek tysięcy ludzi zmieniło się wszystko, również ich system wartości i sposób postrzegania świata. W tej sytuacji udawanie, że nic się nie zmieniło, jest nieuczciwe.

W „Internacie" szczególną uwagę zwraca prosta, zdawałoby się, opozycja „my-oni". Udało się Panu jednak rozciągnąć ją do granic możliwości, stworzyć z niej trójwymiarowy, pełen tożsamościowych i językowych pułapek labirynt. Jak Pan sam się w nim odnajduje?

W ostatnim czasie to jeden z najboleśniejszych tematów dla nas wszystkich – szukanie tożsamości, jej zmiana, ciągłe wsłuchiwanie się we własne odczucia, analizowanie ich. Z tego wszystkiego wypływa wiele tematów pochodnych – kwestia języka, kultury, Kościoła, historii. To są rzeczy, które z pewnością z czasem zmieniają społeczeństwo. Ale w tym tempie to bardzo bolesne: nazywanie rzeczy po imieniu, mówienie o własnych traumach, wypełnianie białych plam przeszłości, patrzenie z odwagą w przyszłość. I ten podział na „swoich-cudzych", na „my-wy" bywa bardzo skuteczny i użyteczny, ale też skrajnie upraszczający i niekonstruktywny. Dlatego tak chętnie wykorzystują go wszelkiego rodzaju szarlatani i populiści.

Powieść zaczyna się i kończy od sceny przed telewizorem, który „płonie ↦

↦ **niczym wieczny ogień". Pasza w ogóle nie ogląda telewizji, za to jego ojciec ogląda ją cały czas.**

Człowiek telewizyjny – to oczywiście metafora, ale bardzo realna i typologiczna.

Czasami nam, ludziom internetu, wydaje się, że telewizja należy do przeszłości, że przestała odgrywać jakąkolwiek rolę. Tymczasem telewizja wciąż jest potężnym znakiem czasów i niezwykle silnym kanałem informacyjnym. Przynajmniej w Ukrainie tak to wygląda. Ale w zasadzie ludzie internetu nie różnią się aż tak bardzo, jeśli chodzi o pewną bezradność i zdolność stawiania czoła manipulacjom. Nie bez powodu Rosjanie nazwali tę wojnę hybrydową – wojna informacyjna jest jej częścią składową i ma taką samą siłę niszczenia jak ta tradycyjna.

Aby dotrzeć do siostrzeńca, Pasza wielokrotnie naraża swoje życie, przedzierając się przez chaotyczną, biegnącą w poprzek miasta linię frontu. Czy w postapokalipsie można jeszcze wychowywać dzieci?

Myślę, że tak. Co więcej, obowiązek wychowania dzieci to jedyne, co nie pozostawia żadnych moralnych wątpliwości. Teraz bardzo dużo rozmawiamy z nauczycielami, wychowawcami, pedagogami i widzimy, że dzisiejsze dzieci różnią się od nas, ale ta zmiana jest zmianą na lepsze.

Chłopiec z powieści jest metaforą?

Oczywiście, że jest metaforą! Metaforą tego wszystkiego, co może nastać i co może zrodzić się z dobra. Dzisiaj najważniejsze jest, żeby nie zostawiać tych dzieci samopas, nie porzucać ich.

A humor i ironia – znaki rozpoznawcze Pana wcześniejszej prozy – są jeszcze możliwe?

Nie potrafię śmiać się z rzeczy, które odbywają się w strefie tak bliskiej śmierci. Z drugiej strony jednak sztuczny patos i tragizm też są niedorzeczne. Humor i ironia czekają na swój czas.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Z ukraińskiego przełożyła WERONIKA GOGOLA

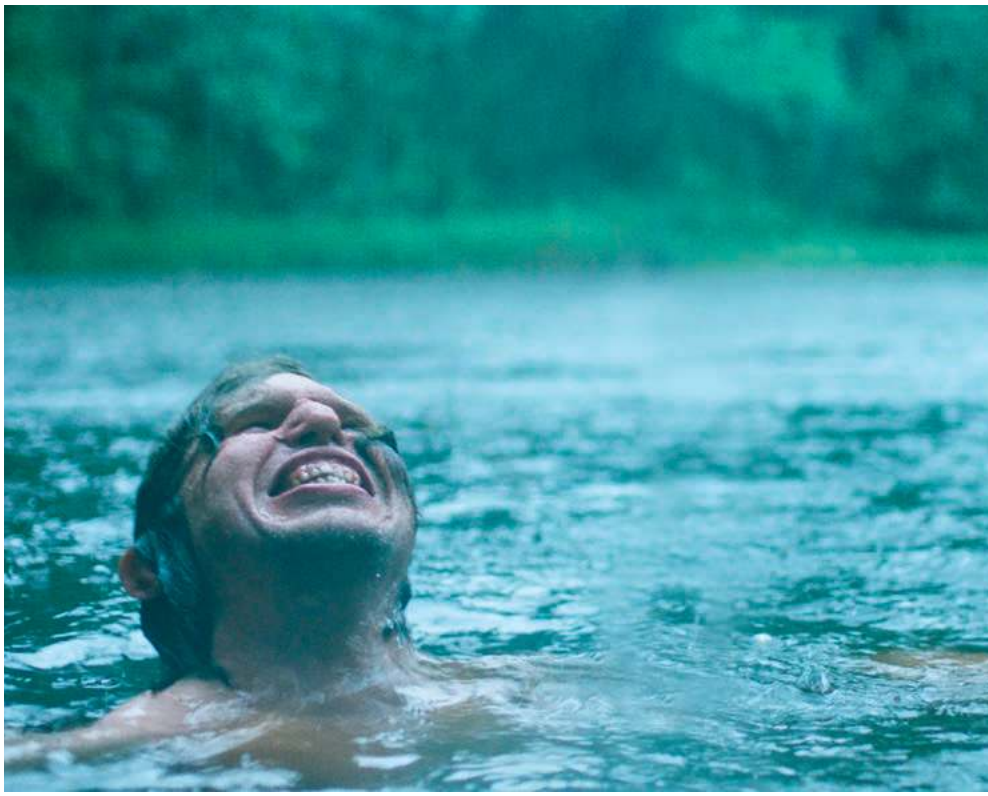

Bajka o niewyględnych

ANITA PIOTROWSKA

Ali Abbasi w swoim debiucie testuje granice tego, co ładne i brzydkie, normalne i dziwaczne, znajome i obce. A przy okazji przemyca poruszający dramat o ludzkiej/nieludzkiej samotności.

Co sprawia, że czyjaś fizjonomia staje się dla nas szczególnie odpychająca? Biolodzy ewolucyjni szukaliby odpowiedzi w uniwersalnych, a kulturoznawcy w lokalnych wzorach atrakcyjności seksualnej. Okryci rasistowską niesławą zwolennicy metody antropometrycznej pospieszyliby ze stosownymi narzędziami pomiarowymi. Na niektórych plakatach do filmu „Granica" celowo nie eksponuje się zbytnio twarzy głównej bohaterki – jakby dystrybutorzy obawiali się, że może ona zniechęcić potencjalnych widzów. Ale nie o urodzie lub jej braku jest to film. Urodzony w Teheranie szwedzki reżyser Ali Abbasi (rocznik 1981) w swoim debiucie testuje granice tego, co ładne i brzydkie, normalne i dziwaczne, znajome i obce. Robi to także na gruncie samego kina, tworząc niesamowitą hybrydę gatunku *fantasy*, kryminału i horroru „cielesnego". A przy okazji przemyca poruszający dramat o ludzkiej/nieludzkiej samotności.

Grająca Tinę aktorka Eva Melander została ucharakteryzowana tak zmyślnie (stąd też rzadka w europejskim kinie nominacja do Oscara w tej kategorii), że musi budzić strach i odrazę na równi z perwersyjnym zaciekawieniem. Pracująca na promie celniczka bardziej przypomina Tolkienowskiego orka niż przedstawicielkę *homo sapiens*. To pierwszy z testów, jaki musimy przejść w tym filmie. Jeżeli zdamy go po-

AURORA FILMS

Kadr z filmu „Granica”

myślnie, czytaj: jeśli choć trochę polubimy brzydką Tinę, każdy kolejny, coraz wyższy próg tolerancji estetycznej również będzie możliwy do pokonania.

U Abbasiego to, co zrazu groźne i obce, pochodzi z porządku natury. A natura, jak wiadomo, zawsze bierze odwet za poczynione jej ongiś krzywdy. Tina mieszka więc w samym sercu lasu, ma tajemne połączenie z dzikimi zwierzętami (w przeciwieństwie do tresowanych psów jej partnera) i posiada nadzwyczajny węch, którym wyczuwa ludzkie emocje. Podczas kontroli celnej ta nadludzka umiejętność okazuje się szczególnie przydatna. W ten sposób pewnego dnia bohaterka wykrywa, a właściwie wywęsza, szytą grubymi nićmi aferę pedofilską. Bo świat przedstawiony w „Granicy” jest brzydką, spłowiałą odbitką katalogu Ikei. Irańczyk patrzy na Szwecję jak na świetnie zorganizowany system, w którym ostro piętnuje się jedne patologie, ale za to ukrywa inne. Który toleruje odmienność, lecz jednocześnie wyznacza jej osobne miejsce. Mimo to Tina, choć świadoma swojej inności, w tym także seksualnej, chciałaby wtopić się w dominujący model „bycia człowiekiem”. Aż do momentu, kiedy spotyka na swej drodze Vorego (w tej roli fiński aktor Eero Milonoff), posiadacza tej samej chromosomalnej skazy.

Ponura bajka o mutantach, przyciągających pioruny i jedzących larwy, zapuszcza się w najbardziej omszałe i oślizgłe rejony naszej wyobraźni. Zamieszkują je nie tylko trollowate stwory rodem ze skandynawskich mitologii, ale i całkiem realni szwedzcy „higieniści”, eksperymentujący z eugeniką w imię doskonalenia rasy. Abbasi epatuje tym, co „niewyględne” i nienormatywne, żeby zakwestionować powszechne kategorie obrzydliwości. Niby dlaczego jedzenie robaków miałoby być bardziej odrażające niż np. jedzenie świniny? Kulturowe normy z pewnością porządkują świat, choć potrafią krzywdzić tych wszystkich, którzy do tych norm z różnych powodów nie przystają.

Warto zaznaczyć, że reżyser wcale nie wymachuje płomiennym manifestem tolerancji czy politycznej poprawności. „Obcy” w jego filmie mogą być zarówno po jasnej, jak i po ciemnej stronie mocy. Epitet „ludzkie” też nie funkcjonuje tu na prawach komplementu, albowiem ludzie zdolni są robić innym ludziom rzeczy potworne – a co dopiero tym, którym owego miana arbitralnie odmówili. Największy dyskomfort, jaki Abbasi powoduje w swoim widzu, nie wynika jednak wyłącznie z dosłowności w pokazywaniu cielesnych wynaturzeń. Kto przeżył filmy Davida Cronenberga, nie powinien być specjalnie zszokowany. Podobnie jak jego fiński kolega Aki Kaurismäki, autor „Granicy” przybiera ton nader powściągliwy, który przy wspomnianej już wybuchowej mieszance gatunkowej daje efekt intrygujący, a chwilami dezorientujący i zabawny. Dlatego banalne pytania – dlaczego boimy się inności?, dlaczego wobec „swoich” węch na zło tak łatwo nas zawodzi? – nabierają w filmie Abbasiego niewymuszonej wagi.

Pozostaje jeszcze jedna kwestia: czy możliwa jest empatia wobec „kogoś całkiem przeinnego”? Na to ostatnie pytanie mieszkający w Danii irański Szwed odpowiada jak najbardziej twierdząco. I nie pierwszy to przypadek, kiedy kino potrafi oswajać to, co wedle obowiązujących norm brzydkie i dziwaczne. Tyle że Abbasi woli konfrontować nas z tym na surowo, bez makijażu i zmiękczających filtrów. ©

GRANICA *(Gräns) – reż. Ali Abbasi. Prod. Szwecja/Dania 2018. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 22 lutego.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [23 II – 1 III]

1. Wirtualna Republika Ludowa

Dokumentalny, reż. Hao Wu, Chiny 2018, Canal+ Discovery, 24 II, 21.30, 25 II, 9.15, 27 II, 0.10

Oglądanie streamingów stało się ulubioną rozrywką setek milionów Chińczyków. Nic więc dziwnego, że najpopularniejsze gwiazdy internetowych występów na żywo zarabiają na tym krocie. Dokument śledzi trójkę młodych ludzi, którzy na różne sposoby chcieliby zaistnieć w wirtualnym świecie. Rządzi się on jednak brutalnymi regułami gry.

2. Dogman

Dramat, reż. Matteo Garrone, Francja/ /Włochy 2018, vod.pl

W jednym z najważniejszych filmów minionego roku twórca „Gomorry” raz jeszcze opowiada o bezradności wobec zła. A jednocześnie tę przypowieść o nieudacznym psim fryzjerze przerysowuje do granic realizmu i wystawia na próbę nasze współczucie. W roli tytułowej nagrodzony Złotą Palmą naturszczyk Marcello Fonte.

3. Pamiętniki z Oslo

Dokumentalny, reż. Mor Loushy, Daniel Sivan, Kanada/ /Izrael 2018, HBO GO

Jak wyglądały tajne spotkania izraelsko-palestyńskie zainicjowane w styczniu 1992 r.? Trwały 1100 dni i zakończyły się porozumieniem między premierem Icchakiem Rabinem a Jaserem Arafatem. Na podstawie niepublikowanych wspomnień uczestników negocjacji film przywołuje atmosferę wydarzenia, które miało przynieść historyczny kompromis na Bliskim Wschodzie.

4. Nić widmo

Dramat, reż. Paul Thomas Anderson, USA/Wielka Brytania 2017, nc+ GO

W przypadku tego filmu kunszt reżysera można porównać z umiejętnościami głównego bohatera – genialnego krawca haute couture (ostatnia rola Daniela Day-Lewisa). Przed nami pikantnie przyprawiona i Freudem podlana uczta dla zmysłów, a zarazem dowcipny dyskurs na temat odwiecznej wojny płci.

JAN

Klata:
Aplikowanie arcyżałoby

W przypływie postnarciarskiej aktywności prezydent Duda szczodrze zaordynował Polakom dwa dni narodowej żałoby po naturalnej śmierci wybitnego prawnika, jednej z wybitnych postaci antykomunistycznej opozycji. Ostatnio głowa państwa ogłasza żałobne decyzje co miesiąc, więc zapewne wie, co robi, niemożliwe, żeby w swej kompulsywnej częstotliwości najwyższy urząd RP kierował się doraźnym impulsem bądź też zgoła niczym się nie kierował. Prawo nie normuje detalicznie, co z tą żałobą, wszystko zależy od widzimisię Andrzeja Dudy, który w trzy miesiące w pojedynkę już niemal dorównał wszystkim głowom państwa II Rzeczypospolitej (cztery żałoby narodowe na całe dwudziestolecie), i ewidentnie idzie na rekord. Minimum wysiłku, a jak efektownie przechodzi się do historii... przy tym nie trzeba się nikomu narażać, a narażać się obecna głowa państwa bardzo, ale to bardzo nie lubi.

Flagi więc do połowy marszu, weekend w *castrum doloris*, wydarzenia kulturalne poodwoływane, wieją, wieją chorągwie i zawiewają na siebie. Zarówno ludzie teatru, jak i widzowie mają czas dla rodziny, ewentualnie mogą pójść do kina na pogodne hollywoodzkie podśmiechujki – bo tego się nie odwołuje, odwołuje się „Oresteję" i „Dziady". Paranoja? Owszem, ale tak stanowi prawo, a co jak co, ale prawo prezydent Duda zna dobrze, wręcz na wylot i od podszewki, więc prawo stosuje, i to z lubością. Obecny najwyższy organ państwa chce przejść do historii Polski jako najlepszy żałobnik *ever*, być może z czasem powalczy również na długość jednorazowej żałoby, wydaje się, że rekord siedmiu dni po śmierci Piłsudskiego jest zagrożony.

Aplikowanie żałoby mogłoby się stać naszą państwową specjalizacją, przecież w wysoce konkurencyjnym świecie istotne jest, aby znaleźć innowacyjną niszę. Z (chwilowego) braku rodzimych powodów żałoby moglibyśmy je importować, sumiennie otaczając naszą narodową żałobnością, której mamy w sobie nader dużo, od morza do morza. W przenikliwej powieści Wita Szostaka „Dumanowski" tytułowy bohater – przyszły prezydent – nosi się z genialnym zamiarem uczynienia z Krakowa funeralnej stolicy Europy, za wzór biorąc sobie... kretowisko. Czyżby Andrzej Duda przeczytał ową arcykrakowsko-arcypolską książkę? Czy też raczej to po prostu *genius loci* miasta w niecce u stóp Nowej Huty? Coś wisi w powietrzu, stoimy na progu ważnych wydarzeń, otwiera się przed nami okienko możliwości – a właściwie ono nie otwiera się samo, otwiera je przed nami arcyżałobnik Duda. ©

Lektor:
Damian kłamca

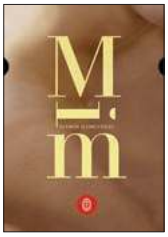

▪ *Szymon Słomczyński,* **MIM**
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019, ss. 422

Mam wrażenie, że przeczytałem więcej niż jedną powieść: współczesną „Spowiedź dziecięcia wieku" i thriller rodzinny, a do tego jeszcze szkic do panoramy czasu narastającej wojny polsko-polskiej. Dziecię, które się spowiada – Damian Olśniewski, rocznik 1987 – to buntownik, ale nieco osobliwy, jego bunt wyraża się bowiem przez zaniechanie i emocjonalne wycofanie. Wychowany w krakowskiej rodzinie od pokoleń inteligencko-profesorskiej (nieżyjący już ojciec był filozofem i działaczem opozycji lat 80.), rezygnuje ze studiów i ku przerażeniu matki nie wykazuje ambicji, by dalej się rozwijać. Mieszkanie odziedziczył po babce, utrzymuje się z portalu randkowego, ale praca w firmie też go nudzi, za to nawiązuje romans z żoną szefa (i przyjaciela). Prócz kobiet lubi samochody i szybką jazdę.
A rodzina, ta krakowska (ojca) i szczecińska (matki)? Poznajemy ją w obszernej sekwencji wstępnej, na pogrzebie wujenki. Tam też, na szczecińskim cmentarzu, dokona się finał powieści, on jednak należy do wspomnianego thrillera, którego szczegółów nie zdradzę, podobnie jak nie wyjaśnię, czym jest MIM – sami sobie sprawdźcie.
W galerii krewnych i powinowatych, żywych i umarłych, obok naukowców mamy wuja mechanika samochodowego, i drugiego wuja – dziennikarza i gwiazdę telewizji. Damianowi najbliższy wydaje się ów mechanik, do krakowskiej inteligencji uważającej się za elitę, nieumiejącej się jednak odnaleźć w nowym świecie, ma spory dystans. Nie opowiada się też po żadnej ze stron coraz ostrzejszego sporu politycznego, dzielącego także jego bliskich. W powieści nie pada zresztą nazwa żadnej partii, choć tło nie pozostawia wątpliwości, a najbardziej dramatyczne wydarzenie w życiu bohatera, niespodziewana śmierć dziewczyny, w której podkochiwał się od czasów licealnych, zbiega się w czasie z katastrofą prezydenckiego samolotu.
Mamy więc powieść współczesną aż nadto wielowątkową, sprawnie, choć czasem zbyt rozlewnie opowiedzianą przez narratora, który sam siebie nazywa „notorycznym kłamcą, egocentrykiem, manipulatorem i draniem". Niekiedy ta perspektywa się zmienia, dopuszczeni też zostajemy do rodzinnej korespondencji.
„MIM" to prozatorski debiut autora trzech tomów poetyckich: „Nadjeżdża" (2013), „Dwupłat" (2015), „Latakia" (2016); o drugim z nich tu pisałem. Czekam na następną książkę Szymona Słomczyńskiego, który jest o rok młodszy od bohatera swojej powieści. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Jak nie zbudowałem imperium

Piętnaście. Tyle stopni jest rano w mojej kuchni. Zalewa ją szarość w odcieniu wilgotnym – nie znam się za bardzo na holistycznych doświadczeniach zmysłowych, ale wiem na pewno, że bywa w polskiej zimie taka szarość, która od pierwszego spojrzenia za okno zabija resztki ciepła wyniesionego spod kołdry. W takich razach śniadanie nabiera iście egzystencjalnej powagi. Jest jak wyzwanie rzucone w twarz wewnętrznemu pesymiście. Trzeba prawdziwego ogniska: czegoś, co by buzowało w żołądku co najmniej do popołudnia. Jest na to jeden sposób: *English breakfast.*

Pamiętaj, synu, dzięki temu Brytyjczycy zbudowali imperium, powtarzał mi ojciec w dzieciństwie, kładąc każdego ranka na talerz jajka z bekonem. No cóż, wątpię, czy poskutkowało w moim przypadku – władzy nad światem mam tyle, ile ukręcę trzepaczką w misce, a jedyne ślady podbojów to niekiedy wdzięczne spojrzenie niewieścich oczu znad talerza, gdy uda się kolacja. Ale i sami Brytyjczycy zachowują się, jakby im kto odessał cały tłuszcz z bekonu. „W piekle jest specjalne miejsce dla tych, którzy domagali się brexitu, ale nie mieli nawet w zarysie planu, jak go przeprowadzić" – mówił niedawno Donald Tusk, budząc obłudne oburzenie na Wyspach. Tymczasem to słuszne: są takie sytuacje, gdy wiara w jakąś sprawiedliwość za grobem pozwala skompensować bezradność, że ktoś bez sensu popsuł coś, co działało. Mam analogiczne myśli, np. ilekroć w kawiarni dają mi kwaskową lub kwiatową „kompozycję" bez żadnego kopa i jeszcze się tym chwalą, że to czysta arabika z takiego zakątka Etiopii, gdzie jeszcze nie doszła wieść o detronizacji Hajle Selasjego. W piekle jest specjalne miejsce dla tych, którzy głoszą, że robusta ze swoją tępą, smolistą siłą to jakiś gorszy, wstydliwy rodzaj kawy. I nic wam nie pomoże, że dodajecie *gratis* kranówkę. Kotem nie jestem, żeby mi stawiać miskę z wodą, choć w sumie to racja: woda jest cieczą bezpieczniejszą od tego, co z takim namaszczeniem masakrujecie w ekspresie. Tuż obok stanie, mam nadzieję, kocioł wypełniony po brzegi śmietaną dla oszustów, którzy dodają jej do carbonary, następnie w jeszcze ciemniejszym kącie utopimy... stop, przecież nie chcecie wiedzieć, jaki jestem mściwy. W każdym razie brexitowcy zesłani przez Tuska mogliby za karę czytać w kółko na głos traktacik George'a Orwella na cześć angielskiego śniadania i kuchni, który odkryto i ogłoszono po 70 latach.

W 1946 r. British Council zamówiła esej prezentujący istotę wyspiarskiego gotowania oraz garść „sztandarowych" przepisów. Po czym, jak głosi uprzejmy list do Orwella, zaszła „głupia sytuacja": urzędnicy pomiarkowali się poniewczasie, że byłoby „niemądre" podsuwać sponiewieranym wojną czytelnikom na kontynencie tekst na „bolesny temat jedzenia". I dopiero kilka dni temu British Council ogłosiła go na swoich stronach. Czytajcie go w całości, jest krótki i spisany prostą angielszczyzną. Kiedy za dwa lata wygasną prawa autorskie do spuścizny Orwella, obiecuję go przełożyć, gdyż szkoda go streszczać.

„Brytyjska dieta jest prosta, raczej ciężka, być może nawet z lekka barbarzyńska (...) kładzie nacisk na cukier i tłuszcze zwierzęce. To dieta mokrego, północnego kraju, gdzie masła jest w bród, za to mało tłuszczy roślinnych, gdzie gorące napoje pije się cały dzień, a większość przypraw oraz zioła o mocniejszym smaku to produkty egzotyczne". Warzywa „rzadko są traktowane tak, jak na to zasługują", ryb też raczej nie umie się przyrządzać, gardzi królikiem, za to w maju zjada młode gawrony. Choć Orwell zdaje sobie sprawę (choćby dlatego, że pracował w Paryżu w kuchni dobrego hotelu), jak bardzo brytyjskie żarcie jest siermiężne i mało urozmaicone, to jego trzeźwość oceny pływa w spokojnej miłości do kraju, który po prostu jest, jaki jest (północny i mokry) i inny nie będzie – a „europeizacja" smaków i obyczaju to rzecz dla wąskiej kasty arystokratów, w przeciwnym razie wychodzi coś pokracznego.

Mówi się sporo o tym, jak twardy brexit zaburzy wkrótce ogromny import żywności na Wyspy, zwłaszcza warzyw i owoców. Kto wie, może po pierwszym szoku (godzina kolejki po awokado! po ile na czarnym rynku bakłażany?) coraz mniej pijani dumą Anglicy sięgną do Orwella, który im wyjaśni, jaka to radość zjeść ziemniaki zapiekane pod skorupką z mąki i łoju. Tylko pomarańczy wyrzec się nie mogą – Orwell twierdzi, że różne mogą być warianty śniadania, ale jedno rano jest niezmienne: grzanka z marmoladą pomarańczową. Tego mi w dzieciństwie nie podawano – wreszcie wiem, dlaczego nie zbudowałem imperium. ©℗

Chociaż słowo „łój" brzmi po polsku paskudnie, znawcy mnie przekonują, że to wybitny tłuszcz (zwłaszcza zebrany znad nerek cielęcych). Być może na razie mój kontakt z brytyjską kuchnią słodką, acz tłustą ograniczam do dwóch wypieków: łatwe bułeczki scones opisałem w numerze 14/2016. Dziś zróbmy shortbready, czyli proste ciastka maślane, zwane też 3-2-1 z racji proporcji składników. 100 g cukru ucieramy z 200 g masła na gładką masę, dodajemy stopniowo 300 g białej mąki, dalej wyrabiamy, aż wszystko się połączy, rozwałkowujemy ciasto na 1 cm grubości, wycinamy „paluszki", posypujemy cukrem i chowamy do lodówki na pół godziny. Pieczemy na blaszce wyłożonej papierem do pieczenia w 180 stopniach, aż się ozłocą (ok 15-18 min). Zdejmujemy z blaszki dopiero po ostudzeniu. Można urozmaicić je dodając do ciasta np. łyżkę startego imbiru lub skórki cytrynowej albo dwie szczypty kardamonu.

ADOBESTOCK

Bezimienny dzwon u św. Jana Chrzciciela w Wielkim Wełczu (1612; na dole), po prawej dzwonniczka Hildegarda Matłosz, luty 2019 r.

CZŁOWIEK ROZCIĄGA SIĘ

Hildegardę Matłosz życie blisko kościoła najwyraźniej nauczyło rozmawiać z obcym jak ze swoim, widać, że żeby pójść za kimś, nie potrzebuje Jezusa.

TEKST JACEK PODSIADŁO
ZDJĘCIA RENATA DĄBROWSKA DLA „TP"

Za Górami Łosiowymi, za Jamskimi Lasami, koło Okrągłej Łąki przycupnęła na dnie Basenu Kwidzyńskiego wieś o nazwie Wielki Wełcz, mylącej tylko trochę.

Ponieważ leży między krajową pięćdziesiątką piątką a autostradą A1, bardzo łatwo do niej trafić komuś, kto unika głównych dróg.

I jak to często bywa, gdy rzeka gdzieś przepływa, decydujący głos w sprawach Wielkiego Wełcza od zawsze miała sunąca tuż obok Wisła. Już w 1394 r. Komturia Grudziądzka przykazywała mieszkańcom osady dbałość o stan wału przeciwpowodziowego w interesie własnym i świętego Państwa Krzyżackiego.

Ponowiła te zobowiązania w przywileju z 1432 r., który zacytuję za XIX-wiecznym „Słownikiem geograficznym Królestwa Polskiego", bo to zawsze ciekawe, kiedy rzeka wpływa na aktualny stan prawny: „Niziny i łacha policzone są jako włóki. W łasze mają mieszkańcy wolną rybitwę. Jeżeli przy nowych pomiarach wykaże się nadwyżka, to ma zostać dołączona do lasu naszego, jeżeli się wykaże brak, doda się każdemu od boru w dwójnasób. Wskutek strat, które poniosły niziny, będą mieszkańcy wolni od tłoki, za co jednak mają płacić 17 grzywien rocznie i czynić służbę wojenną. Wreszcie powinni groble utrzymywać".

Wisła jak to Wisła, groble germańskiej konduity miała za nic, toteż dokumentem, w którym przez wieki nazwa Wełcza najczęściej się pojawiała, były tzw. księgi szkodowe i różne inne dokumentacje poniesionych strat. A może ciągłe przypominanie wełczanom o obowiązku doglądania wału świadczy o ich niedostatecznym zaangażowaniu w tej kwestii? W 1446 r. biskup Pomezanii Kaspar Linke, właściciel pobliskiego Russenow, skarżył mieszkańców Wełcza o zaniedbywanie wału, ↦

↦ przez co szkody ponoszą w pierwszej kolejności właśnie rusinowianie (Russenow to dzisiejsze Rusinowo). W połowie XVI w. wieś tak miała dosyć narowów wielkiej rzeki i szkód przez nią wyrządzanych, że niemal całkiem opustoszała. Jak trwoga, zwłaszcza wodą spowodowana, to do olędrów, wiadomo.

Około roku 1570 osiedlili się w Wełczu pracowici mennonici. Założyli Mały Wełcz, typową olęderską rzędówkę bagienną jeszcze bliżej Wisły, dziś przyłączoną do Wielkiego Wełcza, który w 1619 r. także został mennonitom „puszczony". Osuszali łąki, utrzymywali groble, ale była to robota głupiego. Do nieustających powodzi doszedł potop szwedzki i inne wojny, z wojnami związane były przemarsze wojsk, z przemarszami wojsk konfiskaty mienia, więc jeśli dodamy do tego okresowe epidemie i ciągłe dokuczania na tle religijnym, których w żadnym razie nie powinniśmy nazywać prześladowaniami, łatwo będzie zrozumieć, że dzieci Menno Simonsa stopniowo wynosiły się z nie tak znów gościnnego Wełcza. Ponieważ pośpiech nie leżał w ich cierpliwej naturze, zajęło im to wieki. W 1885 r. mieszkało ich tu jeszcze trzynastu. W 1905 – pięciu. W 1921 – ani jeden. Została po nich stodoła z 1757 r., niedawno przeniesiona z Wełcza do skansenu w Wielkiej Nieszawce, i mennonicki cmentarz, którego stan wskazuje na kultywowanie przez lud tutejszy wiekowej tradycji zaniedbań nie tylko grobli.

Cmentarz ten jest jedną z dwu wełczańskich niezwykłości uwzględnianych przez serwisy typu „Polska niezwykła". Druga to kościół. Kiedy się wjeżdża do wsi szutrówką od strony Okrągłej Łąki, widać go z daleka. Pobielony, kryty czerwoną dachówką lśniącą nowością. Skromniutki, a widać go z daleka po prostu dlatego, że stoi na samym skraju wsi, nic go nie zasłania. Moją uwagę przykuła w pierwszej kolejności, jakżeby inaczej, murowana dzwonniczka z trzema otworami szczelinowymi na wszystkie świata strony. Przez te otwory od razu wypatrzyłem w środku bliskie sercu kształty. Sam kościół szczyci się oklejoną eternitem wieżyczką na sygnaturkę. Patrzy zza płota na drogę dwojgiem ślepych okien umiejscowionych po obu stronach drzwi wejściowych. Każda z tych blend ma kształt podwójnej ostrołukowej arkady, w prawej umieszczono tablicę ogłoszeń parafialnych, w lewej budzącą szacunek tabliczkę: „Kościół Rzymsko-Katolicki w Wełczu p.w. św. Jana Chrzciciela, XIII w.".

Kościół jak to kościół, lubi sobie dodać lat. Tak naprawdę jest to budowla z 1737 r., postawiona prawie od nowa na miejscu zrujnowanego w XVII w. kościoła gotyckiego, rzeczywiście zbudowanego ok. roku 1300. Pięć metrów od dzwonniczki zaczyna się przykościelny cmentarz, zajmujący praktycznie cały przykościelny teren. Między nią a nim reklama, chyba nawet krypto-. Zakład pogrzebowy i kamieniarski Eden z Grudziądza kusi niskimi cenami z trzema wykrzyknikami. Dorzuca też „do pogrzebu demontaż nagrobka gratis!". Dużo hałasu o nic, jak w życiu.

Drewniane drzwi do dzwonnicy zamknięte są na wielką kłódkę. Życie nauczyło mnie, że jeśli wisi kłódka, to prawdopodobnie gdzieś w pobliżu znajduje się też klucz do niej. Kobieta pracująca na polu od razu pokazała mi, w którym domu szukać. U pani Hildzi. Zaraz tutaj, o.

Kiedy dzwonniczka zamyka skrzypiące drzwi dzwonnicy, dzwon huśta się jeszcze i chlusta ostatnimi dźwiękami. **To lubię najbardziej, to trwanie przy resztkach**, kiedy przez krótki czas dzwon dzwoni naprawdę sam, po swojemu.

Wielki adwent wielkiego metafizyka

Eschatologiczna melancholia słyszalna w tonie „Medytacji" Johna Donne'a będących także, przynajmniej w przekładzie Piotra Plichty, medytacjami „nad dniami niespodzianego zmierzchu", nie wzięła się znikąd. A wszechobecny w Medytacjach XVI, XVII i XVIII dźwięk dzwonów też nie pochodzi li tylko z wyobraźni wielkiego kaznodziei i poety. Donne pisał te natchnione teksty w grudniu 1623 r. w łóżku, które omal nie okazało się dlań łożem śmierci. Miesiąc wcześniej powalił go podwójny atak choroby, o którą doktorzy do dziś się spierają, co też mogło nią być. W każdym razie jej drugi atak na osłabiony organizm tylko cudem nie pozbawił go życia. I właśnie jako cud postrzegał Donne swój powrót do zdrowia, który w grudniu dopiero się zaczynał.

Pochował już niektóre z dwanaściorga swych dzieci. Jeszcze nie całkiem doszedł do siebie po śmierci żony w 1617 r. Jeszcze pamiętał epidemie dżumy, małe i wielkie, jak ta z 1603 r., która pochłonęła życie 40 tys. londyńczyków. Jako kapłan obeznany był ze śmiercią w sposób szczególny, bo biegał do ciężko chorych z ostatnim namaszczeniem i odprawiał na tamten świat zmarłych. Teraz śmierć zapukała i do jego drzwi. Dzwony wydzwaniały jej memento.

Oprócz wzywania wiernych na modlitwę i odmierzania pór dnia, dzwony w kościele anglikańskim miały obowiązek odzywać się za każdym razem, kiedy kapłan wyruszał do chorego, w chwili śmierci oraz podczas pogrzebu. To sprawiło, że złożony chorobą Donne musiał nader często słyszeć ich dźwięk. Sam o tym pisze już na początku Medytacji XVI, kiedy swoje „łoże boleści" umiejscawia „tak blisko wieży, co nigdy nie przestaje dźwięczeć".

Można chyba założyć, że Donne lubił dzwony, był z nimi blisko. Na pewno sprzeciwiał się dążeniom protestanckiej ekstremy do pozbycia się ich z kościołów. Pamiętał dzwony, których słuchał w podróżach, wspominał je. Wiadomo, że czytał „De tintinnabulis" Girolama Maggiego i „De campanis" Angela Rokki.

Przeczytajmy, z nieocenioną pomocą Piotra Plichty, niektóre zdania zapisane przez Johna Donne'a tamtego grudnia.

„Ten, którego pogrzeb właśnie ogłaszają dzwony, był w domu – u kresu swojej wędrówki – wczoraj. Czemu więc dzwonią mu teraz?

Człowiek, który jest światem, zawiera w sobie wszystkie rzeczy świata. Jest on armią, a kiedy armia maszeruje, jej awangarda może stanąć na noc tam, gdzie tyły dotrą następnego dnia. Człowiek rozciąga się: naprzód idą jego działania, za nimi przykład – najpierw to, co sam robi, potem to, czego innych naucza. Podobnie wszystkie rzeczy dotyczące człowieka, również wspomniane dzwony: wczoraj ich dźwięk przeprowadzał z tego świata awangardę człowieka, jego duszę, a dziś wprowadza jego tyły, ciało, do kościoła i nie ustaje nawet po wprowadzeniu,

aby zmarły – jako użyteczna nauka – wprowadził się do mnie. Z miejsca, gdzie leżę, słychać psalm i w ten sposób łączę się ze zgromadzeniem. Nie dobiegają mnie tu jednak słowa kazania, ale pogłos dzwonów je powtarza. (...) Rozważywszy to, doceniam teraz, że jeden spośród zmarłych braci moich, którego właśnie składają do grobu, dźwiękiem tych dzwonów napomina mnie i głosi moje kazanie pogrzebowe. W jego osobie wypełnia się nawet prośba, którą skierował bogacz do Abrahama: »Oto posłałeś jednego spośród umarłych, żeby mnie napomniał«. On napomina mnie donośnym głosem z wieży. Jego szept słyszę w zasłonach okiennych. (...) Jeśli właściwie pojmiemy doniosłość dzwonu, który ogłasza nam modlitwę wieczorną, z radością weźmiemy go za swój – wstając następnego ranka i czyniąc użytek z tego, że równie dobrze mógłby bić nam, co człowiekowi, dla którego rzeczywiście bije. Dzwon bije temu, który sądzi, że bije on właśnie dla niego. A chociaż wieża kościelna szybko milknie, to przecież od chwili, w której zapadł nad nim zmierzch, człowiek jest zjednoczony z Bogiem. Któż nie podnosi oka ku słońcu, gdy ono wschodzi? Kto jednak oderwie oko od komety, gdy ta wystrzeli na nieboskłon? Któż nie nachyli ucha na dźwięk dzwonu, jakikolwiek to dzwon i cokolwiek ogłasza? Kto jednak oderwie ucho od dzwonu, wraz z którym jego cząstka ulatuje z tego świata?

Nie ma człowieka, który byłby wyspą, z siebie samego ulepiony: każdy stanowi fragment kontynentu, cząstkę stałego lądu. Jeśli więc morze zmyje bryłkę ziemi, o tyle samo mniejsza będzie Europa, jak gdyby fale uniosły przylądek lub dom przyjaciół twoich lub twój własny. Gdy jakiś człowiek umiera, i ja staję się mniejszy, gdyż jestem wpleciony w ludzkość: a przeto nigdy nie wypytuj, komu bije dzwon – bije on tobie. (...) To jeden dźwięk, lecz słyszę w nim pełną orkiestrę. (...) Słyszę, jak prorok zwraca się do króla Ezechiasza: »Uporządkuj sprawy domu swego, bo umrzesz i żyć nie będziesz«. W ten sposób czyni nas członkami rodziny króla izraelskiego i nazywa to uporządkowaniem spraw jego domu, ażeby przysposobić nas do rozważań nad śmiercią.

Słyszę, jak apostoł stwierdza: »Uważam za słuszne pobudzić waszą pamięć, ponieważ wiem, że już wkrótce przyjdzie mi opuścić namiot tego ciała«. Tymi słowy święty Piotr ogłasza swój testament, a dzwon, którego teraz słuchamy, jest niczym spadek – czyli przekazuje nam ówczesne położenie apostoła, byśmy wzięli je teraz w posiadanie i użytkowali. Słyszę to, co przemienia wszelki dźwięk w muzykę, a wszelkiej muzyce nadaje znamię doskonałości. (...) Jeżeli w dźwięku tego dzwonu kryje się Twój język, to jakże nieskończenie związany jestem z Twym niebiańskim majestatem, że przemawiasz do mnie tak otwarcie! Bo nawet głos mówiący, że teraz muszę umrzeć, nie wychodzi z ust sędziego, który przemawia, jakby zamierzał potępić, lecz z ust lekarza, który uwidacznia w śmierci zdrowie. Ukazałeś mi śmierć jako lekarstwo na moją chorobę (...)".

Zwykły dzwon

W oczach ludzi, których zaczepiam o dzwony, których pytam, czy mogę sfotografować dzwony, których proszę, żeby zadzwonili dla mnie, najczęściej widzę pobłażliwą życzliwość. Nauczyłem się cenić to uczucie, oba jego odcienie. Hildegardę Matłosz życie blisko kościoła najwyraźniej nauczyło rozmawiać z obcym jak ze swoim, widać, że żeby pójść za kimś, nie potrzebuje Jezusa.

No po prostu widać, że mimo siwe włosy i fioletowa podomka ma chęć wziąć klucze od dzwonnicy i iść. Ale jest jeszcze mąż pani Hildegardy, wyraźnie starszy, z laseczką, który też ma tu coś do powiedzenia. Ona sama waha się, głośno myśli. Boi się, że na dźwięk dzwonu zbiegną się ludzie i wezmą ją za wariatkę, która od rana dzwoni bez powodu. A dzwonienie powinno mieć jakiś powód. Mąż pani Hildegardy milczy i taksuje mnie wzrokiem.

– No i co ty myślisz? Ja bym panu zadzwoniła, dlaczego nie, ale zaraz się ludzie zejdą, że wariatka dzwoni nie wiadomo na co. Jesteś starszy, to powiedz, co robić.

– Jak się zejdą, to i pójdą.

Wygłosiwszy tę skromną, ale nader istotną kwestię, mąż pani Hildegardy schodzi ze sceny, a my idziemy do dzwonnicy. Nie mamy daleko, ale człapiemy powoli, lata robią swoje.

Pani Hildegarda pyta, skąd się wziąłem, więc wyjaśniam, że spędziłem noc w pobliskim lesie. Ona mówi, że to zwykły dzwon. Czasami przejeżdża autobusem jakaś pielgrzymka, to się zatrzyma, żeby odpocząć, i proszą, żeby im otworzyć kościół, bo chcą popatrzeć. A jeszcze żeśmy robili wieńce na odpust św. Jana, teraz też będzie, za dwa tygodnie, to jedna kobita aż mnie wycałowała, że my tu jeszcze wianki robimy. No, robimy, zielone, z brzozy. I stroimy, i tu, i w środku, takim ładnym, świeżym. Ale żeby mu zadzwonić, to jeszcze nikt nie chciał, no, chyba że umarł. Mówi, jakby się bała, że będę rozczarowany. Albo jakby chciała zapytać nie wprost, po co mi ten dzwon. Odpowiadam, że spodziewam się usłyszeć to, co przemienia wszelki dźwięk w muzykę. Ale i ja odpowiadam nie wprost, innymi to mówię słowami.

Dzwon nie jest zwykły. Jest bardzo stary, starszy niż najstarsze elementy wyposażenia kościoła. Pochodzi z czasów Johna Donne'a, odlano go w 1612 r. Pamięta mennonitów, choć to nie ich wzywał na modlitwę, kościół Jana Chrzciciela zawsze był kościołem rzymskokatolickim.

– Jest większy i mniejszy.

– Tak, zauważyłem, że są dwa – domyślam się, że mniejszy dzwon to sygnaturka, która trafiła do rezerwy z wieżyczki na dachu. – Dzwoni pani oboma?

– Nie, tym większym zawsze dzwonię. Ja albo nie ja, bo jak jest procesja, to tam chłopy dzwonią, a jedynie jak ktoś umrze i przyjdzie do mnie prosić, żeby zadzwonić, bo umarł, no to wtedy się idzie. Mąż chodził, ale już teraz nie może dobrze chodzić o lasce, to wtedy ja idę. No i na pogrzeby to też ja.

– A od dawna pani dzwoni?

– Nieee, no, jak tylko tu jestem, a jestem od urodzenia. Ale tutaj kiedyś był kościelny, to kościelny dzwonił, i rano o szóstej, o, z tamtego budynku chodził, taki Kaczmarczyk. Ale on umarł, to już nie dzwoni.

Klucze okazały się niepotrzebne. Po prostu nie ma żadnych kluczy, tyle książek przeczytałem, a nie domyśliłem się, że taka wielka kłódka musi być symboliczna.

W dzwonnicy leżą jakieś klamoty, jest ciasno. Pani Hildegarda przymierza się do dzwonu, jakby zabierała się do dojenia wielkiej kosmicznej krowy, ustawia się w wejściu z jedną nogą wspartą o próg, niemal zapiera się nogami. Ciągnie za sznur i po kilku skrzypnięciach rozpędzającego się mechanizmu dzwon dzwoni. Głos ma wysoki, ale pewny, donośny w sam raz.

Nikt nie jest wyspą, cały z siebie tylko.

Nikt nie jest wyspą, cały z siebie tylko.

↦

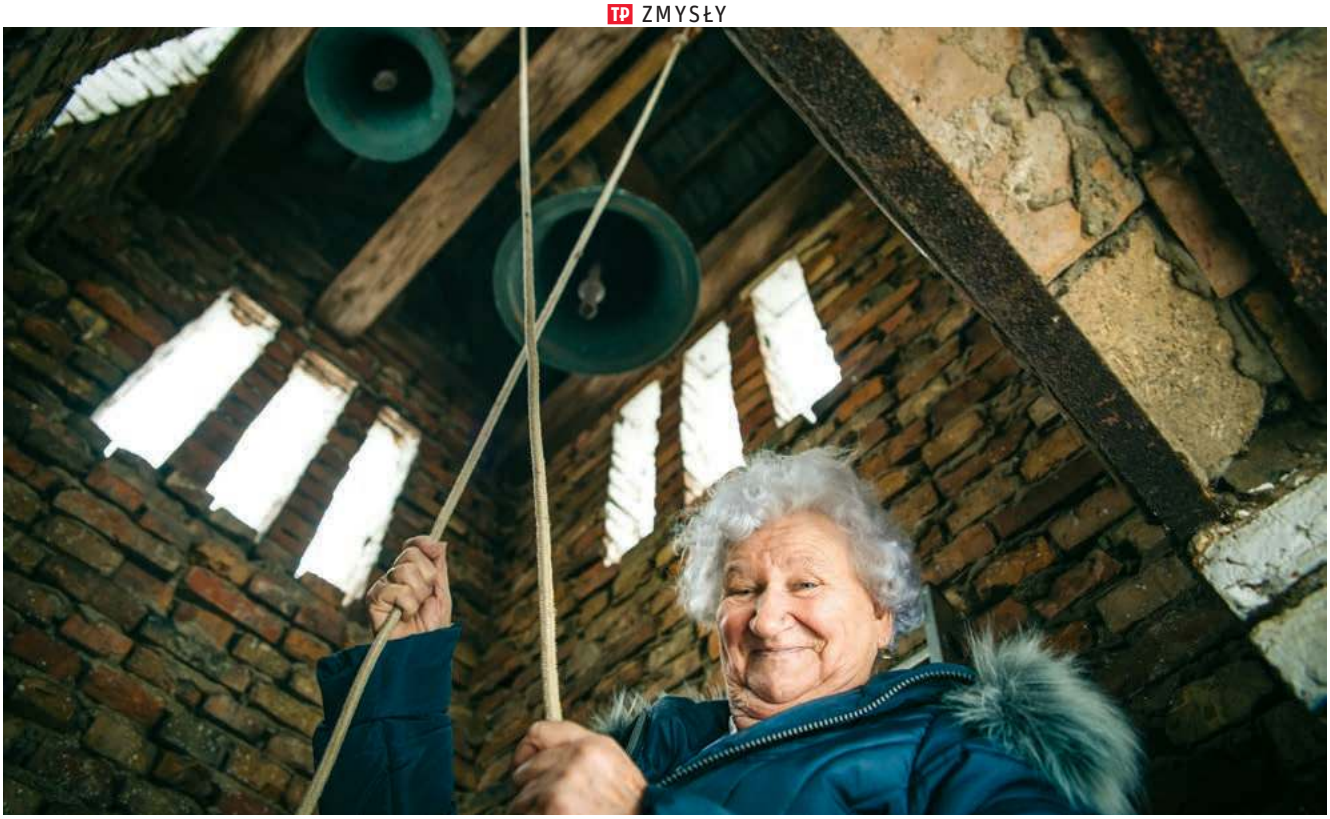

Hildegarda Matłosz, luty 2019 r.

Trochę popłochu

↦ Każdy kampanolog wie, że przy nagrywaniu dzwonów dwa są momenty newralgiczne. Pierwszy to chwila, kiedy dzwony milkną. Gdyż dzwony milkną powoli, celebrują ten akt, i choćby się nie wiem ile tłumaczyło dzwonnikowi czy osobom postronnym, że kwintesencją brzmienia jest wybrzmienie, usta człowieka niechętnie pozostają zamknięte, kiedy cisza zaczyna brać górę. W przypadku pani Hildegardy dodatkowe napięcie powoduje obawa, że wezmą ją za wariatkę.

– Starczy? – pyta.

Mało mi, ale kiwam głową. Kiedy dzwonniczka zamyka skrzypiące drzwi dzwonnicy, dzwon huśta się jeszcze i chlusta ostatnimi dźwiękami. To lubię najbardziej, to trwanie przy resztkach, kiedy przez krótki czas dzwon dzwoni naprawdę sam, po swojemu.

– Zaraz będą dzwonić na komórkę: „Sąsiadka, kto umarł?" – mówi pani Hildegarda ze śmiechem znad kłódki. Potem poważnieje i patrzy, czy jestem zadowolony: – Chyba nie bardzo równo ciągłam.

Stojąc przy kościele, rozmawiamy chwilę o nim. Pani Hildegarda zapewnia mnie, że pochodzi z XIII w., w domu „zawsze na wierzchu" ma książkę, w której tak stoi napisane. Bez ceregieli, udając, że nie wiem, że to drugi z newralgicznych momentów, wciskam jej trochę drobnych.

– No, ale to dam proboszczowi, dzięki, dam proboszczowi, to będzie do organów. Aha! No, widzi pan, mówiłam. Wiesiek, jo jo.

I oto niespodziewanie, za sprawą dzwonu i przy współudziale telefonu, przenoszę się do świata, który brałem już za literaturę, przefruwam czterysta lat do czasów, kiedy ten dźwięk kazał ludziom dopytywać się: komu bije dzwon? Pani Hildegarda nie pyta o nic, nie wita się nawet, tylko od razu przystępuje do wyjaśnień:

– Wiesiu, nic się nie stało, dzieciaku, przyszedł taki pan, który nagrywa sobie głosy dzwonów, no i prosił mnie, to czemu miałam nie udostępnić, podzwoniłam trochę... Aha... Jo... I dał datek na organy ten pan! Na łąkach już jesteście? I jak tam to siano?... No... Dobrze.

Rozłącza się.

– Widzi pan? Mówiłam. Ja mówiłam, no, widzi pan?! Halo, Zosiu, nic się nie stało! Co?... Nie, nikt nie umarł! Taki pan sobie jeździ, głosy dzwonów nagrywa... No, chyba mnie proboszcz nie powiesi... Wszystko dobrze. No, jo... Nic, nic. Dobrze. Widzi pan? Nic się nie stało. Trochę popłochu i tyle.

Trochę śmiechów, trochę jeszcze wzajemnych podziękowań i rozmaitych grzeczności.

Telefon znów dzwoni, więc żegnamy się bardzo szybko i każdy idzie w swoją stronę. To znaczy pani Hildegarda stoi trzymając się jedną ręką kościelnego płotu, a drugą przyciskając do ucha telefon. Tłumaczy komuś, że nikt nie umarł i że nie zwariowała. Ja ruszam w kierunku Leśniewa. Uporządkuj sprawy domu swego, łatwo powiedzieć. A do domu daleko.

Jak się zejdą, to i pójdą.

– Czekaj pan! – pani Hildegarda woła za mną tak głośno, jak wołano po wsiach w czasach, kiedy nie było komórek. Aż mi głupio udawać, że nie słyszę. – Dam proboszczowi na organy, ale jednak mam wyrzuty sumienia, że wzięłam od pana pieniądze!

© JACEK PODSIADŁO

Autor jest poetą, tłumaczem i felietonistą. Laureat m.in. Nagrody im. Czesława Miłosza (2000), Nagrody im. Wisławy Szymborskiej (2014), Nagrody Poetyckiej „Silesius" (2015 i 2017). Felietonista „Tygodnika Powszechnego" w latach 2000–2007. W Państwowym Instytucie Wydawniczym ukazał się właśnie jego autorski wybór wierszy pt. „Sprzeczna jaskrawość".

„TP" 5 / 2019

Gdzie te autorytety, Ojcze Ludwiku?

Tekst ojca Wiśniewskiego pt. „Ostrzegam" zasługuje na uwagę z kilku powodów. W sytuacji, gdy słychać powszechne nawoływanie do przeciwstawienia się przejawom nienawiści, słowo takiego autorytetu jest szczególnie ważne. Ale właśnie o autorytetach, na które tak liczy o. Wiśniewski, warto porozmawiać. Pozwolę sobie postawić tezę, że postulowane gremium nie ma szans powstać, więc pozostanie marzeniem. I nie chodzi mi o skuteczność takiego ciała czy o niechęć do jego utworzenia. Proszę mi wskazać choć jedną osobę, którą strony sporu zgodnie uznają za autorytet. Każda z okopanych opcji sceny politycznej wskaże bez wątpienia osoby, które będą najbardziej żarliwymi obrońcami jej pozycji i – niejako naturalnie – krytykami pozostałych. Nawet tak predystynowana do wskazania swoich przedstawicieli instytucja, jaką jest Kościół katolicki, miałaby kłopot z wytypowaniem kandydata czy kandydatów. Jeśli podnoszony czasem spadek autorytetu Kościoła jest prawdą, to warto zastanowić się, czy jest on skutkiem, czy może przyczyną dryfowania Kościoła. Kierowane do wiernych listy pasterskie są miałkie, bo powstają w efekcie kompromisu. Co innego słyszymy przecież w wypowiedziach pojedynczych biskupów – poglądy są tam wyraźne, często do przesady. Może zatem Kościół zacząłby od przełamania różnic w swoim łonie? Zwłaszcza że – w mojej opinii – w dziele podziału Polaków ma niemałe „zasługi". Co dopiero mówić o świeckich autorytetach! Upadła ranga wykształcenia – dziś profesor potrafi wyrażać się gorzej niż małomiasteczkowy żul. Zniszczone zostały autorytety sędziów, trybunałów, zawodowych stowarzyszeń. Skąd więc wziąć autorytety, Ojcze Ludwiku? Gdybym podał dziesięć własnych typów, to nie znalazłbym dziesięciu rodaków, którzy by mnie w moim wyborze poparli.

NARCYZ WASZKIEWICZ

„TP" 6 / 2019

Mam tak samo

Poczułem się zmuszony, by do Was napisać i podziękować za to, że mogę się czuć z Wami jak wśród swoich. Tym razem najbardziej dziękuję za tekst „Czemu nie w chórze" Jerzego Sosnowskiego. Właściwie musiałbym po prostu przyznać, że chciałbym się pod tym artykułem podpisać obydwiema rękami, że mam tak samo, że czuję tak samo. I że czytanie takiego tekstu, choć naznaczonego jakimś bólem, skargą, to jak haust świeżej wody dla mnie, samotnika we wspólnocie, pragnącego zrozumienia. Nie wiem, jak dla autora tekstu, ale dla mnie sprawa rozgrywa się gdzieś w okolicach braku równowagi pomiędzy Kościołem, który szuka zrozumienia i rozumienia świata oraz człowieka, a Kościołem tryumfalistycznym, który domaga się od świata bycia zrozumianym. Ks. Boniecki we wstępniaku, na pewno w dobrej wierze, trochę wybija zęby temu, co pisze Sosnowski. Łagodzi, tłumaczy. Spotykam się z tym od kilkudziesięciu lat. Zawsze można znaleźć inny cytat, wskazać dobrego księdza, powołać się na Matkę Teresę z Kalkuty... W moim życiu najczęściej to był koniec rozmowy. Wiem, że dla księdza Bonieckiego to koniec nie jest, że dla „Tygodnika" także nie, ale może chciałoby się przeczytać tekst taki jak ten Jerzego Sosnowskiego, i ten jeden raz pozostać z nim milczącym? Według mnie w polskim Kościele istnieje głębokie niedowartościowanie chrześcijaństwa, wiary przeżywanej indywidualnie, za to mamy prawie ogólnonarodowe parcie, żeby wszystkich świętych powoływać na najwyższe urzędy. Więcej wewnętrznego przeżycia Boga, a nie potrzebowalibyśmy buńczucznych zapisów w konstytucji, nie byłoby potrzeby uchwalania wielu ustaw. W społeczeństwie, które zadowala się tym, że Jezus jest królem, a Maryja królową, nie potrzeba już wiary, która autentycznie przemienia życie.

MIREK CHMIEL

Autorzy wydrukowanych na łamach „Tygodnika" listów otrzymają kubki z rysunkiem Macieja Sieńczyka.

TP

Dziennikarze „Tygodnika Powszechnego" z nagrodami za najlepsze Sportowe Książki Roku!

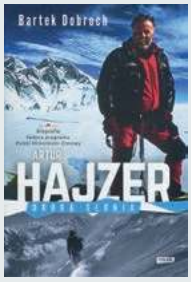

„Artur Hajzer. Droga słonia" BARTKA DOBROCHA to jedna z najlepszych biografii ludzi związanych z górami, jaka pojawiła się w Polsce w ostatnich latach, i najlepsza „książka górska" tego roku – orzekło jury nagrody Sportowe Książki Roku.

Za najlepszą piłkarską i jednocześnie historyczną książkę uznano przetłumaczonych przez MICHAŁA OKOŃSKIEGO **„Aniołów o brudnych twarzach" Jonathana Wilsona**. Publikacja o futbolowej historii Argentyny nie jest wyłącznie książką sportową, ale znakomitą opowieścią o kulturze, uwarunkowaniach społecznych i życiu południowoamerykańskiego kraju.

Nagrody przyznał serwis internetowy poświęcony literaturze sportowej SportowaKsiążkaRoku.pl

GRATULUJEMY!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STANISŁAW

Mancewicz: *Nimrod z Mazowsza*

Między nami mówiąc, tę forsę trzeba było wypłacić. Parę złotych w tę czy we w tę, cóż szkodziło? Widać, że koszty tej szarpaniny przekraczają z sufitu wzięte założenie oszczędności. Trzeba było spróbować zbić trochę cenę. Przecież to kupiec. Austriak pewnie by trochę kwękał, ale rabat by po znajomości dał. Lepiej byłoby mieć go dziś sytego i cicho siedzącego w Wiedniu niż strzykającego jadem w gabinecie prokuratora.

Kolejny błąd biznesowy – mniemamy – wynika z wprost dziecinnego zaniedbania. Jak można było kręcić lody z człowiekiem odpornym na nasze zwyczaje operacyjne, jakże skuteczne w tutejszym klimacie? No bo jak tego gościa zahaczyć? Babunia była w Wehrmachcie? Dziadek w żydowskiej młodzieżówce austriackich komuchów? Kogóż to obchodzi, kto to zrozumie? Byłyby to wrzutki nieprzylegające, zwłaszcza że człowiek spokrewnił się z Gospodarzem, który nie podlega rysowaniu tego typu szpikulcami. Słowem, takie biznesy robić należy tylko z ludźmi miejscowymi, *a priori* skompromitowanymi genealogicznie w oparciu o miejscowe papierzyska. Po to mamy przecież – do diaska – IPN, bo po cóż innego? Po to mamy prasę i telewizję pracujące na klasyczne „do nogi". Oto kombinowanie z osobnikami spoza rejestrów naszych bohaterskich esbeków, ostoi historycznej prawdy, powinno być surowo zakazane.

Idźmyż dalej. Rozjuszony Austriak, jak słyszymy, grozi – ustami swego adwokata – sprzedaniem tej nieszczęsnej wierzytelności. Każdy, kto miał do czynienia z windykacją, próbuje być mądry po szkodzie. Każdy bez wyjątku. Firmy ściągające długi to nie są drogerie czy cukiernie – mówiąc delikatnie. Pudry i cukry są tam używane wyłącznie jako elementy podpuchy. W windykacji zasada „frontem do klienta" jest pojmowana dosłownie, a polityka personalna tych przedsiębiorstw wyklucza chorych na dyskalkulię, podobnież też nie zatrudnia się tam empatycznych nadwrażliwców. Otóż kontakt z przedstawicielem instytucji tego segmentu zaczyna się smutnym komunikatem: „rozmowy z naszymi konsultantami są nagrywane", i zaprawdę cóż tu dalej tłumaczyć bądź parabolizować? Każdy wie, że na próby wykrętów i maskowania za pomocą naszej tzw. „kryształowej uczciwości" windykatorzy reagują rechotem i okrzykiem zdumienia „Ja cię nie mogę!", jak – za przeproszeniem – emeryci na podarte gacie. Słowem: warto tych ludzi unikać, co jest prawdą banalną i uniwersalną.

Jedźmy dalej, bowiem nikt nie woła. Oto prowadzenie biznesu w poczuciu własnej nieomylności to dziecinada. W nieomylności można sobie tkwić aplikując do ścisłego kierownictwa Stolicy Piotrowej, choć i to jest zdaje się niemodne. Taki na przykład Nimrod w swej pysze chciał postawić zaledwie jedną skromną wieżę i dostał po nosie, bo inwestycja ta, jak wiemy, nie była skonsultowana z kim trzeba, skończyła się spektakularną katastrofą budowlaną i kłopotami natury administracyjnej i narracyjnej. Sprawa się wlecze do dziś, dość rzec, że przez tę źle zaplanowaną inwestycję w najgłupszej sprawie trzeba korzystać z tłumacza. Warto czytać książki, choćby stare, by mieć orientację, jak kończą się pyszne sny o nieomylności. Przedsiębiorczość jest jednak rodzajem grzybobrania, tkwienie w nieomylności prowadzi w najlepszym razie do płukania żołądka.

W ogóle konsultowanie się jest dobrym obyczajem w interesach, pod warunkiem, że zaiste jest się z kim naradzić. I tu także mamy do czynienia z problemem. Nie ulega kwestii, że najbliższe kompetentne otoczenie w biznesie to połowa sukcesu. A co tutaj mamy? Teoretycznie wszystko gra, bo zaledwie jeden stary komuch, jeden sześciorzędny esbek i jeden były ksiądz jako doradcy winni dawać rękojmię jako takiego powodzenia w interesach. Niestety, by słuchać doradców, trzeba się wyzbyć nie tylko nieomylności, ale też skłonności do bycia zawsze, przy każdej okazji, złotoustym. To po prostu onieśmiela ludzi, nawet fachowców z górnej półki, a co dopiero skromnego agenta Służby Bezpieczeństwa, który w dodatku – jak powiadają – nic nigdy złego nikomu nie zrobił. Stąd, poza kłopotami natury kodeksowej, mamy wysyp szydery i heheszek. Szkoda, bo było do zarobienia to i owo, a szykują się grube straty. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

DZIEŃ USTĄPIENIA – PRZYSZŁE ŚWIĘTO PAŃSTWOWE USTANOWIONE NA PAMIĄTKĘ ZMIANY NA STANOWISKU MINISTRA KULTURY.

weźcie, czytajcie!

„Tygodnik Powszechny” dołączył do grona partnerów Karty Dużej Rodziny, preferencyjnego programu dla rodzin 3+. Posiadacze KDR mogą skorzystać z niższej ceny zakupu ekonomicznej prenumeraty krajowej – 300 złotych za rok. Aby skorzystać z oferty, wystarczy w trakcie zamawiania prenumeraty podać numer swojej Karty:

- podczas zamówienia przez internet – w polu uwagi,
- przy przelewie tradycyjnym w tytule przelewu.

Więcej o programie na: **rodzina.gov.pl**
Szczegółowy regulamin prenumeraty na **powszech.net/regulamin**

TYGODNIK POWSZECHNY

+

KARTA DUŻEJ RODZINY
rodzina.gov.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę powszech.net/prenumeruj, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ
Z SIECI
ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator
Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl